Dzieci uzależnione od kosmetyków • Kult Karola • Oszustwa matrymonialne
Antyszczepionkowi szarlatani • Żabka sprzedana • Najbogatszy Europejczyk

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

© STUDIO POLITYKI, BE&W, SHUTTERSTOCK

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 35 (3579), 26.08–1.09.2026
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO
ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 1.09.2026

Polska w promocji

Jak nas widzą inni, a jak my siebie

Awantura o kampanię reklamującą nasz kraj



RAINBOW

R.pl



KRÓL EGZOTYKI



© SHUTTERSTOCK

10
Dzieciństwo pod makijażem

Temat tygodnia

10 Joanna Cieśla **Branża beauty uzależnia najmłodszych**

Polityka

14 Mateusz Mazzini **Paradoksy wizerunku Polski**
18 Mariusz Janicki **Kult Karola Nawrockiego**
21 Seksuolog **Andrzej Depko** o kompetencjach biegłych sądowych

Społeczeństwo

24 Rozmowa z **Klaudią Ziółkowską**, autorką książki o oszustach matrymonialnych
28 Paweł Walewski **Bezkarni antyszczepionkowcy**
32 Joanna Cieśla, Małgorzata Szcześniak **Korepetycje czas zacząć**
35 Leśnik i pożarnik **Jan Kaczmarowski** o tym, czy w Polsce lasy zapłoną jak we Francji
38 Filip Zagończyk **Kino dla niewidomych**

Rynek

40 Cezary Kowanda **Żabka połyka konkurencję**
43 Marcin Piątek **Ile zarobi na tenisie Maja Chwalińska**

Świat

46 Aleksander Kaczorowski WĘGRY **Magyar sprząta po Orbánie**
50 Paulina Wilk INDIE **Nieświęta Matka Teresa**
53 Kinga Strzelecka-Pilch FRANCJA **Najbogatszy Europejczyk**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Maciej J. Nowak **Jak chronić miasta przed upałami**
60 Margit Kossobudzka-Lipińska **Koniec ery antybiotyków?**
64 Dokumentalista **Ben Fogle** o tym, gdzie szukać prawdziwej dziczy

Historia

66 Prof. **Sönke Neitzel** o niemieckim militaryzmie
69 Łukasz Wójcik **Bitwa pod Mohaczem**
72 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

78 Aneta Kyzioł **Gdzie nie gra Adam Woronowicz?**
81 Artur Domosławski **Rodolfo Walsh, pionier powieści non-fiction**
84 Janusz Wróblewski **Richard Linklater z filmowym hołdem dla Godarda**
86 **Bassem Akiki**, libańsko-polski dyrygent i kompozytor, o swojej operze o Atatürku
89 Juliusz Ćwieluch WSPOMNIENIE **Gen. Mirosław Różański: na wojnie z politykami**

Ludzie i style

94–97 • **Ryba z Jerozolimy**
• **Betonowa Polska**
• **Zaćmienia języka**
• POCZTÓWKA POLITYKI: **Turcja: ile Wschodu, ile Zachodu?**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **74** Afisz • **90** Lis
• **91** Agata Passent
• **92** Witkowski • **93** Mizerski
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl f4a3c208bc



Cierpienie marki

Jerzy Baczyński

Wciąż nie wiemy, kto wymyślił kandydaturę pani dr Barbary Mróz-Gorgoń na stanowisko pełnomocnika rządu do spraw promocji Polski, ale narobił premierowi wstydu, a koalicji okropnych szkód wizerunkowych. Zapewne wszyscy dobrze chcieli, a sam pomysł, żeby w sposób zorganizowany promować w świecie „markę Polska", nie był zły; wiele krajów ma wyspecjalizowane instytucje zajmujące się reklamą własnego kraju jako „wspaniałego miejsca" dla inwestorów i turystów. Dowodem na zadeklarowane przez premiera i panią pełnomocnik „nowe, dynamiczne podejście" miała być międzynarodowa kampania przygotowana przez Polską Organizację Turystyczną na zlecenie Ministerstwa Sportu i Turystyki. Pierwszy spot z udziałem Roberta Lewandowskiego, aktora grającego Chopina oraz Pałacu Kultury, już się ukazał (zabawiliśmy się tym spotem na okładce), budząc zresztą kontrowersje „powielaniem stereotypów, ubogim przekazem, prowincjonalizmem".

Ale prawdziwa bomba wybuchła, gdy równocześnie ukazał się (bardziej – został ukazany) „Raport z badań DNA marki Polski", firmowany przez dr Mróz-Gorgoń, jej Fundację Marka Polska i nieszczęsne (w tej sytuacji) Ministerstwo Sportu, które badania opłaciło. Raport („Polaków portret własny"), merytorycznie banalny, zredagowany przez AI, zawierał kuriozalne, kompromitujące błędy rzeczowe i językowe, ejajowe halucynacje, dziwne anglicyzmy, jak urocza fraza o „zakorzenieniu Polski w historycznym sufferingu" (czyli cierpieniu). Raport wzbudził wręcz szaleństwo internetu: od razu powstało mnóstwo parodii, memów, wiele naprawdę bardzo zabawnych. Pani minister musiała się podać do dymisji za „sięgnięcie dna/DNA marki Polska". I tak, powszechnym rechotem zakończyła się jedna spektakularna kariera oraz rządowa inicjatywa promowania sukcesu i wizerunku Polski.

Polska – jak pisze na s. 14 Mateusz Mazzini – ma dziś na świecie naprawdę dobrą markę, imponuje gospodarczym wzrostem, jakością nowiutkich dróg; kulturalną ofertą, bezpieczeństwem i czystością miast (dla prawicy – także czystością etniczną). Polska stała się tzw. modną destynacją, zwłaszcza odkąd potworne upały wyganiają turystów na północ Europy. Ogólnie jest się czym chwalić i wabić świat; trudno się dziwić, że rząd chce się skojarzyć z polskim sukcesem. Falstart z panią minister potwierdza jednak – chyba już chroniczną – niesprawność komunikacyjną rządu. Właściwie od początku istnienia koalicji 15 października jest o to pretensja ze strony mediów, rozmaitych środowisk, zwykłych wyborców. Pretensja głównie do premiera Tuska, który niemal zmonopolizował – i tak ubogi – publiczny przekaz całej ekipy. Powołanie rzecznika rządu niewiele poprawiło. Czy naprawdę premier osobiście musiał rekomendować „pełnomocniczkę do spraw promocji" w randze wiceministra, Macieja Berka na sędziego TK czy osobiście przedstawiać założenia reformy podatkowej? A od czego są odpowiedni ministrowie, wobec których premier powinien grać rolę arbitra, instancji odwoławczej, zostawiać sobie jakieś pole manewru? Jeśli wszystko ma być sukcesem i osobistą odpowiedzialnością Tuska, to każde potknięcie będzie też jego winą.

Skupienie rządowego przekazu wokół osoby premiera ma jeszcze ten skutek, że zwalnia pozostałych członków ekipy, także setki zawodowych polityków i w ogóle aparat państwa, z obowiązku informacyjnego i promocyjnego. A dzisiejsza polityka (co już wstyd powtarzać) bardziej niż w sferze faktów i decyzji rozgrywa się w obszarze emocji, konkurencyjnych narracji i wizerunków. Pisaliśmy wielokrotnie, że ideowo anachroniczny PiS jest komunikacyjnie partią bardzo nowoczesną. Także premier Morawiecki wszystkie niemal działania swego rządu budował wokół piaru: oglądaliśmy przecież nieustannie jego występy w zmieniających się strojach i dekoracjach. Tak samo najważniejsi ministrowie (Ziobro, Błaszczak, Gliński, Czarnek, Sasin) mieli własną publiczną agendę i sztaby promocyjne, w realu i w internecie.

Krążyły legendy, ale i twarde dane, ilu ludzi, ile firm i jakie pieniądze są angażowane w badania i urabianie opinii publicznej, ile miliardów wydano na budowę całego ekosystemu sprzyjających władzy organizacji, fundacji, mediów, farm trolli. Ten układ, mimo częściowej utraty władzy przez PiS, nadal działa; sprawdzonych piarowców znajdujemy na zapleczu każdej prawicowej formacji i, oczywiście, w kancelarii prezydenta. Piszemy („Kult Karola" s. 18), jak sprawnie kreowany jest wizerunek Karola Nawrockiego jako strongmana, Karola Wielkiego, człowieka z ludu i dla ludu. Każde kolejne weto, nawet najbardziej absurdalne, ma rozbudowaną oprawę analogową i internetową, za oficjalnym przekazem ruszają lobbyści i *sociale*. Strona rządowa niby coś odpowiada, ale zwykle niemrawo i rutynowo.

Kiedy prezydent zawetował, tak oczekiwaną przez miliony par (głównie żyjących w nieformalnych związkach heteroseksualnych) ustawę „o statusie osoby najbliższej", czy ktoś pomógł zorganizować społeczny ruch oporu, publiczne występy i aktywność medialną osób, którym Nawrocki złośliwie skomplikował życie? Czy po zablokowaniu lex szarlatan Ministerstwo Zdrowia i NFZ odpowiadają kampanią o groźnych skutkach tego „zagrania pod Brauna"? (s. 28). Dlaczego o reformie podatkowej nawet beneficjenci milczą, a w internecie słychać głównie krytykę, „że nie podnieśli do 60 tys. kwoty wolnej" (koszt 60 mld)? Czy ktoś wraca do obietnicy „SAFE zero procent" i 180 mld z NBP na zbrojenia? A zawetowanie ustawy mającej chronić dzieci przed hejtem i manipulacjami w internecie? Każde weto Nawrockiego to właściwie oddzielny temat na kampanię społeczną i polityczną. Ale ktoś to powinien ogarniać i niekoniecznie muszą to być same ministerstwa; są społeczni partnerzy, środowiska, organizacje, aktywiści, których jednak rząd „programowo" ignoruje, lekceważy, często z uzasadnieniem, że „nie będziemy robić tak jak PiS". Nie to nie, ale trzeba się szykować na przyszły *suffering*.

eprasa.pl f4a3c208bc

Albatros travel

Albatros 40 lat

OCENA GOŚCI 4,9/5

Japonia

święto kwitnącej wiśni

Zobacz kwitnące drzewa wiśniowe na półwyspie Izu i wszystkie największe atrakcje Japonii – od tętniącego życiem Tokio po historyczne Kioto i Hiroszimę.

Dzięki wyjątkowemu klimatowi Półwyspu Izu wiśnie kwitną tu już od początku lutego, co daje początek słynnemu festiwalowi Sakura. Odwiedzimy także nowoczesne Tokio, Kioto ze Złotym Pawilonem i dzielnicą gejsz - Gion, Hiroszimę oraz świątynną wyspę Miyajima. Spróbujemy sushi i wołowiny wagyu. Podróżować będziemy pociągami regionalnymi, szybkimi Shinkansenami i metrem poznając Japonię jak jej mieszkańcy.

11 dni
Wyloty z Warszawy
09/02, 16/02, 18/02 2027

od **15.998,-**





NOWOŚĆ

Prowansja – historia, wino i lawenda

Pełna uroku podróż od Aix-en-Provence Cézanne'a przez papieski Avignon po wyborne wina Châteauneuf-du-Pape w otoczeniu lawendowych pól.

Program wycieczki: Dz. 1 Przylot do Marsylii i przejazd do Aix-en-Provence. **Dz. 2** Aix-en-Provence – Awinion. Wizyta na targu oraz pracownia Cézanne'a. Przejazd do Awinion. **Dz. 3** Awinion. Pałac Papieski, słynny most i degustacja win z Doliny Rodanu. **Dz. 4** Rzymski akwedukt Pont du Gard i urokliwe miasteczko Uzès. **Dz. 5** Papieskie winnice Châteauneuf-du-Pape i świat lawendy. **Dz. 6** Arles i Saint-Rémy-de-Provence – śladami Van Gogha i rzymskich budowli. **Dz. 7** Powrót do domu z Prowansją w sercu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 28/10 2026, 05/05 2027 | od **6.998,-**



OCENA GOŚCI 4,8/5

Angkor – imperium w głębi dżungli

Wycieczka śladami dziedzictwa kulturowego Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, zwiedzanie m.in. słynnego Angkor Wat oraz rejs rzeką Mekong.

Podróż śladami Imperium Khmerów. Zobaczymy m.in. Pałac Królewski i świątynię Wat Pho w Bangoku, Angkor Wat i Angkor Thom, stolicę Kambodży Phnom Penh, Ho Chi Minh, pływający targ na Mekongu i tunele Cu Chi w Wietnamie.



15 dni | Wyloty z Warszawy 15/11* 2026, 30/01*, 06/03* 2027

od **11.998,-**

*możliwość przedłużenia pobytu o 4 dni na plaży w Phan Thiet

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL32**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl f4a3c208bc

Podatki i datki



Podatkowe propozycje rządu mają nieco osłodzić poczucie krzywdy podatników PIT, którzy ponoszą największy ciężar utrzymania państwa. Czyli specjalistów zatrudnionych na umowę o pracę oraz drobnych przedsiębiorców, rozliczających się według progresywnej skali podatkowej.

Chociaż bowiem stawka 32 proc. podatku obowiązuje od czasów Polskiego Ładu, to próg, od którego nalicza się najwyższy podatek, pozostaje od tego czasu zamrożony na poziomie 120 tys. rocznych dochodów, mimo że ceny rosną. Według obliczeń CenEA (Centrum Ekonomicznych Analiz) gdyby go corocznie waloryzowano, powinien obecnie wynosić 170 tys. zł.

Realnie podatki tej grupy rosną wraz z inflacją, bo próg przekracza już coraz więcej osób, w 2025 r. było ich 2,4 mln, w tym nauczyciele, którzy do krezusów nie należą. Przekroczenie progu odebrało im podwyżkę, na którą tak długo czekali. Najwyższy podatek (32 proc. plus 9 proc. składki na zdrowie) płacą osoby, których zarobki oscylują wokół średniej krajowej, wynoszącej już ok. 10 tys. zł miesięcznie brutto.

Rząd chciałby tę niesprawiedliwość nieco złagodzić i proponuje, aby od dochodów 130–150 tys. zł rocznie obowiązywała nowa stawka 24 proc., a dopiero powyżej tej sumy 32 proc. Nie jest to zmiana rewolucyjna, bo zyskać można na niej niewięcej niż 3,6 tys. zł rocznie. Dotyczyłaby 3,5 mln osób.

Taki uzysk rozśmiesza tylko prawdziwych beneficjentów systemu podatkowego, którymi jest kilkumilionowa już rzesza tzw. ryczałtowców, którzy właśnie z powodów podatkowych zamienili etat na samozatrudnienie. Im realne podatki nie rosną, bo progresja ich nie dotyczy. Są to m.in. lekarze na kontraktach, architekci, pośrednicy w handlu nieruchomościami, programiści, zawody prawnicze. Jeśli ich roczne dochody nie przekraczają 2 mln euro, ich podatek wynosi 12, 14 lub jeszcze mniej procent. Taki prezent dostali od premiera Morawieckiego, który jednocześnie zamroził progi podatkowe etatowcom.

Rząd nie chce pozbawić ich przywileju, proponuje tylko przywrócić limit 250 tys. euro, powyżej którego ryczałtem nie można byłoby się już rozliczać. Czyli lekarz na kontrakcie, jeśli go nie przekroczy, nadal zapłaciłby mniejszy podatek niż jego młodszy kolega rezydent. Pytanie brzmi: czy krzywdą będzie stawka 12, a nawet 14 proc. podatku dla kogoś, kto zarobi prawie milion złotych i płaci niższą niż etatowcy składkę na zdrowie, jeśli jednocześnie osoba zarabiająca mniej niż 200 tys. zł rocznie musi płacić 41 proc.? Zatrudnieni na etacie bardzo by sobie takiej krzywdy życzyli. Żeby zmiana nie uszczupliła budżetu, rząd chciałby, aby duże firmy, osiągające więcej niż 50 mln euro obrotów, płaciły CIT 22 proc. zamiast obecnych 19.

Prezydent Nawrocki nie dostrzega, że system podatkowy w Polsce jest głęboko niesprawiedliwy, krzywdzący dla średniaków na umowie o pracę, a zbyt hojny dla firm, które nikogo nie zatrudniają. Z pewnością natomiast wie, że owi etatowi średniacy raczej nie należą do jego zwolenników, beneficjenci zaś sympatyzują z Konfederacją, do której jest mu najbliżej i jej przywilejów będzie bronić. Z Pałacu Prezydenckiego płyną więc sygnały, że i tę propozycję rządu, która na razie nie jest nawet projektem ustawy, prezydent zawetuje.

Ofiary niesprawiedliwego systemu podatkowego nadal więc będą finansować wydatki państwa w stopniu większym niż jego beneficjenci. Może tylko dotrze do nich, komu to zawdzięczają.

JOANNA SOLSKA

Ceny na wysokości

O to, czy groza paragonowa dotarła do schronisk górskich, pytamy Kajetana Domagałę, redaktora naczelnego magazynu „Na Szczycie”.

JĘDRZEJ WINIECKI: **– 17 zł za półtora litra wody, 20 zł za piwo. To dużo?**

KAJETAN DOMAGAŁA: – Utrzymanie schronisk jest drogie, nie można dokładać do interesu. Niemałe opłaty z tytułu najmu pobiera Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. W górach sezon grzewczy właśnie rusza, potrwa nawet 9 miesięcy, a na ogrzanie dużych budynków, jak tatrzańskiego **Murowańca**, potrzeba 60 ton węgla. Ich gospodarze uzależnieni są od kaprysów pogody. Deszczowy albo słoneczny lipiec, szybszy początek zimy, okres zalegania śniegu – wszystko to wpływa na długość sezonu, liczbę klientów i ostateczny rachunek.

Tylko że to są ceny z bardzo popularnego karkonoskiego schroniska leżącego przy utwardzonej drodze i kilka kilometrów od sklepu, w którym ta sama woda kosztuje 2,5 zł.

Góry są coraz chętniej odwiedzane. Jeśli jest znacznie więcej ludzi niż przed laty, to nic nadzwyczajnego, że robi się drożej.



Trzeba się przyzwyczaić?

Z ponad pół setki polskich schronisk większość utrzymuje ceny na zdroworozsądkowym poziomie. Nie mam wrażenia, by ktoś nas kantował. Pewne różnice wynikają stąd, że mówimy o różnych światach. Te w dolinach mają wygodny dojazd, bezproblemowy dostęp do prądu, kanalizacji i bieżącej wody. I oferują, jak np. Trzy Korony w Pieninach, zestaw obiadowy za 42 zł. Do tych leżących wysoko lub prawie w głuszy wszystko trzeba wnieść na czyichś plecach albo – jak w Dolinie Pięciu Stawów – wieźć quadem, a zimą gąsienicowym wszędołazem, i wciągać specjalnym wyciągiem. Pewnie nie ma reguły, bo są ajenci, którzy uważają, że na wodzie w górach zarabiać to nie honor.

Może nazwa schronisko jest myląca? Zakłada funkcję opiekuńczą, niekoniecznie zamach na portfel turysty.

Mają być miejscem schronienia w sytuacji nadzwyczajnej, podczas załamania pogody czy osłabnięcia. Nie wolno im odmówić, jeśli ktoś chce się w ich cieple ogrzać. Generalnie nie ma nic złego w tym, że się unowocześniają i zbliżają do hotelowych standardów znanych m.in. z Alp. Jakoś nie protestujemy, że tam też płacimy więcej, bo kawa pita na wysokości 2,5 tys. m n.p.m. z widokiem na ośnieżone szczyty kosztuje więcej niż na dole.

© SHUTTERSTOCK, MACIEK JAŹWIECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, WOJCIECH JARGIŁO/PAP

eprasa.pl f4a3c208bc

Wyborczy atak na Ukrainę



Karolina Lewicka
Dziennikarka Radia TOK FM,
wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Kto ma uszy, niechaj słucha! „Jestem zdecydowanie przeciwny szczuciu na obywateli ukraińskich" – zapewnia Mateusz Morawiecki. Oto były premier został centrystą. Jednocześnie Morawiecki fantazjuje o polskim ICE, „służbie deportacyjnej" w mundurach i brutalnej asymilacji. Jego szokująca konferencja na warszawskich Bulwarach Wiślanych to już preludium do kampanii wyborczej. Histeryczne reakcje polskiej prawicy na wydarzenia w hiszpańskiej Ceucie jasno dowodzą, że spore nadzieje pokłada ona w tym, co już wiele razy i w wielu krajach okazało się efektywne wyborczo: w straszeniu migrantami. Sławomir Mentzen grzmiał, że Europa „zostanie podbita przez dzikie ludy z Afryki".

Przy czym z pola widzenia Nowogrodzkiej i konfederatów nie znikają Ukraińcy. Wręcz przeciwnie – słyszę o planie polskiej prawicy na kampanię, która miałaby koncentrować się na kwestii członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej. Spin doktorzy doszli bowiem do wniosku, że apele o wstrzymanie pomocy militarnej dla napadniętego sąsiada i tak najwiarygodniejsze są w ustach Brauna, a na dodatek nie rezonują wśród wyborców koalicji 15 października. A przecież chodzi o to, by ich właśnie jakoś zdemobilizować. Według niedawnego sondażu Opinia24 dla POLITYKI zaledwie 33 proc. z nas uważa, że Polska powinna sprzyjać staraniom Kijowa o akcesję do UE, a 52 proc. jest temu przeciwne. Wyborcy KO i Lewicy są, oczywiście, bardziej na tak niż elektoraty PiS, Konfederacji i Korony, ale część tych deklaracji może wynikać z poprawności politycznej.

Także badania sieci udowadniają, że niechęć do Ukraińców przekracza polityczne bańki, że wyborcy różnych partii spotykają się w tym samym miejscu. Tu właśnie swoją szansę dostrzegli sztabowcy prawej strony. I mniejsza z tym, że przyjęcie Ukrainy do Wspólnoty to jest pieśń przyszłości.

Rządzący mogą mieć jeszcze jeden problem. Przed wakacjami KO przeprowadziła badania opinii publicznej, z których wynika, że ich wyborcy nie chcą być straszeni wojną, nie chcą się jej bać. Publicznie dostępne sondaże, choćby ten dla „DGP" z lipca, mówią, że większość z nas nie uważa, by agresja Rosji na innych sąsiadów, w tym Polskę, była obecnie realnym scenariuszem. Badani przez KO bardziej niż wojny lękają się zapaści ochrony zdrowia. A przecież Donald Tusk zainwestował najwięcej właśnie w narrację dotyczącą „epoki przedwojennej". Jakby tego było mało, sukcesy tego rządu: finansowanie z budżetu państwa in vitro, „babciowe" czy renta wdowia, w ogóle nie przebiły się do świadomości wyborców tej koalicji! Za to kilkaset tysięcy z nich jest sfrustrowanych z powodu buksowania w sprawach tzw. światopoglądowych, demobilizują się też wyborczynie między 30. a 50. rokiem życia. Złe emocje, jakie z pewnością będzie się starała wzbudzić prawica, mogą trafić na podatny grunt i uniemożliwić powtórkę z Jagodna.

Akt z makulatury



Lublin to nie Warszawa – usłyszały **Jola i Alicja Sienkiewicz-Prochowicz**. Gdy zwróciły się do lubelskiego Urzędu Stanu Cywilnego o transkrypcję aktu małżeństwa zawartego na Maderze, spotkały się z odmową. Po wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego unieważniającego tę odmowę otrzymały jednak polski akt małżeństwa, ale urząd nie wprowadził zmian w ich rejestrach PESEL.

– *Wydany przez lubelski urząd akt nie wywołuje żadnych skutków prawnych; nawet tego podstawowego, jakim jest zmiana stanu cywilnego. W krajowym rejestrze Jola i Alicja nadal są pannami* – mówi Maja Heban ze Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza.

Dr Piotr Kasprzyk, redaktor naczelny czasopisma „Metryka", wydawanego we współpracy z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, w filmiku adresowanym do Joli i Alicji informuje je, że w świetle polskiego prawa nie są małżeństwem. Według niego dokonywanie transkrypcji jest bezprawne, a taki akt ma „wartość makulatury". „Metryka" od miesięcy prowadzi szkolenia dla urzędników, jak odmawiać parom jednopłciowym. Obejmują one m.in. argumentację prawną odwołującą się do konstytucji i gotowe wzory decyzji odmownych. Koszty szkolenia urzędy pokrywają ze swoich budżetów. Wykupiło je już prawie 40 gmin w Polsce.

Urzędnicy są zdezorientowani. Z jednej strony groźby, że łamią konstytucję, i świadomość, że gdy prawica ewentualnie przejmie władzę, poniosą konsekwencje. Z drugiej strony: wyrok TSUE, wyroki polskich sądów administracyjnych, zobowiązujące do umożliwiania transkrypcji i rozporządzenie ministerialne, które właśnie kilka dni temu weszło w życie.

Gdy rozporządzenie podpisywano w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Ministerstwie Cyfryzacji, mówiono, że to historyczny dzień – przełomowa odpowiedź na wieloletnie trudności prawne, z jakimi mierzyły się pary jednopłciowe. Teraz wreszcie mają być traktowane z godnością i szacunkiem. Problem w tym, że urzędnicy stanu cywilnego, chcący wykonywać swoją pracę rzetelnie, od miesięcy kierują do MSWiA pytania i prośby o spotkanie, nie mogą doczekać się odpowiedzi.

– *Ministerstwo wprowadziło prawo, ale bez instrukcji, jak je stosować* – kwituje Maja Heban. Stowarzyszenie doczekało się odpowiedzi z MSWiA. Czytamy w niej, że skutki prawne transkrypcji pozostają poza zakresem jego właściwości. To tyle w sprawie Joli i Alicji, które swój polski akt małżeństwa mogą co najwyżej powiesić sobie na ścianie. Zamiast „godności i szacunku" pary jednopłciowe dostały od państwa prawny chaos. Jedne urzędy (m.in. Warszawa, Wrocław czy Milanówek) dokonują transkrypcji i zmian w rejestrach PESEL z automatu, inne szkolą się w odmowach. Na szczęście nie obowiązuje w tej kwestii rejonizacja. Pozostaje więc im turystyka transkrypcyjna.

JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl f4a3c208bc



Zdemontuj sąsiada

„Stany Zjednoczone **Donalda Trumpa** podpisują swe zobowiązania ołówkiem" – powiedział z dezaprobatą premier Kanady **Mark Carney**, gdy w weekend wojna handlowa między północnoamerykańskimi sąsiadami gwałtownie eskalowała. Jeszcze w czwartek prezydent USA przewidywał umowę handlową, która „będzie wyjątkowo korzystna dla obu stron". Jednak w piątek przed północą Kanada zerwała rozmowy. Carney przekonywał, że Amerykanie zmienili oczekiwania i zażądali zbyt dużo – już długopisem. W rezultacie w sobotę Waszyngton nałożył 50-procentowe cła na kanadyjskie produkty o łącznej wartości ok. 20 mld dol. (5,5 proc. kanadyjskiego eksportu). A prezydent Trump oświadczył: „Kanada chce korzyści płynących z bycia stanem (USA – przyp. red.), nie będąc nim!!!". Carney zapowiedział odwet „dolar za dolara", jeśli do 8 września strony się nie dogadają.

Sąsiedzi nie mogą się dogadać, odkąd Trump drugi raz zasiadł w Białym Domu i zaczął nazywać Kanadę potencjalnym 51. stanem USA. Nieustannie przekonuje, że kanadyjskie korzyści płynące z eksportu do USA (m.in. stali, aluminium i drewna) są „wybitnie" niesprawiedliwe. Z kolei Carney, były szef Banku Anglii, który rok temu niespodziewanie wygrał kanadyjskie wybory, zapowiadając twarde stanowisko wobec południowego sąsiada, powtarza, że Kanada musi zmniejszyć swoją zależność od USA, dokąd kieruje ponad 70 proc. eksportu.

Carney tym razem zastosował ulubioną przez Trumpa taktykę deadline'u – dał Amerykanom czas do 8 września, aby przemyśleli nowe cła. Jak pisze kanadyjska prasa, to taktyka na użytek wewnętrzny, bo wiadomo, że Trump raczej zdania nie zmieni. Ofensywna postawa wobec Waszyngtonu, mimo że wiąże się z ekonomicznymi kosztami (stagnacja PKB, wzrost bezrobocia), wciąż świetnie się sprzedaje w kanadyjskiej polityce. Doug Ford – konkurent Carneya, przypominający nieco Trumpa premier prowincji Ontario – powiedział, że Kanada mogłaby „zdemontować Stany Zjednoczone", odcinając dostawy energii. Inna kanadyjska prowincja – Alberta – dostarcza mniej więcej połowę importowanej przez USA ropy naftowej, która jak dotąd jest wyłączona z amerykańskich ceł.

Problem polega na tym, że i Amerykanie chyba myślą o „zdemontowaniu" sąsiada. W październiku właśnie w Albercie odbędzie się referendum na temat przyszłości tej prowincji w kanadyjskiej federacji i nie jest tajemnicą, że po stronie separatystów od wielu miesięcy działają pieniądze związane z amerykańską prawicą. ŁW

Lajki jak fajki



W kalifornijskim Oakland rozstrzyga się przyszłość serwisów społecznościowych. 29 stanów twierdzi przed tamtejszym sądem federalnym, że firma **Meta**, właścicielka m.in. Facebooka i Instagrama, celowo dąży do uzależnienia dzieci od swoich usług. W mowie otwierającej Megan O'Neill, zastępczyni prokuratora generalnego Kalifornii reprezentująca powodów, zarzuciła przedsiębiorstwu, że stworzyło model polegający na przyciągnięciu młodziutkich użytkowników i zatrzymaniu ich tak długo, jak to możliwe. Po to, by zbierać ich dane i kierować do nich – bo na tym zarabia – odpowiednio skrojone reklamy. Meta miała wiedzieć o szkodliwości swoich produktów i wiedzę tę ukrywać.

Skarżący domagają się wyłączenia funkcji „manipulujących dopaminą" (czyli tzw. hormonem szczęścia): przewijania bez końca, automatycznie włączających się nagrań i nachalnego podrzucania przez algorytmy potencjalnie wciągających treści. Chcą też zakończenia publicznego wyświetlania liczby polubień (tzw. lajków) i usunięcia filtrów upiększających, np. wygładzających skórę bohaterom zdjęć. Mecie grożą też kary finansowe. Stany szacują je maksymalnie na 200 mld dol., za to firma twierdzi, że mogą sięgnąć nawet 1,2 bln, co zrównałoby się z giełdową wartością jej biznesu. Proces – na razie to pierwsza instancja – potrwa zapewne do przełomu września i października.

Sprawie przyglądają się konkurenci Mety, bo ich serwisy też są pozywane. Takie same pretensje zgłasza do nich Komisja Europejska i państwa wprowadzające zakazy korzystania ze społecznościówek dla dzieci i młodszych nastolatków. Wróciła więc atmosfera z początku lat 90., gdy po amerykańskich sądach włóczono producentów papierosów. Tzw. procesy tytoniowe skończyły się ugodą z rządem. Były kary, utrudnienie reklamy i ograniczenie dostępności dla nieletnich. Na pudełkach pojawiły się oznaczenia zdrowotne. Po drodze upowszechniła się świadomość o fatalnych konsekwencjach palenia.

Choć po procesach tytoniowych wiele się zmieniło, to nie położyły całej branży. Zyski utracone w Stanach Zjednoczonych i Europie koncerny z powodzeniem odbiły sobie w krajach rozwijających się. Także w sprawie z Oakland nie chodzi o to, żeby Metę i w ogóle serwisy wykończyć. O podejściu do cyfrowych gigantów, pereł w koronie amerykańskiej gospodarki, coś mówi rezultat postępowania antymonopolowego z 2023 r. Uznano wtedy, że właściciel Google dopuszcza się praktyk monopolistycznych, ale nie nakazano żadnych wypłat, podziału firmy ani sprzedaży Chrome, najpopularniejszej wyszukiwarki internetowej na świecie. JW

eprasa.pl f4a3c208bc

Chiny kawalerów



Co się dzieje, kiedy – tak jak w Chinach – na 119 mężczyzn w wieku małżeńskim przypada tylko 100 kobiet? To spadek po polityce jednego dziecka (1980–2015); kiedy Chiny zbliżały się do miliarda mieszkańców, zezwolono rodzinom tylko na jednego potomka. Zdecydowanie wolały męskiego, stąd opisane demograficzne konsekwencje i klasyczna dziś gospodarka niedoboru.

Rodzice robią wszystko, żeby ożenić swoich jedynaków, bo wymagania rosną: co najmniej mieszkanie, samochód, dobry adres i zawód oraz często *caili*, tradycyjna opłata za pannę młodą rzędu 100 tys. juanów (ponad 50 tys. zł). Powstał stosowny rynek usług: swatek, agencji, trenerów randkowych, prezentacji w internecie. Istnieje szara strefa, np. od dwóch lat modne były aranżowane błyskawiczne małżeństwa, nawet po trzech randkach, z cenami od 300 tys. juanów. Często okazywały się oszustwem, co wywoływało krytykę, więc władze zabrały się za ten proceder. Jest czarny rynek szmuglowanych kandydatek z zagranicy (z Wietnamu, Mjanmy, Laosu, a nawet uciekinierek z Korei Północnej), co jakiś czas wybucha kolejna afera.

Generalnie idzie opornie, bo zmienił się typ panny młodej, też jedynaczki jak kandydaci. Młode kobiety są lepiej wykształcone, ambitne i pewne swego, a zawyżone oczekiwania czerpią z minidramatów, chińskich romantycznych seriali. „One chcą księcia, oni potulnej gospodyni domowej" – jak to charakteryzuje jedna z bohaterek. Popularność małżeństw maleje: w pierwszym kwartale tego roku zawarto ich zaledwie 1,7 mln (połowę tego, co dziesięć lat temu), a zniechęca dodatkowo niekorzystna dla kobiet polityka rozwodowa, co nagle stało się istotne. Średnia dzietność w Chinach spadła poniżej jednego; od czterech lat maleje liczba ludności, społeczeństwo szybko się starzeje i w perspektywie czeka katastrofa.

Na placu boju pozostaje pokonane 30 mln mężczyzn, którzy nie mają szans na ożenek, tzw. *guanggun* – „nagie gałęzie", „puste odnogi". Zasilają manosferę w internecie, dzisiejsze panny nazywają *baojinbi*, „polującymi na złote monety", czyli dojącymi kandydatów bez opamiętania. Ta armia frustratów to wielkie obciążenie społeczne. Podobnie jak utopione w rytuałach ślubnych biliony jenów, które mogłyby zasilić konsumpcję zbiorową i wreszcie rozruszać gospodarkę. Władze mają tego świadomość i lansują nowy obyczaj *san wu* (trzy razy „bez"): ślub bez orszaku, podarków i bankietu oraz bez opłaty za pannę młodą. Pekin apeluje do lokalnych władz, aby ustalały limity wydatków weselnych, ujednoliciły menu, a najlepiej same organizowały ceremonie w nowym stylu. Czy od tego przybędzie dzieci? WP

Ebola nie do zatrzymania



Papież Leon XIII wzywa do pilnych międzynarodowych działań na rzecz powstrzymania **eboli w Demokratycznej Republice Konga**. Odnotowano tam ponad 5,5 tys. przypadków, zmarła połowa chorych. Wysoki poziom śmiertelności wiąże się z tym, że aktywny jest wirus Bundibugyo, który dotąd uaktywnił się tylko dwukrotnie. Był na tyle rzadki, że nie opracowano dla niego szczepionki i nie ustalono sposobu leczenia. Znaną z Afryki Środkowej gorączkę krwotoczną ebola, która prowadzi do wielonarządowej niewydolności, wywołuje grupa czterech wirusów. Ich źródłem są najprawdopodobniej nietoperze, od których zarażają się ludzie. Szerzy się po kontakcie z krwią i innymi płynami ustrojowymi, a także z zanieczyszczonymi nimi przedmiotami.

Ebola regularnie powraca, w DRK już po raz 17., choć nigdy nie w takiej skali. Obecne zachorowania trwają od maja. Przynajmniej te potwierdzone, bo modele podpowiadają, że choroba mogła wystartować jeszcze zimą i pozostać niezauważona. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) prognozuje, że w umiarkowanym scenariuszu szczyt fali przypadnie w lutym 2027 r. i uda się ją wyhamować mniej więcej za 12 miesięcy. W wariancie optymistycznym – za pół roku. WHO alarmuje jednak, że to mało prawdopodobne, bo tym razem ebola wymyka się spod kontroli i rozprzestrzenia najszybciej w historii, licząc od jej odkrycia 50 lat temu, toteż niewiele brakuje do katastrofy.

Epidemii sprzyja bardzo trudna sytuacja w DRK. Kraj dotknięty jest przewlekłymi konfliktami zbrojnymi, a walki wzbudzają masowe przemieszczenia dużych grup i blokują dostęp do chorych. Ochrona zdrowia – o ile w danym miejscu funkcjonuje – jest przeciążona i brakuje jej sprzętu. Dotąd zakażeniu uległo ok. 160 pracowników medycznych, zmarło 45. WHO sprawdza skuteczność istniejących szczepionek i leczenia. Kilka zespołów, m.in. w Chinach, Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, stara się błyskawicznie opracować preparat wycelowany w wirusa Bundibugyo. Pomocne mogą być technologie wykorzystane przy stworzeniu szczepionki przeciwko SARS-CoV-2, czyli sprawcy niedawnej pandemii. JW

© EVELYN HOCKSTEIN - POOL/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, YU FANGPING/FEATURE CHINA/FUTURE PUBLISHING VIA GETTY IMAGES, DIEUDONNE DIROLE/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl f4a3c208bc

Kosmetykoreksja atakuje

12-latki, 13-latki ćwiczą makijaże na rozpoczęcie roku szkolnego. Pod dyktando influencerek z TikToka nakładają tony kremów, lakierów i inwazyjnych odżywek. Po co to wszystko?

JOANNA CIEŚLA



Nastoletniej klientce Aleksandry pomadka schodziła z ust razem z naskórkiem. – *Dziewczynka kupiła szminkę reklamowaną jako supertrwała. I faktycznie nie sposób było jej zmyć, a do tego warstwa nałożona na usta zaczęła pękać i odpadać* – relacjonuje kosmetolożka. Na ustach nastolatki powstały wielkie rany.

Dziecko zrobiło zakupy w internecie, jak wiele 12-, 13-letnich podopiecznych kosmetolożki Aleksandry Rukścińskiej, które nie są w stanie wydać dużo, ale jednocześnie bardzo chcą zakrywać pierwsze zmiany trądzikowe, „dodać skórze blasku", „maskować oznaki zmęczenia". – *Na skórze tych dziewczynek jest wiele ognisk zapalnych pozatykanych przez zbyt ciężkie podkłady o nieodpowiednim składzie i z kiepskiej jakości barwnikami.* Dziewczęta przychodzą też z poparzeniami spojówek, poranionymi powiekami czy wręcz z urazami rogówki po nieumiejętnym nakładaniu sztucznych rzęs. Za piękno zawsze trzeba było płacić, jeśli nie pieniędzmi, to wyrzeczeniami. W ostatnich latach świat wymaga tych nakładów coraz więcej.

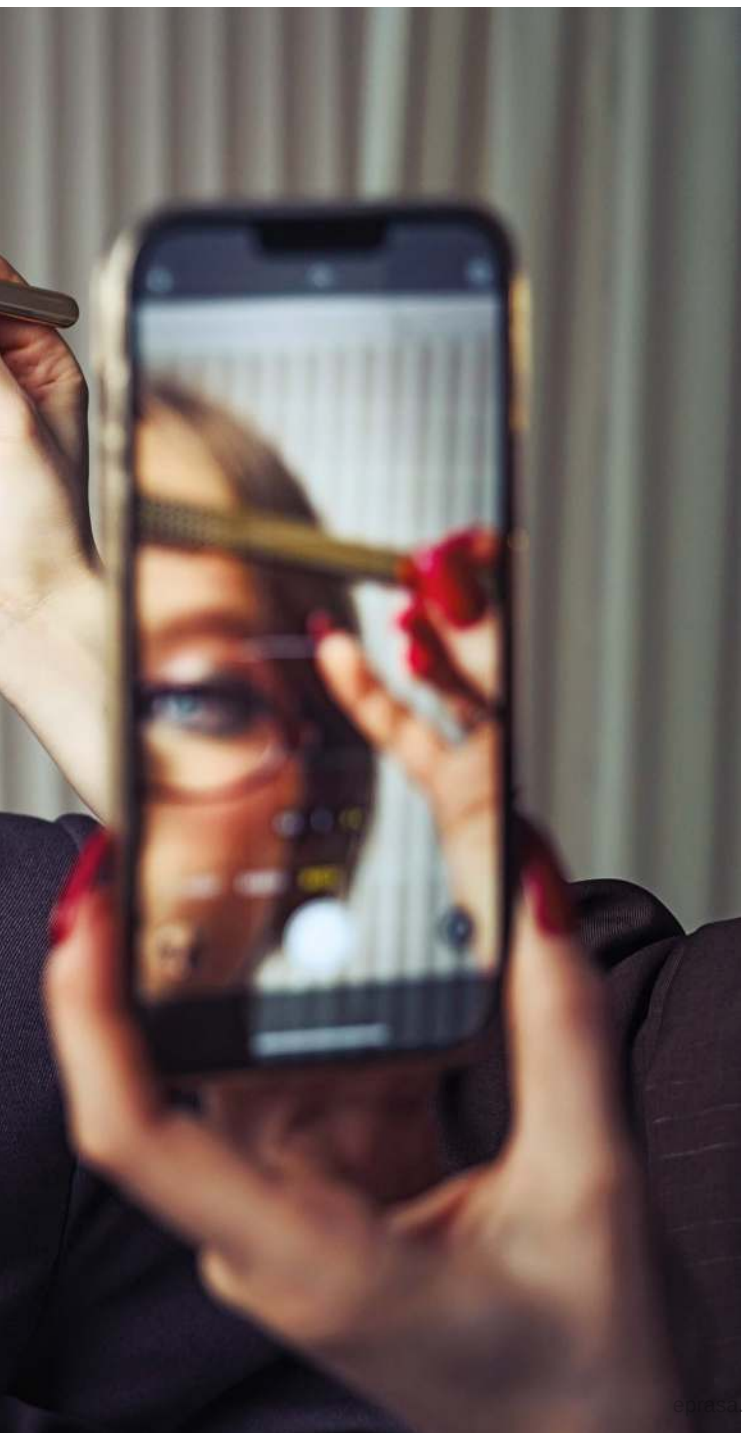

© GETTY IMAGES

Koleżanki Amelki z Olsztyna w szóstej klasie malowały się już wszystkie. – *Poprosiłam mamę o podkład, wybrałyśmy w Rossmannie coś najprostszego. Z czasem doszedł do tego korektor i bronzer, cienie do powiek, baza pod mascarę i mascara oraz konturówka do ust i błyszczyk.* Dodatkowo Amelka często dokleja sobie rzęsy i paznokcie. – *Uzgodniłyśmy, że do szkoły Ama może się malować delikatnie, kiedy idzie gdzieś ze mną – nieprzesadnie, a gdy wychodzi z koleżankami – jak chce* – przyznaje Bogna, mama dziewczynki. Stara się utrzymać rzeczywistość w ryzach. Przypuszcza, że jeśli nawet zabroniłaby córce się malować, ona i tak zrobiłaby makijaż i dokleiła sobie, co chce, w autobusie lub na przystanku. Bogna sama prawie nie używa kosmetyków, ale do zwyczajów córki, dziś absolwentki podstawówki, właściwie już przywykła. Może najmniej do tego, że Amelka i jej koleżanki pieczołowicie malują sobie nosy, a efekt jest taki, jakby były brudne. Fachowo nazywa się to konturowanie.

Zachodni trend Sephora kids, dzieci spędzających godziny w sklepach kosmetycznych, kilogramami testujących próbki i systematycznie wykonujących makijaż, dotarł do Polski. – *Choć w odniesieniu do naszych realiów trzeba by mówić raczej o Rossmann kids czy Hebe kids, bo Sephora wciąż jest dla większości Polaków droga* – zauważa prof. Magdalena Ankiel, która wykłada m.in. przedmiot marketing kosmetyków w Instytucie Marketingu na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu. Dzieci przesiadują w sklepach lub na stronach internetowych pod wpływem tego, co oglądają w mediach społecznościowych. A te wypchane są zachętami do kupna fluidów, odżywek, lakierów, eye-linerów, kredek do brwi, farb do włosów, kremów, żeli, mleczek i pianek. – *Rynek kosmetyczny jest bardzo konkurencyjny, firmy usiłują sprzedawać ogromne ilości produktów, a możliwość dotarcia do nowego segmentu odbiorców jest bezcenna. Jeśli więc do dzieci można docierać przez media społecznościowe, to w pewnym sensie racjonalne jest, że producenci właśnie tak robią. Tym bardziej że wiedzą, że przynajmniej na TikToku nie ma nas – dorosłych* – podkreśla prof. Ankiel.

Tusz na dobry start

Na potrzeby tego artykułu obejrzałam na TikToku i Instagramie setki tutoriali makijażowych, filmików z hasztagami GRWM, czyli „get ready with me" (jak mówią polskie *mikroinfluencerki* „uszykuj się ze mną", np. do szkoły), w tym: *skin care routine* (codzienna pielęgnacja skóry), *haul zakupowy* (prezentacja zakupów – często za setki złotych). Choć jestem dorosła, te treści wpędziły mnie w niepokój, że za mało o siebie dbam, i uruchomiły zew, by natychmiast uzupełnić kosmetyczkę.

Wiele z tych materiałów realizowały 11–12-letnie twórczynie. Zgodnie z regulaminami platform dzieci poniżej 13. roku życia nie powinno tam być. Ale działają bez przeszkód – mimo że niektóre nawet w nazwie konta umieszczają daty urodzenia. Czasem same upiększają się esencją śluzu ślimaka, a usuwają makijaż preparatami dla 60-latek, w ładnych butelkach z *luxury vibe*. Czasem dziewczynki są malowane przez osoby dorosłe.

Na przykład Juliana nakłada 12-letniej siostrze rozświetlającą bazę pod makijaż. Wciąż zachwycając się, „jaka młoda piękna ▶

epress.pl f4a3c208bc

▶ cera!", dodaje podkład mineralny. Podkreślając, że „nie ma co zakrywać", rozsmarowuje pod oczami dziewczynki korektor, a na policzkach krople rozświetlacza. 10-letnią Marysię mama maluje na rozpoczęcie roku w czwartej klasie: podkład, bronzer, róż, rozświetlacz, cienie do powiek. Na nagraniu wręcza jej prezent na nowy rok szkolny – pierwszy własny tusz do rzęs.

Kosmetyki pielęgnacyjne – do wspomnianej *skin care routine* – też trendują. 12-letnia Hania – rano, jeszcze przed make-upem – używa siedmiu produktów: mleczko do twarzy, krem z SPF, krem nawilżający i do walki z niedoskonałościami, balsam do ciała, mgiełka do ciała, serum do ust i żel do brwi.

Część treści na kontach uczennic podstawówek opatrzona jest dopiskami „reklama", „płatna współpraca", „współpraca ambasadorska". To materiały ewidentnie adresowane do dzieci, podczas gdy w polskich przepisach kierowanie do nich bezpośrednich wezwań, by kupiły reklamowany produkt, jest zakazane. Jak to możliwe, że takie treści miesiącami wiszą w przestrzeni internetowej i lasują dziewczynkom mózgi?

Mikroprzedsiębiorcy

Prof. dr hab. Monika Namysłowska, specjalistka od prawa reklamy z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, wyjaśnia, że problem leży w tym, kogo zakazy dotyczą. – *Prawo jest zbudowane na założeniu, że reklamę tworzą dorośli, a ściślej przedsiębiorcy. A w mediach społecznościowych często zarówno odbiorcami, jak i twórcami są dzieci.* Konsekwencja jest paradoksalna: takie materiały działają na dzieci silniej niż zwykła reklama. 10- czy 13-latka bardziej niż tradycyjnej reklamie wierzy koleżance albo influencerce, która sprawia wrażenie rówieśniczki. Przedsiębiorcy, pod którego stworzone są przepisy, w takim filmiku nie widać. Na ekranie jest dziecko, które poleca kosmetyki. – *Ale kiedy te „polecajki" są opłacone albo wynagradzane rzeczowo, dziecko działa już na rzecz firmy. I wtedy to firma odpowiada za jego treść jak za własną reklamę* – ocenia prof. Namysłowska.

W świetle polskich przepisów dzieci nie mogą samodzielnie zawierać umów o współpracy z przedsiębiorcami. Za dziecko, które nie ukończyło 13 lat, umowę zawiera rodzic; starsze dziecko może ją zawrzeć samo, ale tylko za zgodą rodzica. A jeśli dziecko nie ukończyło 16 lat, na jego odpłatny udział w reklamie potrzebne jest jeszcze zezwolenie inspektora pracy.

Prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów w lipcu postawił zarzuty związane z kierowaniem do dzieci agresywnych reklam i wywieraniem presji zakupowej influencerom gamingowym znanym jako Wojan i Palion. Ale obaj są pełnoletni i w treściach opartych na popularnych grach komputerowych promują własne produkty oraz własne sklepy internetowe. Są więc przedsiębiorcami. W odniesieniu do influencerek polecających kosmetyki takich postępowań w Polsce dotychczas nie było.

Prof. Namysłowska przypomina sprawę toczącą się od marca we Włoszech. Tamtejszy odpowiednik UOKiK wszczął 27 marca dwa postępowania w sprawie podejrzenia nieuczciwych praktyk rynkowych: jedno wobec Sephora Italia, drugie wobec Benefit Cosmetics, Sephory i LVMH Profumi e Cosmetici Italia. Chodzi o promowanie kosmetyków dla dorosłych (m.in. serum, kremów przeciwstarzeniowych, masek) zachęcające do ich używania przez dzieci. Włoski organ bada dwie rzeczy: pominięcie informacji o tym, że te kosmetyki nie są przeznaczone dla dzieci, oraz ukrytą reklamę z udziałem bardzo młodych mikroinfluencerek. Dostrzega zagrożenie w zjawisku określanym, na razie publicystycznie, kosmetykoreksją (ang. *cosmeticorexia*) – obsesyjnym zainteresowaniem pielęgnacją skóry wśród dzieci.

Zwróciłam się z prośbą o opis realizacji kampanii z udziałem polskich mikroinfluencerek do firm, których marki często były widoczne w oglądanych przeze mnie filmikach: Nacomi, Bielenda oraz Rossmann. Odpowiedzi można streścić: to nie my.

Firma Nacomi, właściciel marki Fluff, tworzonej z myślą o potrzebach młodej skóry, prowadzi cieszący się dużą popularnością program ambasadorski. Ambasador ma „dzielić się miłością do pielęgnacji na social mediach", „testować nowości jako pierwsza/y i odkrywać świat pełen *glow*". Dostaje od Fluff paczki z kosmetykami, o których opowiada w socialach. Żeby dołączyć, trzeba mieć publiczne konto na TikToku lub Instagramie, ukończone 16 lat, podać adres e-mail, swój i rodzica, jeśli ktoś ma mniej niż 18 lat, a także odpowiedzieć na kilka pytań. Jednak na TikToku jako ambasadorki Fluff przedstawiają się dużo młodsze dziewczęta, na przykład L., urodzona pod koniec 2013 r. Zapytana o to obsługa prasowa Fluff odpowiada, że ta osoba „otrzymała od marki niezobowiązującą przesyłkę PR (nawet można ją nazwać pocieszającą)", co nie wiązało się z obowiązkiem publikacji materiałów ani wynagrodzeniem. Potrzeba pocieszenia musiała być silna, bo – sądząc z opisów filmów – paczek reklamowych przyszło do L. więcej. Z wynagrodzeniem czy bez, L. i tak publikuje kolejne filmiki, prezentując mleczka do ciała, błyszczyki, korektory, róże i pudry – bo chce być popularna. A jej obserwatorki – na razie skromne 10 tys. – chcą mieć to, co ona.

Promocja z miłości

Rossmanna i Bielendę pytamy o reklamy nagrywane na przykład przez A., do niedawna uczennicę szóstej klasy. A. zachęca obserwujące rówieśniczki (45 tys.) m.in. do odwiedzin w Rossmannie i do kupna kosmetyków cloud111, marki Bielendy. Rossmann pisze, że „stara się przestrzegać zasady podejmowania współpracy reklamowej tylko z infuencerami w wieku 18+", że materiał nie jest ich, tylko dostawcy, i że nie był z firmą konsultowany, choć filmiki nagrywane są pod wielkimi szyldami Rossmanna. Bielenda Group odpowiada, że z młodymi twórcami internetowymi bezpośrednio nie współpracuje. Robi to w jej imieniu profesjonalna agencja marketingowa. A agencja pisze, że z każdą osobą poniżej 18. roku życia warunki współpracy są ustalane indywidualnie, z udziałem przedstawicieli ustawowych, i że ze względu na obowiązek poufności nie mogą zostać ujawnione.

Co razem tworzy obraz, oględnie mówiąc, mało transparentny. Z pewnością promowanie kosmetyków przez dzieci odbywa się w przestrzeniach, w których dzieci nie powinno być, a dorośli się na to godzą albo jest im wszystko jedno. Na tworzeniu potrzeb u dziewczynek zarabiają nie tylko polscy producenci. Gros kosmetyków nastolatki kupują przez takie serwisy jak Shein czy AliExpress.

Prof. Magdalena Ankiel podkreśla, że z perspektywy użytkowniczki TikToka nie ma znaczenia, czy post jest opisany jako sponsorowany, czy nie, bo w natłoku scrollowanych filmików te informacje i tak uciekają odbiorczyniom. – *Zostaje ogólne przesłanie: trzeba kupować. Dużo.*

Przekaz o nieodzowności kosmetyków płynie zresztą do dzieci, zanim wejdą w świat sociali. Zestawy do makijażu od dawna należą do najpopularniejszych prezentów. W sklepie internetowym empik.pl można nabyć kuferek zawierający nie tylko cienie do oczu czy szminkę, lecz także komplet sztucznych paznokci,

eprasa.pl f4a3c208bc

wraz z klejem, lakiery i lampę do ich suszenia. Według opisu rekomendowany jest dla dziewczynek od trzeciego roku życia.

Tapeta na objaw

Natalia z Dolnego Śląska, 13-latka, oprócz inspiracji makijażowych z TikToka wymienia się polecajkami z koleżankami. Wydaje na kosmetyki prawie całe kieszonkowe – ok. 100 zł miesięcznie. Ekstraprzychody typu 500 zł od dziadka na koniec roku też idą na ten cel. Ale – jak sama ocenia, jej stan posiadania jest skromny – tylko dwie kosmetyczki, jedna do *skin care*, druga do make-upu. – *To dlatego, że ciągle jestem w fazie testów i co mi się nie podoba, od razu wyrzucam.* Kilka koleżanek Natalki (uczy się w szkole prywatnej) ma wypełnione całe toaletki. W nich mleczka Lancôme, szminki Chanel, kredki Diora – warte kilka tysięcy złotych.

Taką toaletkę ma wspominana już A., która na TikToku pracowicie reklamuje także inne niż kosmetyki towary, np. aplikacje do nauki z funkcją wypluwania gotowych wypracowań. Część obserwatorek wyraża niepokój, bo twarz A. po zastosowaniu wielu mleczek czy kremów staje się czerwona. Twórczyni przyznaje – ma liczne alergie, ale nie zniechęca to do kolejnych testów ani jej, ani opiekunów. Dziewczynka niezmordowanie fotografuje się z nałożoną na włosy rubinową farbą i wysypką w podobnym kolorze. Inne nastoletnie influencerki na opuchniętych od uczuleń powiekach malują „tylko delikatne" kreski.

Dermatolog dr Ewa Kaniowska przygląda się dziecięcej taplaninie w kosmetykach z przerażeniem. – *Skóry nie można traktować jak pochewki, w którą można wszystko wsmarować. W przypadku dzieci problem jest poważniejszy niż u dorosłych, bo młoda skóra ma cieńszą ochronną warstwę rogową.* Wszelkie substancje wchłaniają się w nią jak w gąbkę i łatwiej mogą ją uszkadzać. A skóra jest największym narządem immunologicznym, a jednocześnie – częścią ważnej osi mózgowo-jelitowo-skórnej. Takie objawy jak rumień, ale i trądzik, mogą być sygnałami poważnych problemów w funkcjonowaniu innych organów. – *Nie wolno ich ignorować ani zamalowywać przypadkowymi preparatami.*

Dr Kaniowska zwraca uwagę na kosmetyki z dodatkiem retinolu. Retinol, czyli pochodna witaminy A, przy stosowaniu w konsultacji z lekarzem lub kosmetologiem może sprawdzać się np. w walce z zaskórnikami u nastolatek. Na polskim rynku kosmetyki z jego dodatkiem są im jednak oferowane jako produkty „redukujące pierwsze zmarszczki". Opis „Retinolowego serum do twarzy na noc Wygładzający Zawodnik" marki Face Boom brzmi: „działam przeciwzmarszczkowo, wspierając wygładzenie drobnych linii oraz poprawiając elastyczność i jędrność skóry. Dodatkowo pomagam w walce z niedoskonałościami i wypryskami". Producent (Bielenda) proponuje, by „po wykształceniu tolerancji na retinol" stosować serum co 3–4 dni, a później nawet częściej. – *Preparaty z dodatkiem retinolu przeznaczone dla nastolatek mogą służyć m.in. usuwaniu grudek, zaskórników i regulacji pracy gruczołów łojowych. Kierowanie do nich ulotki z zaleceniem usuwania zmarszczek to jednak wielkie nadużycie, wręcz jest szkodliwe* – podkreśla dr Kaniowska. – *Oczywiście mogą pojawiać się drobne załamania na skórze, które mogą świadczyć o odwodnieniu skóry, nieprawidłowym doborze preparatów myjących, ale – na litość boską – jak można kierować do nastolatki przekaz, że coś takiego należy wygładzać?!*



Jakie są perspektywy dziewczynek, które dziś czują, że muszą „wyglądać", nakładać przeciwzmarszczkowe serum i wydawać pieniądze na śluz ślimaków. Jak będą się czuć, gdy faktycznie zaczną się starzeć?

Kosmetolożka Aleksandra Rukścińska potwierdza, że oddziaływania przeciwzmarszczkowe wykonuje się u klientek i klientów mniej więcej od 25. roku życia. – *Młodszej skórze potrzebne jest przede wszystkim nawilżanie i oczyszczanie. Ale do tego nie należy stosować peelingów gruboziarnistych, oferowanych nastolatkom, bo są tanie. Te kosmetyki często sprawiają, że zaskórniki i krosty, zamiast znikać, rozsiewają się po skórze.*

Próg startu dla kosmetyki upiększającej, takiej jak nakładanie sztucznych rzęs lub paznokci, ustawia na 16 lat, a i wtedy wymaga to zgody rodziców. Ale Rukścińska ma świadomość, że nie wszystkie jej koleżanki po fachu tej zasady przestrzegają. Na tiktokowych filmikach barwne szpony mają niemal wszystkie 12–13-letnie mikroinfluencerki. Poza tym klientek się nie legitymuje. Inna rzecz, że od samych mam padają czasem pytania o możliwość nałożenia córeczce tipsów do pierwszej komunii. I że nastolatki same kupują sobie sztuczne paznokcie gdzie bądź i przyklejają własnoręcznie. A gdy trzeba zdjąć, zgryzają zębami.

Jakie są perspektywy tych dziewczynek na kolejne lata? Jeśli dziś czują, że muszą „wyglądać", wykonać makijaż, by być ładne albo przynajmniej „takie jak wszyscy", nakładać przeciwzmarszczkowe serum i wydawać pieniądze na śluz ślimaków, to jak będą się czuć, gdy faktycznie zaczną się starzeć? Wygląda na to, że wychowujemy kobiety, które jeszcze agresywniej niż obecne dorosłe będą się ostrzykiwać, botoksować i kupować mnóstwo preparatów, również po to, by niwelować szkody poczynione w młodości.

JOANNA CIEŚLA

Wszystkie zdjęcia pochodzą z międzynarodowych agencji fotograficznych, w sesjach brały udział modelki.

© GETTY IMAGES

eprasa.pl f4a3c208bc



Jak się pokazać

Polska nigdy nie miała tak dobrego wizerunku na świecie. Ale kiedy sami zabieramy się do autopromocji, wychodzi koślawo. Jak w słynnej już reklamówce z Lewandowskim i Pałacem Kultury. Inni widzą nas inaczej niż my siebie.

MATEUSZ MAZZINI

Jeśli sugerować się wyłącznie nagłówkami światowej prasy, nad Wisłą rośnie dosłownie wszystko. O poziomie całego państwa najdobitniej świadczy wskaźnik wzrostu gospodarczego – miernik wprawdzie bardzo ogólny, ale umożliwiający łatwe porównania.

Według danych Komisji Europejskiej w minionym roku polskie PKB urosło o 3,6 proc. Najnowsze dane i prognozy na 2026 r. mówią nawet o wzroście na poziomie 3,7–3,8 proc. Na tle innych krajów europejskich, zwłaszcza starych zachodnich demokracji, to wynik ze sfery marzeń. Niemiecka gospodarka, do niedawna będąca kołem zamachowym całej Unii, urosła o 0,9 proc. – co i tak u naszych zachodnich sąsiadów wywołało ekscytację, był to bowiem pierwszy wzrost po latach posuchy, kiedy tabelki wskaźników makroekonomicznych świeciły się na czerwono. Równie ciężko jest rozpędzić gospodarki Francji, Włoch czy Austrii.

Przy okazji ogłoszonej właśnie przez premiera reformy podatkowej przypomniano, że w ciągu ostatnich czterech lat średnia płaca w Polsce wzrosła o połowę, a tylko w latach 2024–25 wzrosła realnie o 15 proc. Coraz lepiej wygląda też sytuacja majątkowa Polaków. Polski Fundusz Rozwoju poinformował niedawno, że zsumowane aktywa finansowe polskich gospodarstw domowych po raz pierwszy w historii przekroczyły 4 bln zł. Jednocześnie wzrosły one aż o ponad 15 proc. rok do roku. Oznacza to pokrótce, że z gospodarczego i finansowego punktu widzenia stajemy się krajem strukturalnie bardzo podobnym do zachodu Europy. PKB na mieszkańca wynosi ok. 80 proc. średniej unijnej, co jeszcze kilkanaście lat temu wydawało się osiągnięciem trudnym do wyobrażenia. Przegoniliśmy już Japonię, niedawno staliśmy się szóstą największą gospodarką Wspólnoty. Przed nami (i z nami w grupie G20) już

eprasa.pl f4a3c208bc



Na planie spotu Polskiej Organizacji Turystycznej. Od lewej: **Nikodem Rozbicki jako Fryderyk Chopin oraz Robert Lewandowski.**

sami giganci, budujący swoje bogactwo od setek lat, bo tyle, bez przerw, utrzymuje się tam mniej lub bardziej wolnorynkowa gospodarka. Niemcy, Francja, Hiszpania, Włochy i Holandia to liderzy wyścigu, ale już kraje skandynawskie, Belgia czy Austria oglądają nasze plecy.

Dodatkowo, jak zauważył niedawno portal Euronews, jesteśmy zdecydowanie najwięksi w regionie. Do tego stopnia, że nawet niemiecki „Die Zeit" w szeroko komentowanym eseju opisał Polskę jako nową, lepszą wersję Niemiec – bardziej konkurencyjną, nowoczesną, otwartą na postęp technologiczny, odważniej zarządzaną. Po raz pierwszy od dawna Polska zdaje się wykorzystywać swój potencjał geograficzny i populacyjny, daleko w tyle zostawiając sąsiadów i inne kraje dawnego bloku wschodniego, jeszcze niedawno znacznie bogatsze. Litwa ani Czechy nie stanowią dla nas konkurencji, a Węgry, drastycznie zubożałe po 16 latach niewydolnych ekonomicznie rządów Viktora Orbána, muszą się odbudowywać w wielu sektorach prawie od zera.

Zmienia się też to, co w środku. Maleje w naszej gospodarce udział rolnictwa i przemysłu ciężkiego, rośnie rola segmentów „wiedzochłonnych" – wyspecjalizowanych usług doradczych, IT, sektora finansowego, ale też tak zwanych *back offices*, centrów obsługi wewnętrznej zachodnich korporacji. Jesteśmy, przynajmniej na papierze, coraz bardziej zurbanizowani, coraz mniej związani z ziemią, a bardziej z kompetencjami. Lepiej wykształceni i bardziej zamożni.

Używając terminu stworzonego przez Davida Goodharta, brytyjskiego politologa i dziennikarza, założyciela magazynu „Prospect", wielu Polaków jest dzisiaj „bardziej znikąd niż skądś", dobrze czują się właściwie wszędzie, są coraz mniej zależni od fizycznego miejsca na mapie. Polskie społeczeństwo zaczyna się strukturalnie upodabniać do niemieckiego, holenderskiego czy brytyjskiego.

Na razie Polska stała się pupilkiem europejskich elit – często z różnych powodów. Nie jest to pierwszy raz, podobne wizerunkowe uniesienie przeżywaliśmy ubiegłego lata, po wspomnianym już prześcignięciu Japonii w rankingu PKB. Tym razem jednak można odnieść wrażenie, że w tym lukrowaniu Polski przez zagraniczne lewice, prawice i centra istnieje nie tylko element projekcji własnych marzeń o swoich krajach, ale też próba instrumentalizacji naszego sukcesu do własnych celów politycznych.

Co więcej, obraz jest różowy jedynie na pierwszy rzut oka, bo szybki wzrost podnosi oczekiwania publiczności, generuje też wrogów. Im więcej się o Polsce mówi, zwłaszcza w superlatywach, tym baczniej, dokładniej jesteśmy analizowani.

Najlepszy sojusznik

Wskaźniki ekonomiczne to jedna płaszczyzna, polityczne komplementy są znacznie ciekawsze. 30 czerwca na łamach „Foreign Policy", jednego z najbardziej prestiżowych periodyków zajmujących się sprawami międzynarodowymi, ukazał się artykuł Sama Skove'a o relacjach bilateralnych pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonymi. Już sam tytuł sugerował niekłamany podziw, bo nasz kraj został w nim przedstawiony jako „ten jeden europejski kraj, który zrozumiał, jak postępować z Białym Domem pod rządami Trumpa".

Skove sugerował, że Warszawa ma w tej chwili bardzo dobre relacje z Waszyngtonem, być może nawet znajduje się w najkorzystniejszej w historii pozycji geopolitycznej względem swojego najważniejszego sojusznika militarnego. Z jednej strony bowiem nie angażujemy się przesadnie w wojny kulturowe, tak przecież dla administracji Trumpa ważne, z drugiej – poprzez sumienne zwiększanie wydatków na obronność i lojalne zakupy u amerykańskich producentów zbrojeń potwierdzamy, że jesteśmy godnym zaufania partnerem. Nie mówiąc o dobrym, stałym źródle pieniędzy, co dla amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego ma zawsze spore znaczenie. W dodatku nie marudzimy, kiedy mówi się nam, że już opłacone dostawy się opóźnią, bo Amerykanie akurat wdali się w nieplanowaną awanturę w Zatoce Perskiej.

Pod względem wizerunkowym rzeczywiście, zwłaszcza z zewnątrz, te relacje wyglądają bardzo dobrze. Ale taki odbiór możliwy jest wyłącznie w szerokim kontekście, po zestawieniu go z pozycją innych europejskich państw. Skove ma rację – w przeciwieństwie do Friedricha Merza czy Pedro Sáncheza Donald Tusk ani razu nie wdał się w słowną przepychankę z Trumpem czy kimś z jego akolitów. Jak nieoficjalnie można usłyszeć z ław rządowych i szczytów samej Koalicji Obywatelskiej, to świadoma strategia premiera. „Tusk wie, że lepiej się od tych awantur trzymać z daleka, bo Trump jest nieprzewidywalny i po prostu zmyśla" – mówił POLITYCE jeden z ministrów rządu, prosząc o zachowanie anonimowości. Jednocześnie prezydentem Polski jest teraz Karol Nawrocki, polityk sprawiający wrażenie w Trumpie zakochanego. ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ Duży Pałac w sposób ewidentny próbuje przeszczepić trumpowski styl rządzenia na polski grunt, modelując prezydenta na wzór i podobieństwo swojego amerykańskiego odpowiednika.

PiS pozostaje zresztą jedną z bardzo niewielu prawicowych europejskich formacji, które obecnej administracji w Białym Domu za nic jeszcze publicznie nie skrytykowały. W oczach wielu wyborców, nawet tych konserwatywnych, wydaje się to strategią coraz bardziej absurdalną, ale w krótszej perspektywie czasowej rzeczywiście zapewnia Polsce święty spokój. Jeśli to porównać z obelgami i groźbami wysyłanymi pod adresem Danii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoch czy Niemiec – rzeczywiście „Foreign Policy" może mieć rację. Polska rozgryzła dynamikę ruchu MAGA.

Problem w tym, że na niewiele się to przekłada. Samo unikanie wybuchów wściekłości impulsywnego prezydenta USA to mimo wszystko dość nisko ustawiona poprzeczka. Realnych korzyści z tej świetnej relacji z Waszyngtonem Polska na razie nie ma. Trump wprawdzie obiecał zwiększenie obecności US Army na terenie naszego kraju, czasami przebąkując nawet coś o stałej bazie w miejsce rotacyjnie wysyłanych oddziałów, ale konkretów wciąż brak. Niedługo minie już trzecia miesięcznica tej zapowiedzi, żołnierzy jak nie było, tak nie ma. Nie mówiąc o tym, że Polska traci pośrednio, bo Amerykanie aktywnie osłabiają element odstraszania w NATO, powstrzymują też dalszą integrację wewnątrz Unii Europejskiej.

Kraje średniej wielkości, a do takich należymy, w świecie wielowektorowym, mogą przetrwać tylko dzięki sile i stabilności sojuszy, w które są zaangażowane. Tymczasem Trump, lubujący się w groźbach pod adresem sojuszników i koncesjach wobec wrogów, nieustannie podkreśla, że NATO nie znosi, najchętniej by rozwiązał Sojusz, a losy europejskiego bezpieczeństwa niespecjalnie go obchodzą. Nawet więc jeśli unikamy retorycznego bombardowania z Waszyngtonu, obrywamy rykoszetem – czego „Foreign Policy" nie raczyło zauważyć.

Kraj bez migrantów

Są też straty, które zadajemy sobie sami, zwłaszcza względem europejskich partnerów. Dość boleśnie widać było to przy okazji niedawnego kryzysu migracyjnego w Ceucie, hiszpańskiej enklawie na kontynencie afrykańskim. Kiedy w ciągu kilkudziesięciu godzin przedostało się tam ponad 70 tys. nielegalnych imigrantów, motywowanych dezinformacją w mediach społecznościowych i poluźnieniem kontroli granicznych przez marokańskich celników, 22 kraje europejskie wystosowały do Pédro Sancheza list, w niewybredny sposób oskarżając go o zbyt pobłażliwą politykę migracyjną. Wśród sygnatariuszy listu był premier Donald Tusk, co nie przeszło w Europie bez echa.

Eksperci zajmujący się prawem unijnym i migracją natychmiast zauważyli, że kiedy pięć lat wcześniej Polska znalazła się pod olbrzymią presją migracyjną z powodu działań Aleksandra Łukaszenki, ze strony Europy popłynęły wyrazy solidarności, a nie retoryczne ataki. A przecież sytuacja była pod wieloma względami analogiczna. Po drugiej stronie granicy znajduje się niedemokratyczny reżim, który migrantów wykorzystał jako narzędzie presji politycznej. Z prawnego punktu widzenia ani Polska w 2021 r., ani Hiszpania teraz nie zrobiła nic, żeby spotęgować nielegalną imigrację na swoje terytorium. A jednak wtedy Warszawa wyszła na ofiarę, dzisiaj Hiszpania ma być sama sobie winna.

GALERIA POLITYKI



OBYWATEL JANEK

Alberto Alemanno, prawnik z paryskiej uczelni ekonomicznej HEC, napisał na łamach portalu EUObserver, że reakcja państw członkowskich UE na kryzys w Ceucie unaoczniła hipokryzję, podwójne standardy i brak europejskiej solidarności, a Polskę wymieniał jako jednego z głównych uczestników nagonki na Sancheza. W podobnym tonie wypowiadał się Gerald Knaus, jeden z największych autorytetów Europy w dziedzinie migracji, człowiek o poglądach dalekich od liberalnych czy progresywnych. W rozmowie z Rorym Stewartem i Alistairem Campbellem w popularnym brytyjskim podkaście „The Rest is Politics" zauważał, że Polsce łatwiej było wystąpić w roli ofiary, bo jako agresora szybko zidentyfikowano będącego mecenasem Łukaszenki Władimira Putina, a on jest powszechnie uznawany za wroga w Europie. Hiszpania już tego luksusu nie doświadczyła, spadła na nią fala krytyki.

Temat imigracji pozostaje zresztą jednym z najbardziej polaryzujących zagadnień w europejskiej polityce, co odbija się na polskim wizerunku. Tu widać, że każdy w Polsce znajdzie to, co znaleźć po prostu chce. Krytycy oskarżają rząd Tuska o brak solidarności czy łamanie prawa międzynarodowego, co jednak nie czyni z niego przywódcy wyjątkowego, wszak podobnie działa większość krajów europejskich, przynajmniej w oczach lewicy. Prawica natomiast wynosi Polskę do rangi migracyjnego, a czasem wręcz rasowego jednorożca. To już nie są głosy ekspertów, a w znacznie większym stopniu fenomen internetowy.

Na platformach typu X, Instagram, nawet na LinkedIn regularnie pojawiają się wpisy, okraszone zdjęciami i nagraniami wideo,

eprasa.pl f4a3c208bc

nawiązujące do wysokiego poziomu bezpieczeństwa publicznego w Polsce. Podtekst jest wyraźnie zarysowany, mało subtelny – kraj jest bezpieczny, znacznie bardziej niż Francja czy Wielka Brytania, bo nie ma tu imigrantów obcych kulturowo. Czasami z tych nagrań, często stworzonych za pomocą sztucznej inteligencji, bije otwarty rasizm – nawołują do zamknięcia granic całej Unii, ochrony tradycyjnych wartości katolickich i ról płciowych. Wtedy wszyscy w Europie będziemy jak Polska, czyli biali, katoliccy i dzięki temu bezpieczni.

Między Wschodem i Zachodem

Inna wersja tego trendu zakłada obsadzenie w roli głównej zachodniego turysty, który niemal przypadkowo znajduje się w Warszawie (rzadziej w innych miastach) i nie może się nachwalić czystości ulic, spokoju po zmroku, czasami też urody polskich kobiet. (Stąd pewnie inspiracje do promocyjnej kampanii: „Poland. More than you expected"). Nie ma się jednak co łudzić, lwia część takich produkcji to działanie jednoznacznie polityczne.

Z badań kolektywu Res Futura wynika, że Rosjanie po polskim internecie hasają właściwie bez ograniczeń, a jednym ze sposobów wpływania na opinię publiczną w naszym kraju jest odrywanie nas od reszty Unii przez podkreślanie naszej odmienności. Zachód jest w tym przekazie zgniły, głównie przez migrantów, a Polska pozostaje czysta, dosłownie i w przenośni. Fakt, że niemal identyczną narrację przedstawiają wiralowe blogi podróżnicze z Białorusi, powinien dać sporo do myślenia.

Wreszcie – Ukraina. Na temat ostatniej eskalacji w relacjach bilateralnych z Kijowem powstało w zachodniej prasie mnóstwo publikacji. Dość powiedzieć, że problem przebił się również za oceanem, co jednak jest konsekwencją globalizacji samej wojny w Ukrainie. Im więcej osób śledzi wydarzenia na froncie i angażuje się w pomoc, ekspercką, na rzecz Ukraińców, tym więcej dostrzeże konflikty polityczne z jej sojusznikami. W taki oto sposób Polska stała się chociażby bohaterem popularnego w kręgach analitycznych podkastu „Power Vertical", prowadzonego przez związanego z think tankiem Atlantic Council Briana Whitmore'a. Wraz z gośćmi omawiał on konflikt wokół polityki pamięci i choć próbował okazać sporo zrozumienia dla obu stron, w gruncie rzeczy ten spór wydał mu się kuriozalny.

Do takiej samej konkluzji doszli reporterzy amerykańskiego portalu The Dispatch, jednej z ciekawszych intelektualnie publikacji za oceanem. Już po niedawnej defiladzie z okazji Święta Wojska Polskiego napisali, że Polska „ma problem z Ukrainą", krytykując Warszawę za brak zaproszenia na przemarsz dla ukraińskich żołnierzy. „Dwa ważne wątki XX-wiecznej historii Polski rozrywają teraz kraj w przeciwnych kierunkach. Z jednej strony wciąż silny jest sprzeciw wobec rosyjskiej agresji, który na początku wojny uczynił Polskę jednym z czołowych sojuszników Ukrainy. Z drugiej strony wróciły oskarżenia o ludobójstwo polskiej ludności w czasach drugiej wojny światowej – to napięcie zapowiada dalsze spory w przyszłości: o zboże, migrantów, pamięć o latach 40., a także przyszłe miejsce Ukrainy w Unii Europejskiej" – można było przeczytać w The Dispatch.

Marka Polska

O Polsce jest coraz głośniej na świecie. To zjawisko całkowicie naturalne, będące konsekwencją naszego wzrostu gospodarczego i wzmocnienia pozycji geopolitycznej. Rząd Donalda Tuska próbuje to wykorzystać, powołał nawet pełnomocznika do spraw promocji marki Polska, którą została prof. Barbara Mróz-Gorgoń z Wrocławia. Raport o tym, jak wielki potencjał marketingowy tkwi w naszym kraju, był prezentowany i promowany na wielu imprezach, m.in. na tegorocznej edycji konferencji ImpactCEE. Niestety jak dotychczas przyniósł wyłącznie wizerunkowe szkody, i to niemałe. Dokument, bądź co bądź mający rangę oficjalnego, zawierał masę błędów językowych nie mówiąc o kuriozalnych błędach merytorycznych. Zaniżono do zaledwie pięciorga liczbę polskich noblistów, Katowice ulokowano na północy kraju, a polskiej młodzieży dopisano powszechną płynną znajomość języka mandaryńskiego. W dodatku argumentacja raportu w niektórych miejscach była wręcz absurdalna, bo autorzy sugerowali, że Polska, aby zyskać dobrą markę globalną, musi m.in. pozbyć się traumy wojennej, jak Izrael, Niemcy czy Korea Południowa. Z publikacji krótkiego raportu wyrosła olbrzymia polityczna burza, PiS, mimo demisji Barbary Mróz-Gorgoń, złożył w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury i można mieć pewność, że prawica tematu nie odpuści.

Powstał też nowy spot reklamowy Polskiej Organizacji Turystycznej, zachęcający zagranicznych turystów do przyjazdu nad Wisłę. Problem w tym, że te centralnie planowane wysiłki są, delikatnie mówiąc, koślawe. Reklama stworzona przez POT zdaje się powielać stereotypy o Polsce z lat minionych, bo zakłada, że przyjezdni niczego się po naszym kraju nie spodziewają, więc się mile zaskoczą. A czym? Warszawą, bo tylko ona występuje w reklamie, obok Roberta Lewandowskiego, Fryderyka Chopina i Anji Rubik – tak jakby Polska tylko celebrytami stała, tymi z wczoraj i tymi z dziś. I Pałacem Kultury, którego formę trudno pewnie cudzoziemcom wytłumaczyć. Zaangażowanie rządu w promocję kraju też odebrano chłodno, bo trochę nie wiadomo, dlaczego takimi rzeczami mieliby się zajmować politycy najwyższego szczebla, na czele z premierem.

Trzeba jednak zapiąć pasy, bo spokoju w tym temacie już nie będzie. Wręcz przeciwnie, trwająca już prekampania parlamentarna przed przyszłorocznymi wyborami będzie prowadzona przez obie strony sceny politycznej za pomocą wzajemnych, raczej krytycznych, wizji Polski. Środowiska prawicy radykalnej, z Grzegorzem Braunem i Konfederacją na czele, będą podkreślać, że kraj pod rządami Tuska staje się kosmopolitycznym, zgniłym moralnie ściekiem, w dodatku niezdolnym do samoobrony, bo sprzęt oddaliśmy Ukrainie. PiS wytknie rządowi brak wizji i projektów rozwojowych, poparty tradycyjnymi oskarżeniami o chodzenie na pasku Berlina i Brukseli. Z kolei, co już zresztą widać, KO będzie straszyć relegacją Polski do drugiej, albo i trzeciej, ligi na kontynencie, bo prawica u władzy oznaczać będzie polexit.

Nie zmienia to jednak faktu, że na razie wraz z większą rolą czeka nas większa odpowiedzialność, błędy będą więc dokładniej analizowane, a krytyka – bardziej sroga, czasem też niezasłużona. Nie da się ukryć, że przestaliśmy być państwem anonimowym w skali kontynentu, a z powodu wojny za naszą wschodnią granicą – także w skali świata. Jesteśmy coraz więksi, co w polityce zagranicznej ma swoje plusy, wszak zwłaszcza teraz, w upadającym porządku liberalnym, duży może więcej. W ślad za sprawczością idzie jednak odpowiedzialność, często nie tylko za siebie, ale i za region czy mniejszych partnerów. Weszliśmy do wyższej ligi.

MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl f4a3c208bc



Kult Karola

Trwa marketingowa operacja ukazująca prezydenta Nawrockiego jako postać wyjątkową w polskiej polityce, samorodny talent o statusie gwiazdy. Ma to mu zapewnić bezproblemową drugą kadencję, a prawicy powrót do władzy. Jak to wygląda w praktyce?

MARIUSZ JANICKI

W procesie uwznioślania prezydenta jedną z kulminacji była pierwsza rocznica przejęcia przez niego urzędu, potem także Święto Wojska Polskiego. Część tego zachwytu wygląda na szczery, zwłaszcza w mediach społecznościowych, ale widać też planowanie i sterowanie. Oto na szeroko udostępnianej fotografii ujęty nieco z dołu Nawrocki przemawia z mównicy na tle nieba, a z obłoku spływają świetliste promienie – w *socialowych* komentarzach pod zdjęciem podniosłe tony, doszukiwanie się głębokiej symboliki, przypominanie, że publiczność na żywo skandowała wówczas „Karol Wielki!". Inne ujęcie: Nawrocki przytulający małą dziewczynkę z biało-czerwonym wiankiem – „dzieci kochają prezydenta Nawrockiego", ktoś dopisał: „Jego kochają wszyscy – dzieci kobiety, mężczyźni", „Radość dzieciaków na tę rozmowę z prezydentem bezcenna", „Bo prezydent jest normalny. Lubi spotykać się ludźmi i to nie są ustawki". Także Nawrocki z wtulającym się synem: „zobaczcie to wzruszające zdjęcie (...). W rodzinie siła".

A z drugiej strony – prezydent w wersji twardej, w obcisłej koszulce wyciskający ciężary, ćwiczący z oddziałem Formozy – „to gotowe zdjęcia wyborcze, jest niesamowity", „ale kozak!" – komentarze na X. I zestawienie dwóch zdjęć, gdzie na tle jednostki specjalnej stoi Nawrocki, a wśród uczestników Parady Równości Trzaskowski i komentarz: „Dziękuję Ci Boże, że miałeś nas w opiece podczas tych wyborów". A poza tym „nasz prezydent to skromny człowiek", „prezydent od świtu do nocy z Polakami", „taka więź prezydent – Polacy nie zdarza się często". Do tego dochodzi „naturalna" w kontakcie małżonka prezydenta, w jednym z wpisów zdjęcie prezydentowej robiącej selfie przed pałacem z podpisem: „Pierwsza Dama Marta Nawrocka blisko ludzi", inne wpisy: „Dama z klasą", „Polski wdzięk i piękno", „Patriotka o subtelnym uroku", „Nowoczesna Matka Polka".

Karol pierwszy i drugi

Pojawił się też fotomontaż, gdzie „Pierwszy Karol strzeże Polski, a Drugi Karol strzeże niebios" (Nawrocki w otoczeniu barw narodowych z zachodzącym słońcem, Wojtyła na niebieskawym tle i białą bramą na drugim planie). I refleksje: „Mieliśmy szczęście, drugi wybitny patriota Karol!", „Wspaniały Gość", „drugą kadencję wygra w pierwszej turze", „Nawrocki jest fenomenem

eprasa.pl f4a3c208bc

naszych czasów". Podczas rocznicowego przemówienia „zgniótł każde kłamstwo przemysłu pogardy III RP".

I jeszcze: „w trudnych czasach pełnych wyzwań silny, aktywny fizycznie, postawny i męski prezydent jest na wagę złota. Archetyp wojownika to sygnał wysyłany w obie strony. Za granicę – będziemy twardo bronić naszych interesów. Do wewnątrz – nie obawiajcie się Polacy, wasz prezydent tu jest i was obroni" – napisał użytkownik o nicku Stańczyk. Inny wpis: „(...) ten człowiek staje się legendą". Jan Rokita powiedział ostatnio o Nawrockim: „Gwiazda ma swoich fanów, którzy ją w sferze publicznej ochraniają. Jest pierwszym polskim politykiem, który ma taką ochronę, nigdy kogoś takiego w polskiej polityce nie było, to powinno być analizowane przez politologów i socjologów".

Do tego specyficznego, lirycznego tonu, który opisał Rokita, dołączył Krzysztof Stanowski z Kanału Zero, który zachwycał się, jaki to naturalny kontakt z ludźmi ma prezydent, a kiedy zarzucono mu wazeliniarstwo, odpowiedział: „Facet jest utrapieniem SOP. Co zobaczy ludzi za barierką to idzie. Z czym chcecie polemizować". Także wielu dziennikarzy dało się porwać nastrojowi, pisząc z okazji rocznicy Nawrockiego według powtarzającego się schematu: „można lubić lub nie lubić prezydenta, zgadzać się albo nie, ale...". I potem padały już same superlatywy: że to zawodnik wagi ciężkiej, fighter, najsilniejszy gracz na prawicy. A jeden z dziennikarzy Portalu Zero stwierdził z troską, że w kampanii w zeszłym roku Nawrockiego spotkały „podłe" zarzuty, za które oszczercy powinni przeprosić.

Prawicowi publicyści już w ogóle się nie ograniczają. „Gdzie są źródła sukcesu Karola Nawrockiego? (...). Wielkie znaczenie ma osobowość, sposób komunikacji z Polakami, dobry, spójny i autentyczny wizerunek. (...) Najważniejsze są dwa elementy: odwaga i jednoznaczność" – napisał Jacek Karnowski. „Dlaczego tak im ufają?" – pyta wzruszająco na okładce tygodnik „Do Rzeczy", a w środku Rafał Ziemkiewicz pisze, że Nawroccy to „opowieść, która ma wszelkie znamiona pięknej bajki, na dodatek w stu procentach prawdziwej". Paulina Matysiak, jeszcze nie tak dawno w partii Razem, napisała na X do Karola Nawrockiego: „Dziękuję za ten rok i życzę wytrwałości i siły na kolejne lata pracy!". Ten wpis został skomentowany polemicznym pytaniem: „co mogło po roku prezydentury przekonać do Nawrockiego osobę o poglądach lewicowych – walka z podatkami, wspieranie kryptowaluty, zawetowanie ograniczeń dla tzw. fundacji rodzinnych, pozwalających na unikanie opodatkowania, a może chodzi po prostu o robienie na złość libkom?".

Przemawia bez kartki

Osobna grupa to ci, którzy teraz deklarują: „nie głosowałem na Karola Nawrockiego, ale dzisiaj bym na niego zagłosował", albo „głosowałem na Rafała Trzaskowskiego, ale na szczęście przegrał". Charakterystyczne, że w tych dowodach nowej lojalności, demonstrowanych w mediach społecznościowych, praktycznie nie zdarzają się argumenty za zmianą własnych poglądów, nie są przytaczane żadne osiągnięcia Nawrockiego, nie wspomina się, w jaki sposób weta przyniosły krajowi korzyści. Prezydenckie przemówienia natomiast są podziwiane głównie za to, że „Nawrocki nie czyta z kartki". Pojawienie się „przechrztów" dostrzegli prawicowi dziennikarze: „Środowisko to (liberalno-lewicowe – przyp. red.) zaczyna patrzeć na prezydenta z respektem, a niekiedy nawet z fascynacją" – napisał w „Sieciach" Piotr Gursztyn pod wymownym tytułem „Podziw i zgrzytanie zębami".

Po zwycięstwie Andrzeja Dudy w 2025 r. też pojawiła się fala zachwytów, z pamiętnym zdjęciem Dudy łapiącego porwaną przez wiatr hostię albo tańczącego do ludowych melodii, ze stwierdzeniami, że „ściska ręce i daje nadzieję", że to „wymarzony zięć" itp. Część mediów, już od etapu dudabusa i rozdawanych pączków, włączyła się w budowanie legendy poprzedniego prezydenta. Ale dzisiejsza egzaltacja związana z Nawrockim idzie znacznie dalej. Duda wydawał się publiczności swojski i miękki, czasami zabawno-irytujący w swojej megalomanii, zwłaszcza w wykrzykiwanych przemowach. Nawrocki pojawia się w innym formacie: „silnego człowieka", który łączy doktorat z tym, „że jak trzeba, to potrafi dać w mordę". Są to wyraźne inspiracje trumpizmem, politycznym brutalizmem, także wizerunkiem szefa amerykańskiego departamentu obrony Pete'a Hegsetha, który także chwali się treningami z żołnierzami i ćwiczeniami w siłowni.

Widać, jakby Nawrocki w sporej mierze oddziaływał pozapolitycznie, fizykalnie, za pomocą niewerbalnych przekazów. Jego poglądy wyraźnie mają dla odbiorców drugorzędne znaczenie, oddziaływanie wykracza poza ściśle konserwatywny krąg. Nawrocki wpisał się w obraz polityka czasów alt-prawicy i „samczej" manosfery, „przywracania normalności", walki z „lewactwem" itd., i razem ze sobą przesunął główny nurt w tę stronę. W *socialach* silna jest tendencja do akceptowania opinii wygłaszanych przez Nawrockiego, właśnie dlatego, że on je głosi. A kult jednostki polega w dużym stopniu właśnie na emocjonalnym zawierzeniu, taryfie ulgowej dla idola. Nawrocki przy takiej niezaawansowanej percepcji może swobodnie udawać, że jest „głosem Polaków", a nie po prostu katolicko-narodowym radykałem.



Pałac na ratunek

Politycy prawicy dostrzegli to zjawisko i starają się je wykorzystać. I chociaż stoją za tym rozmaite kalkulacje, na razie wygląda to na zbiorową deklarację podległości osobników beta wobec samca alfa. Doświadczeni rutyniarze, którzy funkcjonują na partyjnej scenie od wielu lat, nagle podporządkowują swoje plany człowiekowi, który jeszcze półtora roku temu nie znaczył politycznie nic. O względy prezydenta zabiegają Mateusz Morawiecki, liderzy Konfederacji, także Grzegorz Braun jest za patronatem Pałacu nad tzw. paktem senackim. A Jarosław Kaczyński sugeruje, że chciałby udziału Nawrockiego w układaniu wspólnych list do Sejmu, zapewne po to, aby to prezydent wziął odpowiedzialność za ewentualny i być może konieczny udział Brauna w prawicowym rządzie po wyborach. ▶

© MAREK BORAWSKI/KPRP, FACEBOOK.COM/PANALGWIM

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ „Interwencji Karola Nawrockiego" w kwestii zjednoczenia prawicy domaga się też prawicowy komentariat. To wszystko sprawia wrażenie, jakby Nawrocki był już jakimś politycznym gigantem, mężem opatrznościowym, który wyznacza nowe kierunki i bez którego cała prawica przegra. Prezydent tanim kosztem dostaje więc w prezencie legendę, która pomniejsza czy wręcz poniża inne postaci prawicy, w tym tak wcześniej znanego z drażliwości na tle swojego prestiżu Kaczyńskiego.

Jednak także druga polityczna strona buduje wizerunek silnego Nawrockiego. Donald Tusk już dość dawno mianował go „nowym liderem prawicy", a ostatnio nazwał prezydenta politykiem „wagi ciężkiej", tak jak prawicowy entuzjaści. Jest jasne, że Tuskowi chodzi o pomniejszanie znaczenia „odwiecznego wroga" lidera PiS Jarosława Kaczyńskiego, ale takie określenia pozostają w zbiorowej świadomości, kumulują się, składając na obraz polityka, który już na pewno będzie w Pałacu przez dziewięć najbliższych lat, bo takie przekonanie rośnie nawet wśród przeciwników obecnej głowy państwa. Tak więc wszyscy pospołu pracują na opowieść o Nawrockim, a ministrowi Szefernakerowi pozostaje tylko doszlifować przekazy.

Skupienie się ekipy Tuska na Nawrockim coraz bardziej wygląda jednak na błąd, bo to nie prezydent będzie brał udział w wyborach w przyszłym roku, ale Kaczyński, Morawiecki, Mentzen i Braun. To oni będą dawać sprzeczne obietnice, zmagać się między sobą, a Nawrocki będzie występował na tle sztandarów i czołgów, bo jego wodzowskie ambicje w sferze wojskowości są ogólnie znane. Wiele wskazuje na to, że Nawrocki nie będzie się spieszył z angażowaniem w skomplikowane relacje na prawicy, będzie chciał jak najdłużej zachować „niezależność". Urobiony po pachy w rządowej robocie Tusk – co raz tłumaczący się z różnych afer i z tego, czego „nie dowiózł" przez cztery ostatnie lata – w zderzeniu ze zrelaksowanym Nawrockim ma niewielkie szanse na wizerunkowe przewagi. Jeszcze jest jednak czas, aby skupić się na parlamentarnych przeciwnikach.

Nie taki wyjątkowy

Sukces marketingu prezydenta polega też na tym, że wokół niego jest więcej szumu i wrażenia ogólnego podziwu, niż wynikałoby to z twardych danych sondażowych. Po roku sprawowania urzędu Nawrocki ma wskaźniki poparcia idealnie równo na poziomie Andrzeja Dudy i Bronisława Komorowskiego po podobnym okresie sprawowania funkcji (ok. 56 proc.), natomiast Aleksander Kwaśniewski po roku miał 65 proc. pozytywnych wskazań. A w ocenie, kto był najlepszą głową państwa (niedawne badanie IBRiS) są już przepastne różnice: Kwaśniewski dostał 44 proc. wskazań, a Nawrocki 12,3 proc. Czyli ten ulubieniec narodu, spiżowa postać, w konserwatywnym podobno społeczeństwie ma cztery razy mniej „polubień" od prezydenta z SLD, a tylko nieco więcej niż Bronisław Komorowski (5,3 proc.). Notabene Andrzej Duda ma w tym rankingu wszech czasów jeszcze mniej od swojego „nudnego" rywala z 2015 r., bo tylko 2,1 proc.

Skłania to do refleksji, jaki to kaprys wyborców dał krajowi przed dekadą prezydenta, którego dzisiaj niemal wszyscy porzucili, jakby był jakimś przypadkiem, którego nikt nie chciał. Nawet jeśli zawiódł wyborców, to ci dali mu ponownie urząd po pierwszej kadencji, kiedy już wiadomo było, co to za postać. Pytanie, gdzie są dzisiaj ci chwalcy Dudy, czy aby nie przenieśli się do fanklubu Karola Nawrockiego i czy nie jest to powód, by na dzisiejsze „sukcesy" obecnego prezydenta patrzeć z większym dystansem? Łaska wyborców jest zmienna, ale ich „impresyjne" decyzje ciążą na polskiej polityce przez lata. Te uwiedzenia, także to amerykańskie związane z Trumpem, bywają bardzo kosztowne.

Kreacja Nawrockiego jest bez wątpienia zręczna, ma on w tej chwili najlepszą ekipę marketingową w Polsce. Druga polityczna strona, z własnymi przekazami, nie dobrała mu się jeszcze odpowiednio do skóry, nie ma dobrego punktu zaczepienia. Trwa zatem akcja wykuwania pomnika i pokrywania brązem, ma powstać wrażenie, że poparcie dla Nawrockiego jest totalne, dotąd niespotykane, a naiwny odbiór tej postaci przez część mediów, która kupuje sprzedawany towar jeden do jednego – tej operacji sprzyja.

Prezydent połowy Polaków

Jednak miodowy rok już minął, duża część publiczności nie dała się nabrać na wizerunkowe chwyty, jest odporna na ten rodzaj specyficznej charyzmy, pozostała wobec Nawrockiego bardzo sceptyczna, dostrzegając dokładnie jego ideologiczny profil. Wyraźna większość, jak pokazuje nowe badanie dla Onetu, nie chce np. zwiększenia wpływu prezydenta na wojsko. Także uroczystości rocznicowe Nawrockiego przed pałacem nie wzbudziły entuzjazmu: dla 44,3 proc. huczne obchody nie były adekwatne do rangi wydarzenia, przy 32,6 proc. głosów aprobujących (wg sondażu SW Research dla Wprost). Na korzyść Nawrockiego przemawia zaś to, że wśród jego zwolenników jest wielu młodych ludzi ze zsumowanych przedziałów 18–39 lat, tam zbiera najlepsze oceny, celujące i bardzo dobre. Jednak jednocześnie to elektorat najbardziej zmienny, bo jeszcze w 2023 r. dał on zwycięstwo koalicji 15 października, po czym szybko zmienił front. A im starsi wyborcy, tym bardziej niechętni Nawrockiemu i raczej trwalsi w swoich sympatiach oraz antypatiach.

Także prezydenckie weta, co pokazały badania, często były odbierane z przewagą głosów negatywnych: zawetowanie SAFE skrytykowało 57 proc. zapytanych, a utrącenie ustawy o osobie najbliższej – 55 proc. Ogólniejszy zaś sondaż pokazał, że większość Polaków (53 proc. wg US by IBRiS dla WP) uważa, że weta Nawrockiego wynikają, jak pisze WP o badaniu, „z motywów politycznych, związanych z walką partyjną, utrzymywaniem bliskości z opozycją oraz blokowaniem reform rządu". Ciekawy jest też inny wynik tego sondażu: na pytanie, jak respondenci zagłosowaliby po roku od wyborów prezydenckich, okazało się, że na Nawrockiego oddałoby głos 38,6 proc., 45 proc. nie poparłoby go, przy 16,4 proc. bez zdania w tej kwestii. Tak jakby odpadli bardziej przypadkowi wyborcy Nawrockiego, a pozostali tylko ci jednoznacznie prawicowi. Uzasadniona jest zatem opinia, którą wygłosił niedawno Marek Sawicki z PSL, że Nawrocki „jest pierwszym prezydentem, który jasno i otwarcie powiedział »nie będę prezydentem wszystkich Polaków«".

Tak więc prezydentura Nawrockiego, która ma być wyjątkowa i „opatrznościowa", ani wyjątkowa, ani przełomowa – w świetle sondaży – nie jest. Katolicki fundamentalista jest przedstawiany jako ktoś z nowego mainstreamu, ikona normalności, reprezentant zwykłych Polaków, ale ta prezentacja wciąż ma ograniczoną siłę rażenia. Szykuje się zatem batalia na emocjonalne przekazy, rozmaite propagandowe wrzutki – zderzane z realiami i rozsądkiem odbiorców. To ona rozstrzygnie, czy Nawrocki jest na drodze Kwaśniewskiego, czy to raczej kierunek w stronę Dudy.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl f4a3c208bc

Biegli niebiegli

Andrzej Depko, konsultant krajowy w dziedzinie seksuologii, o tym, dlaczego tzw. biegli nie są nimi, a decydują o losach ludzi na całe lata.

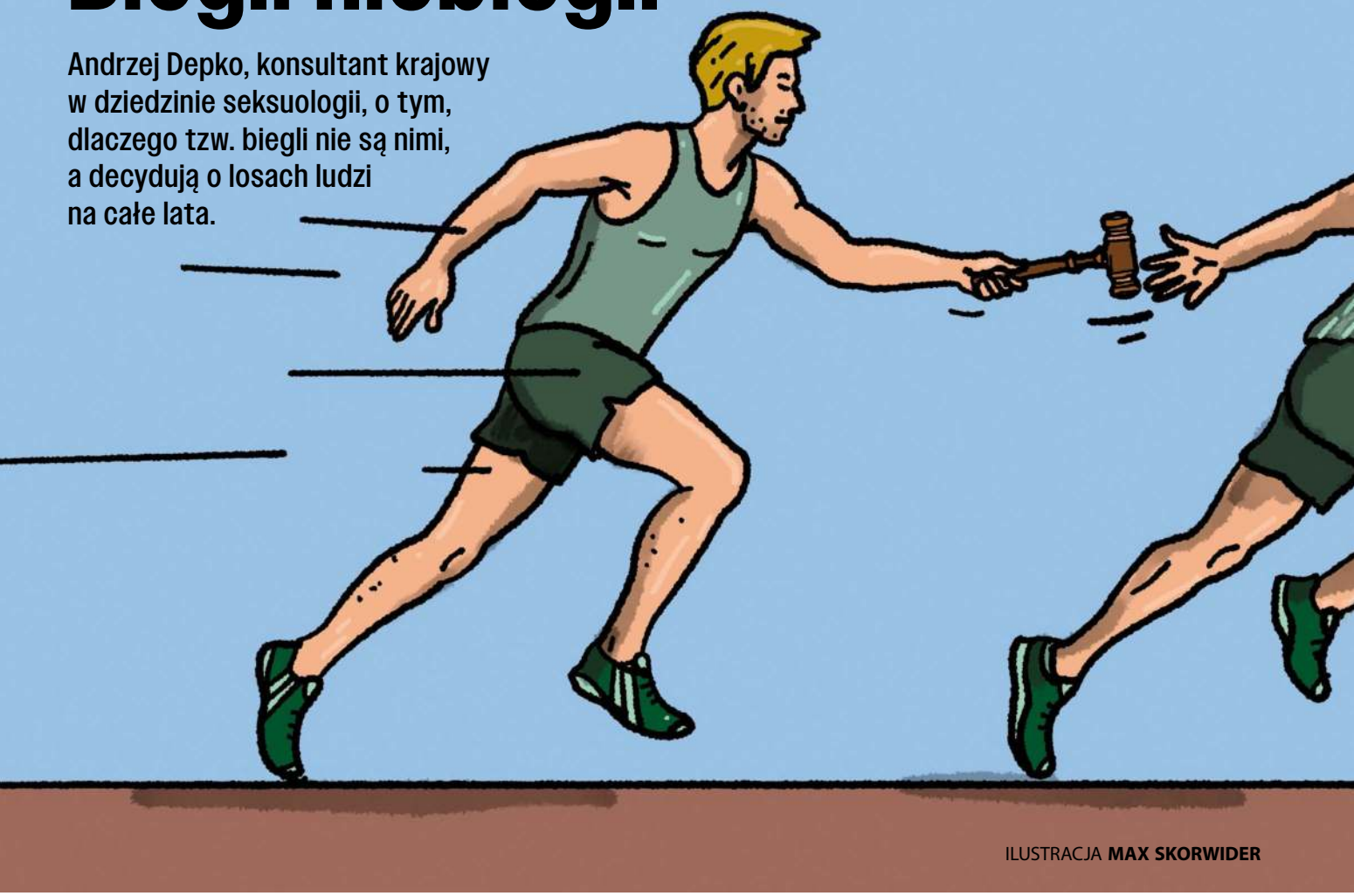

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Kolejne rządy nie są w stanie doprowadzić do uchwalenia ustawy gwarantującej, by biegli sądowi byli rzeczywiście biegli w dziedzinie, w której wydają opinie. Tymczasem na tych opiniach opierają się sądy, wydając wyroki. W sprawach karnych od opinii biegłego może zależeć, na ile lat człowiek pójdzie do więzienia. A w przypadku przestępstw seksualnych także, czy po odbyciu kary będzie zobowiązany do terapii na wolności, czy w zamkniętym ośrodku.

EWA SIEDLECKA: **– Napisał pan pismo do ministra sprawiedliwości, z którego wynika, że biegłymi w sprawach o przestępstwa seksualne bywają osoby po kilkutygodniowych kursach. Jak to możliwe?**

ANDRZEJ DEPKO: – Wymiar sprawiedliwości jest zainteresowany, aby biegły wydał opinię możliwie szybko, ponieważ sędziowie są rozliczani z efektywności sądzenia. Wobec braku biegłych seksuologów sądy zamawiają opinie u tzw. biegłych ad hoc: osób, które – zdaniem sędziego – posiadają potrzebną wiedzę. Zezwala na to art. 195 kpk. W mojej ocenie umożliwia to wymiarowi sprawiedliwości powoływanie w charakterze biegłych osób, które nie posiadają kompetencji, kwalifikacji ani doświadczenia klinicznego. Jednak formalnie legitymują się dyplomami ukończenia studiów podyplomowych lub innymi certyfikatami wydawanymi przez różne podmioty, które organizują szkolenia z seksuologii klinicznej lub sądowej wedle własnego uznania i pomysłu, często online.

W sądach utrwaliła się praktyka korzystania z ekspertyz psychologów bez odpowiedniego wykształcenia seksuologicznego oraz doświadczenia zawodowego w pracy z osobami, które dopuściły się przestępstw seksualnych. Powtarzają się przypadki, że biegli psycholodzy seksuolodzy legitymują się tygodniowym lub dwutygodniowym stażem podczas studiów podyplomowych z seksuologii klinicznej. Absolwenci studiów prowadzonych w trybie online nie odbywają staży klinicznych w ogóle i nigdy nie widzieli takich pacjentów. Na listach sądów okręgowych w Polsce znajduje się 70 biegłych seksuologów, z czego największą grupę stanowią seksuolodzy, którzy są psychologami. W Sądzie Okręgowym w Warszawie na liście biegłych nie ma ani jednego biegłego lekarza seksuologa. Są sami psychologowie. ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ Jak to możliwe?

W różnych aktach prawnych ustawodawca wskazał, że biegłymi, oprócz lekarza seksuologa, mogą być psycholog seksuolog i psychoseksuolog. Ale ich wiedza jest nieporównywalna. Lekarz seksuolog, by zdobyć taką wiedzę, musi studiować 14 lat i składać po drodze kilka państwowych egzaminów. Osoby posługujące się tytułem psychologa seksuologa nie muszą spełniać żadnych wymogów formalnych, bo ten zawód nie jest prawnie uregulowany. Najczęściej termin ten oznacza osobę, która posiada magisterium z psychologii i odbyła studia podyplomowe bądź szkolenie w zakresie seksuologii. Nie ma wymogu, by te studia lub szkolenie organizował podmiot certyfikowany. W dodatku te studia podyplomowe lub szkolenia nie mają statusu szkolenia zawodowego, nie kończą się państwowym egzaminem, zatem nie uprawniają absolwenta do posługiwania się tytułem seksuologa.

A gdzie psycholodzy powinni zdobywać wiedzę seksuologiczną?

Elementarną wiedzę z tego zakresu uzyskują absolwenci studiów podyplomowych z seksuologii klinicznej organizowanych przez Warszawski Uniwersytet Medyczny, Uniwersytet SWPS oraz Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Specyfika seksuologii sądowej wymaga odrębnych studiów i programu kształcenia. Niestety ten rodzaj studiów nie cieszy się powodzeniem.

Dlaczego?

Bo żeby być wpisanym na listę biegłych seksuologów prowadzoną przez prezesa sądu okręgowego, wystarczy przedłożenie zaświadczeń i certyfikatów wydawanych przez podmioty szkolące, które nie podlegają kontroli Państwowej Komisji Akredytacyjnej. Po co się dodatkowo trudzić? Przez ostatnich 10 lat na studia podyplomowe z seksuologii sądowej organizowane przez Warszawski Uniwersytet Medyczny zapisało się łącznie siedem osób.

Jakie mogą być skutki braku kompetencji biegłych?

Błędne diagnozy, a co za tym idzie, nietrafne wnioski końcowe w opiniach sądowo-seksuologicznych. Wyroki wydawane na podstawie takich opinii mają dalekosiężne skutki dla podsądnego. Służą m.in. do orzeczenia środka zabezpieczającego – np. pobytu w zakładzie psychiatrycznym, a także do decyzji o uchyleniu takiego środka. Po odbyciu kary pozbawienia wolności sąd na podstawie diagnozy biegłego o stopniu prawdopodobieństwa ponownego popełnienia przestępstwa decyduje np. o obowiązku leczenia na wolności czy o izolacji w Krajowym Ośrodku Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym w Gostyninie.



Ośrodek Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym w Gostyninie

Do poradni seksuologicznej, którą kieruję, trafiają w ramach środka zabezpieczającego na obowiązkową terapię sprawcy przestępstw seksualnych. Występujemy wtedy do sądu, żeby przysłał akta sprawy, bo chcemy wiedzieć, na jakiej podstawie orzeczono konkretne środki terapeutyczne. Opinie seksuologiczne, które są w tych aktach, w wielu przypadkach są merytorycznie wadliwe.

Na czym polegają błędy biegłych?

Na błędnym rozpoznaniu zaburzeń preferencji seksualnych u sprawcy przestępstwa seksualnego wobec dziecka. Dla niewykształconego biegłego do stwierdzenia zaburzenia preferencji może wystarczyć sam fakt, że sprawca dokonał czynu pedofilnego. Tymczasem motywacja sprawcy może wynikać z zaburzeń osobowości, uzależnienia, psychozy, zmian organicznych w mózgu lub niepełnosprawności intelektualnej. Są to czynniki, które powodują brak zrozumienia sytuacji i utratę kontroli. Tylko część sprawców podejmuje zachowania seksualne wobec dzieci w związku z istniejącymi zaburzeniami pedofilnymi.

Jakie są konsekwencje nierzetelnej lub błędnej opinii biegłego?

Opinia wpływa na postępowanie ze skazanym w trakcie odbywania kary, kiedy powinien być poddany odpowiednim oddziaływaniom resocjalizacyjnym, psychoedukacyjnym, opiece lekarskiej, psychologicznej i psychoterapeutycznej. Po zakończeniu odbywania kary od opinii biegłego zależy organizacja opieki ambulatoryjnej. Praca ze sprawcami czynów pedofilnych polega na stałym, długoterminowym nadzorze z wykorzystaniem psychoterapii, oddziaływań edukacyjnych i farmakoterapii. Zdarza się, że na skutek nieprofesjonalnej opinii biegłego sąd orzeka np. obowiązek leczenia farmakologicznego, chociaż w przypadku danej osoby takie leczenie akurat nie jest potrzebne, a nawet może szkodzić.

Naprawdę sąd potrafi orzec leczenie farmakologiczne?!

Tak, zdarza się, że wobec osoby zostaje zasądzony obowiązek leczenia farmakologicznego, a potem sąd żąda wyjaśnień, dlaczego go nie zastosowano, dlaczego nie respektuje się wyroku sądu.

Mamy do czynienia z wyjątkową wrażliwością społeczną, jeżeli chodzi o przestępstwa seksualne, w szczególności wobec dzieci. I oczekiwaniem surowych kar. Sądy mają skłonność do spełniania tych oczekiwań. Czy ten sam mechanizm może dotyczyć biegłych, którzy np. na wyrost diagnozują zaburzenia preferencji seksualnych?

Jak wspomniałem, do obowiązków biegłego należy również ocena ryzyka ponownego popełnienia podobnego czynu w przyszłości: że nie ma takiego zagrożenia, że jest małe, umiarkowane, wysokie lub bardzo wysokie. Od oceny tego ryzyka zależy, czy sąd, oprócz kary pozbawienia wolności, orzeknie obowiązek dalszego leczenia oraz jego formę: w warunkach ambulatoryjnych czy w zakładzie zamkniętym.

Jak to ryzyko się ocenia? Kiedy wprowadzano w 2013 r. przepisy o umieszczaniu po odbyciu kary w Ośrodku Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym w Gostyninie, problemem był brak obiektywnych narzędzi do takiej oceny.

Teraz już są. Ale tu wracamy do jakości opiniowania: biegli często ich nie używają. Opierają się wyłącznie na wynikach przeprowadzonego przez siebie badania

© ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

eprasa.pl f4a3c208bc

sprawcy i własnym doświadczeniu klinicznym. Dla wielu z nich fakt rozpoznania w tym badaniu pedofilii wystarcza do wnioskowania o wysokim lub bardzo wysokim ryzyku ponownego popełnienia czynu zabronionego.

Rozumiem, że tych metod uczy się na studiach, na specjalizacji seksuologicznej?

Tak. Ale sąd nie bada, czy biegły zastosował jakąś uznaną metodę szacowania ryzyka. Sądowi wystarczy stwierdzenie, że ryzyko jest wysokie lub bardzo wysokie.

Dlatego kompetencje biegłego seksuologa w tym zakresie są niezwykle istotne.

Czy poszczególne okręgi sądowe różnią się wysokością wyroków za przestępstwa seksualne?

Owszem. I może mieć to związek także z tym, u jakich biegłych zamawiane są opinie. Sąd orzeka karę w granicach zagrożenia wyznaczonych dla danego przestępstwa. Opinia biegłego seksuologa może wpłynąć na wymiar kary. Dlatego tak ważne jest zakończenie prac nad ustawą o biegłych sądowych przewidującą wprowadzenie procedur weryfikacji biegłych. Prace nad zapowiedzianą ustawą wciąż trwają w Ministerstwie Sprawiedliwości. Projekt nie trafił jeszcze do komisji sejmowej, i to bynajmniej nie dlatego, że istnieje ryzyko zawetowania jej przez prezydenta Nawrockiego.

A dlaczego?

Bo wiąże się z kosztami. Jeśli ustawa określi wymagania wobec biegłych na poziomie gwarantującym wysoką jakość ich opinii, to takim wysoko kwalifikowanym biegłym trzeba będzie odpowiednio zapłacić.

Jest jeszcze drugi powód: jeśli od razu podniesiemy wymagania wobec biegłych do poziomu, który gwarantuje ich wysokie kompetencje, to okaże się, że biegłych zabraknie. Tylko nieliczni spełnią formalne kryteria i przejdą przez sito Państwowej Komisji Certyfikacyjnej Biegłych Sądowych. To zaś wpłynie na przewlekłość postępowań. Szczególnie dotyczy to biegłych z zakresu seksuologii, bo wątpliwe, aby osoby legitymujące się dyplomami studiów ukończonych w trybie online przeszły procedurę weryfikacji kompetencji.

Z więzień wychodzą osoby skazane za przestępstwa seksualne, wobec których sąd orzekł przymusową terapię w warunkach wolnościowych lub w szpitalu psychiatrycznym. I co z tymi osobami? Czy jest wystarczająca liczba miejsc w finansowanych przez NFZ poradniach seksuologicznych i w szpitalach?



Andrzej Depko – doktor nauk medycznych, specjalista w zakresie seksuologii i neurologii, biegły sądowy z 30-letnim stażem. W latach 2012–23 prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Seksualnej, członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego, Konsultant Krajowy w dziedzinie seksuologii.

Nie ma. I nie zanosi się, aby pojawiły się nowe.

A ile jest placówek, które mogą wykonywać takie wyroki sądów?

Obecnie w Polsce jest sześć specjalistycznych poradni seksuologicznych, które w ramach NFZ zobowiązały się prowadzić terapię dla sprawców przestępstw dokonanych w związku z zaburzeniami preferencji seksualnych, których na terapię skierował sąd: dwa w Chełmie, po jednym w Krakowie, Rzeszowie, Łodzi i Zabrzu. W 11 województwach nie ma ani jednej.

Dlaczego tylko tyle?

Prowadzenie terapii sprawców przemocy seksualnej jest pracą obciążającą psychicznie, i to za relatywnie niską płacę. Ludzie wolą zarabiać przyzwoite pieniądze w prywatnych gabinetach, niż pracować w publicznych placówkach, gdzie obowiązuje śmiesznie niska wycena takich świadczeń ustalona przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Certyfikacji. Od roku próbujemy doprowadzić do zmiany tej taryfikacji. Doświadczona psychoterapeutka dostaje z NFZ zapłatę wyłącznie za 50 minut terapii osoby skierowanej przez sąd. Ale żeby sensownie je wykorzystać, musi zapoznać się z aktami sprawy sądowej. Czasem przychodzi 10 tomów akt lub więcej. Po analizie trzeba zaplanować indywidualny program terapii. Dobrać właściwe cele i techniki leczenia. Za czas przeznaczony na określenie profilu pacjenta NFZ nie płaci. Podobnie za czas poświęcony na pisanie do sądu opinii rocznych i półrocznych oceniających postępy terapii.

To paradoksalne, że z jednej strony społeczeństwu i państwu bardzo zależy, żeby dzieci nie były narażone na skrzywdzenie seksualne, żeby ograniczyć przestępczość seksualną, gwałty i wykorzystanie seksualne, a z drugiej nie chce przeznaczyć środków niezbędnych na profilaktykę, jaką jest dostęp do leczenia dla osób seksualnie zaburzonych. Jedyna akceptowalna profilaktyka to jak najdłuższy wyrok.

Bo nie ma woli politycznej ze strony żadnej z partii dotychczas sprawujących władzę. Powinien powstać narodowy program zdrowia seksualnego, analogicznie do programów metadonowych dla osób uzależnionych czy programów antyalkoholowych. Skoro istnieje Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom (KCPU), powinno również powstać Krajowe Centrum Terapii Seksuologicznej.

Uważam, że w każdym województwie powinna być przynajmniej jedna dostępna w ramach NFZ poradnia seksuologiczna dedykowana leczeniu preferencyjnych sprawców przemocy seksualnej. Ministerstwo Zdrowia powinno zadbać o stworzenie certyfikowanych studiów podyplomowych z zakresu seksuologii sądowej. Ministerstwo Sprawiedliwości – kierować sędziów i prokuratorów na obowiązkowe szkolenia, żeby bezkrytycznie nie przyjmowali opinii biegłych. Opinia, która w ocenie sędziego jest jasna, spójna i kompletna, może jednocześnie zawierać zasadnicze błędy merytoryczne, których bez podstawowej wiedzy seksuologicznej nie będzie on w stanie wyłapać.

ROZMAWIAŁA EWA SIEDLECKA

eprasa.pl f4a3c208bc

Kochane

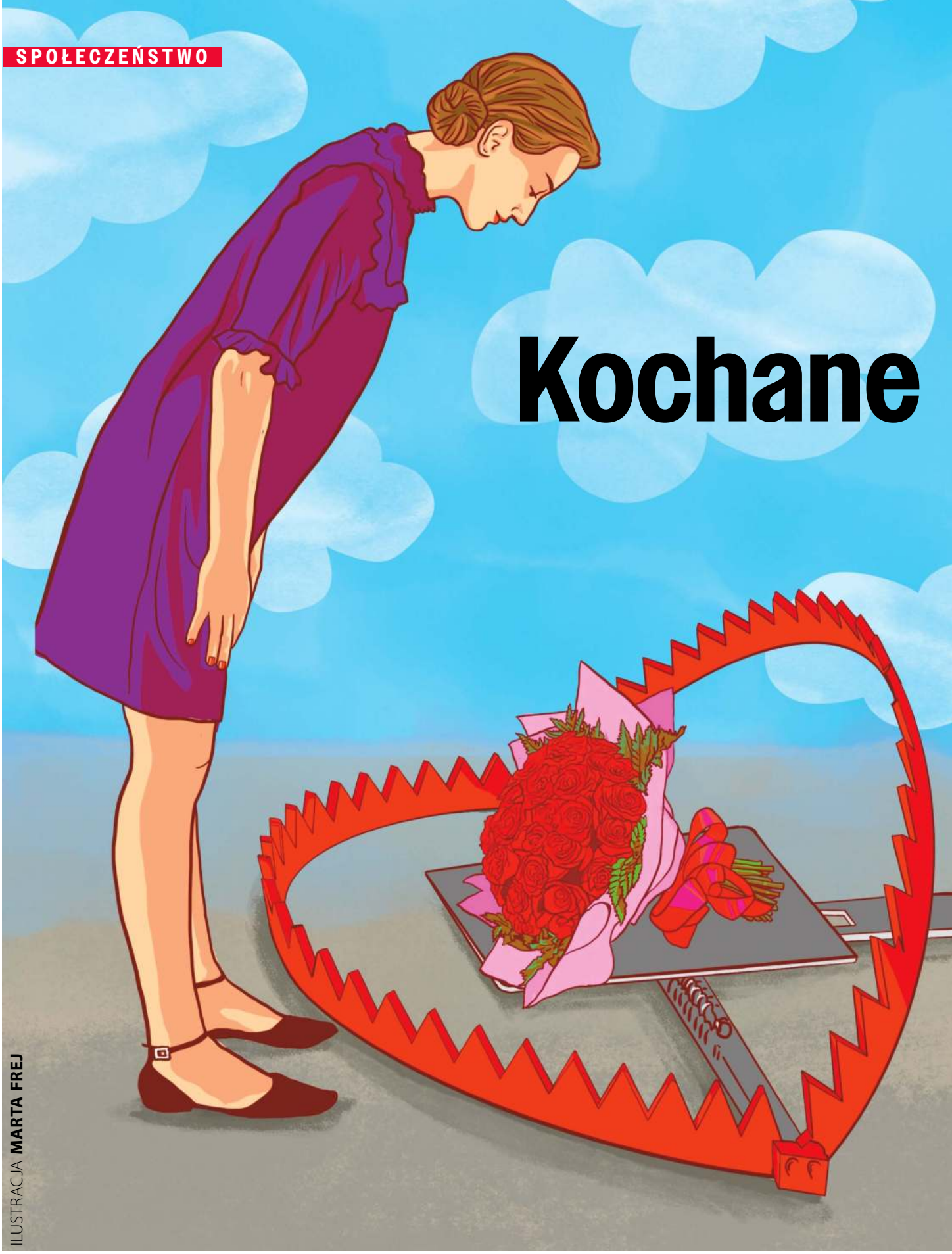

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl f4a3c208bc

Rozmowa z Klaudią Ziółkowską, autorką książki „Kocham cię, wyślij przelew", o oszustach matrymonialnych. Obiecują wielkie uczucie, a potem okradają ofiary i zastraszają je, czasem do tragicznego końca. I, jak pokazuje ostatnia sprawa „Tulipana z Opola", nie zawsze ponoszą za to odpowiedzialność.

pieniądze

KATARZYNA KACZOROWSKA: **– Historie ofiar oszustów matrymonialnych budzą przerażenie i złość. W pierwszej chwili pomyślałam, że ja nie dałabym się tak oszukać, ale prawdę mówiąc, wcale nie jestem już taka pewna.**

KLAUDIA ZIÓŁKOWSKA: – I słusznie. Wydaje nam się, że ofiarami oszustów matrymonialnych są kobiety młode, naiwne albo bogate, a tymczasem z danych wynika, że 55 proc. ofiar to mężczyźni...

Nie wierzę.

Ależ tak. Tyle tylko, że większość z nich nie zgłasza przestępstwa, bo się wstydzi.

Kobiety też długo walczą ze wstydem, zanim pójdą na policję, a i tak wcale nie mogą liczyć na jakiekolwiek zrozumienie, że o działaniu nie wspomnę.

A tymczasem ofiarą oszusta matrymonialnego może zostać osoba w każdym wieku i każdej profesji. Policjantka, prokuratorka, sędzia, urzędniczka, emeryt...

Co ich łączy?

Samotność. Ale istotniejsze jest to, że nie zakładają złych intencji. Nie widzą w drugim człowieku przestępcy, dają mu szansę.

Raz rozumiem, ale drugi, trzeci, dziesiąty... Prośby o pożyczkę zmieniające się w groźby, wiara w kolejne obietnice. Ja bym powiedziała, że to jednak naiwność.

Pomysł na tę książkę wziął się z rozmowy z pewnym prokuratorem. Zadzwoniłam do niego po informacje dotyczące oszusta i usłyszałam, że te głupie baby kompletnie rozum tracą i same są sobie winne. Kiedy już zbierałam materiały, rozmawiałam też z pewnym filozofem z Uniwersytetu Jagiellońskiego. I także przyszłam z tezą o naiwności czy łatwowierności ofiar. A on pokazał mi lustro.

To znaczy?

Zapytał, czy kiedy weszłam do jego gabinetu, to mnie wylegitymował? Nie sprawdził mojej legitymacji prasowej, nie poprosił o dowód. Zaufał mi i takie właśnie są osoby, które padają ofiarami oszustów matrymonialnych. Ufają drugiemu człowiekowi.

Media co jakiś czas opisują historię taką jak choćby słynnego stalkera z Tindera, który ostatecznie trafił na ławę oskarżonych. Pani postanowiła oddać głos ofiarom. Dlaczego?

Bo są lekceważone. Najczęściej przez policjantów, ale też przez prokuratorów. W komentarzach w sieci można przeczytać, że pierwsza naiwna tak się dała wyrolować, ale oszust, o, to jest cwaniak jakich mało. A przecież ci oszuści nabierają na miłość, obietnicę wspólnego życia, małżeństwo. Niszczą drugiego człowieka. Odbierają mu nie tylko pieniądze, oszczędności życia, zabezpieczenie dla dzieci na przyszłość, ale też wiarę w to, co dobre.

Jacy są ci oszuści?

Wcale nie muszą być piękni czy piękne. Ale mają charyzmę. Potrafią odczytywać pragnienia osoby, którą omotują i wykorzystują. Są inteligentni, ale też cwani, bezwzględni i świetnie zorganizowani. Ja nie potrafiłabym obsłużyć kilkudziesięciu czy kilkuset numerów telefonów, a oni potrafią, bo działają nie tylko w pojedynkę. Są to też zorganizowane grupy przestępcze.

Oszustwo matrymonialne kojarzy nam się przede wszystkim z wyłudzeniem pieniędzy, szantażem. Ale pani opisuje też takie, które skończyły się zabójstwem i samobójstwem.

Ta pierwsza historia to opowieść o Edycie, młodej dziewczynie. To była jedna z pierwszych spraw sądowych, kiedy na ławę oskarżonych trafił internetowy oszust matrymonialny. Proces poszlakowy, pełen zwrotów akcji; prokuratura była przekonana, że doszło do zabójstwa, ale śledczy nigdy nie odnaleźli ciała. Do momentu zapadnięcia prawomocnego wyroku nic nie było pewne. Edyta Wieczorek miała Volkswagena Polo i kawalerkę w podwarszawskich Ząbkach, którą kupiła za gotówkę. Pracowała w austriackiej firmie w centrum Warszawy. Gdy czas na to pozwalał, udzielała korepetycji z języka niemieckiego. Dobrze zarabiała. Wspierała finansowo rodziców. Pod koniec października 2005 r. przyznała się mamie, że kogoś ma i planuje ślub. Wszystkie jej koleżanki były już mężatkami. Tylko ona nie.

Wybranek miał być przystojnym domatorem, humanistą, jak najdalszym od lansu. Edycie powiedział, że jest wnukiem bardzo znanego reżysera, a jego ojciec był lekarzem. I w pewnym momencie potrzebował gotówki na rozkręcenie biznesu.

Nie wiedziała, że ten reżyser nie miał dzieci. A gotówkę pożyczyła – w pracy, w banku... Jej wybranek był rozwiedziony. Nie mieszkał – jak opowiadał Edycie – z ciotką w dwustumetrowym apartamencie na Żoliborzu, ale z matką na czterdziestu metrach w mieszkaniu na Pradze. Jego ojciec nie był lekarzem. On sam nie pracował – studiował administrację w wyższej szkole menedżerskiej. Był na utrzymaniu matki. Z tego, co mówił Edycie, zgadzało się tylko imię i nazwisko. Kiedy policjanci przeszukali jego pokój, zabrali 48 dyskietek. Znaleźli tam zdjęcia kobiet, pornografię, poradniki uwodzenia, instrukcję organizacji randek, notatki o zbrodniach i seryjnych mordercach.

Z dyskietek śledczy dowiedzieli się też, że Arkadiusz B. prowadził korespondencję z 43 kobietami. W walentynki 2006 r. został zatrzymany pod zarzutem zabójstwa Edyty Wieczorek. Nie przyznał się do winy. Jej rodzina zapłaciła ogromną cenę, bo kiedy czekano na akt oskarżenia, firmy kredytowe przypominały o zobowiązaniach, które zaciągnęła zaginiona, bo przecież jej ciała nie znaleziono. Listów poleconych z nakazem spłaty z oczywistych względów nie odbierała. Po 14 dniach nakazy się uprawomocniły, bo według prawa Edyta żyła. Zostało wszczęte postępowanie egzekucyjne, w systemach wszystko się zgadzało, więc komornik miał podstawy do tego, by działać. Skończyło się obciążeniem hipotecznym na mieszkaniu Edyty. To kwota, którą pożyczyła, plus ciągle rosnące odsetki. Nie było ciała, nie było aktu zgonu, nie było spadku. ▶

eprasa.pl f4a3c208bc



Klaudia Ziółkowska
to dziennikarka prasowa i telewizyjna, filolożka polska oraz autorka reportaży. Posiada kilkunastoletnie doświadczenie w mediach, ze szczególnym uwzględnieniem dziennikarstwa śledczego, spraw społecznych i tematyki kryminalnej. Od 2016 r. zawodowo związana ze stacją TVN24, gdzie realizuje materiały informacyjne, śledcze i społeczne.

▶ Po wyroku skazującym Arkadiusza B. na dożywocie, kiedy można było cokolwiek zrobić, w budynku mieszkalnym w Ząbkach wybuchł pożar – relacjonowały go wszystkie media, bo wtedy mieliśmy w kraju falę podpaleń. Jedno z mieszkań, które spłonęło, należało do Edyty Wieczorek... Rodzina żyła z zobowiązaniami córki ponad 20 lat. Równie tragiczna jest historia, która zakończyła się samobójstwem oszukanej kobiety. Jej syn niedawno skończył 18 lat.

Kobieta po rozwodzie, majętna, ostrożna, a jednak straciła głowę.

Miała spory majątek – dwa mieszkania, działkę pod miastem, oszczędności, biżuterię. I bardzo chciała, żeby syn miał prawdziwego ojca, bo ten biologiczny, policjant z pionu kryminalnego, nie miał z nim najlepszej relacji. I to syn był kartą przetargową. Oszust z jednej strony przekonywał ją, by kolejno przepisywała na niego mieszkania, działkę, oddała biżuterię, bo tylko w ten sposób mogła udowodnić jego rodzinie, że mogą jej zaufać. A z drugiej strony mówił, jak bardzo kocha jej synka i chce być jego ojcem. Koniec końców okradł ją ze wszystkiego. Gdy trafił na ławę oskarżonych przekonywał, że nic ich nie łączyło; a właściwie to łączył ich seks, bo ona tego chciała. I sama oddała mu po kolei cały majątek.

Ile straciła?

Ponad 834 tys. zł – pierwsze mieszkanie było warte 170 tys., drugie – 220 tys., działka – 370 tys. I to kilka lat temu. Do tego jeszcze kredyt, którego skazany na 4 lata więzienia oszust nie spłacał, raty za telefon, który dla niego wzięła i utracona biżuteria. Chciała, żeby oddał wszystko, przekonując sąd, że Józef K. zniszczył życie jej i jej dziecka. Świadomie. K. na rozprawach deklarował, że odda działkę, Mercedesa, biżuterię. Resztę chciał spłacać w ratach. Ale musi zarabiać, więc prosił o wyjście z aresztu. Sąd prośby nie posłuchał.

Ile dostała ta kobieta?

100 zł. Wysłała do sądu pismo: „Sprzedał moje dwa mieszkania, zostawiając na ulicy, i zrobił ze mnie bezdomną, uważam, że pieniądze za sprzedaż mieszkań ulokował na Słowacji, przekazując swojej »Rodzinie Cygańskiej«. Proszę o sprawdzenie, czy w czasie dokonywanego przestępstwa do dnia dzisiejszego rodziny te nabyły jakieś ruchomości lub nieruchomości. Jeśli tak, skąd posiadały pieniądze? Uprzejmie proszę o sprawdzenie tego przez władze słowackie na moją prośbę. Jestem bezdomna, wynajmuję mieszkanie. Mam cały czas depresję, jestem na lekach. Nie wyobrażam sobie takiej nieludzkiej sytuacji, żeby rodzina Józefa żyła w luksusie za moje pieniądze i mojego syna. Proszę bardzo sąd okręgowy o pomoc w mojej dramatycznej sytuacji życiowej".

Kiedy K. wyszedł po odsiedzeniu wyroku, zamieściła w mediach społecznościowych jego zdjęcie z ostrzeżeniem dla innych kobiet. Kilka godzin później odebrała sobie życie. Jej syn miał wtedy 14 lat.

Odnalazła pani Józefa K.

Tak, na Facebooku. Żyje jak pączek w maśle. Obwieszony złotem, podróżuje po świecie. Przesłałam mu kilka wiadomości z prośbą o rozmowę. Nie odpowiedział. Mama pani Moniki powiedziała mi, że o tragedii, jaka dotknęła jej rodzinę, nie jest w stanie rozmawiać. Że trzeba ostrzegać ludzi przed oszustami, ale ona jest zbyt poturbowana, by mówić o tym, z czym musieli się zmierzyć i z czym muszą żyć.

Nie rozumiemy powagi sytuacji?

Nie. Swego czasu głośna była w mediach sprawa siostry zakonnej, która zakochała się i ukradła pieniądze zakonu dla wybranka. Do tej pory zawsze sumienna, uczciwa, odpowiedzialna, nagle straciła głowę. Było takie niedopowiedzenie, puszczenie oczka, a tymczasem ta trafiła na wytrawnego oszusta. I w tej historii nie było nic zabawnego.

Tak jak w opowieści o rzekomym hrabim, wybitnym chirurgu pracującym w Hiszpanii, który w tanim, studenckim schronisku we Wrocławiu leczył seksem. I oczywiście nie miał pieniędzy, bo konto mu zablokowano, więc musiał pożyczyć. Na chwilę. No to już jest kompletnie nie do uwierzenia.

A jednak. Ofiara tego człowieka sama dzisiaj mówi, że nie wie, jak to się wszystko mogło wydarzyć. Splot okoliczności? Lęki? Zmarł jej dziadek, bardzo bała się choroby, wręcz obsesyjnie. Ciężko pracowała i jednocześnie się uczyła. I któregoś wieczoru trafiła na człowieka, który ją wykorzystał, bo wyczuł, w jaką nutę uderzyć. Powiedział jej, że jest ciężko chora, ale on ją uleczy.

I właściwie ją zgwałcił, bo tak można nazwać „badanie" ginekologiczne młodej kobiety, która u ginekologa nigdy nie była. Dalej nie mogę tego zrozumieć.

Ona też, ale to pokazuje, że ofiarą może być każdy. Oszuści matrymonialni są dobrymi obserwatorami, wyczuwają słabości, obawy, pragnienia. I konstruują najbardziej uwiarygadniające ich opowieści; tworzą postaci, które mają odpowiadać tym pragnieniom.

Albo podszywają się pod te znane – w wersji amerykańskiej to chociażby Brad Pitt, u nas – Michał Szpak.

Tu już możemy mówić o zorganizowanych grupach, działających z Afryki. Rozmawiałam o tym z Michałem Szpakiem. Był poruszony, ale też przyznał, że dzielił się w mediach społecznościowych informacjami o sobie i rzeczywiście wykorzystują to oszuści. Ja opisałam energiczną i zadbaną starszą panią, której świat się zawalił, bo odkryła po osiemdziesiątce, że mąż ją zdradza. Została sama z niepełnosprawną intelektualnie córką. Czuła się samotna i któregoś razu skomentowała jakiś wpis Michała Szpaka w mediach społecznościowych. A ten jej odpowiedział. Ta kobieta do dzisiaj jest bombardowana tysiącami wiadomości dziennie. Oczywiście z żądaniem pieniędzy. Nie zorientowała się, że rytualne pytanie w wiadomościach od rzekomego Michała Szpaka: „Czy zjadłaś dzisiaj miód?" to błąd translatora w telefonie – angielskie *honey* to i miód, i kochanie. Za to raz w trakcie rozmowy z rzekomym Szpakiem zniknął specjalny filtr i przez moment zobaczyła ciemnoskórego mężczyznę. Ona do dzisiaj zresztą nie jest pewna, czy została oszukana...

Pisze pani o tym, że oszuści sięgają po narzędzia, dzięki którym mogą wykorzystać głos czy postać znanej osoby.

To historia Natalii Sikory, która kilka lat temu wygrała w cuglach debiuty w Opolu, aktorki po warszawskiej Akademii Teatralnej, piosenkarki. Ją oszukano na Anthony'ego Hopkinsa. Dziewczyna rozmawiała z rzekomym aktorem w czasie

© WYDAWNICTWO OTWARTE

eprasa.pl f4a3c208bc

rzeczywistym, co więcej, rozmawiał z nim jej ojciec i oboje byli pewni, że słyszą głos tego wybitnego aktora. Można powiedzieć, że wkręciła się w historię niewiarygodną, bo skąd laureat Oscara mógłby znać jej nagranie z You Tube'a, nawet jeśli miało miliony wyświetleń. Uwierzyła, że jedzie do Hollywood i będzie tam pracować. Starała się nawet sprawdzić, czy nie ma do czynienia z oszustwem. Może miała pecha, albo trafiła na cwanych graczy; chciała się upewnić, czy w hotelu w Warszawie – tak jak jej powiedział „Hopkins" – zatrzymała się ekipa filmowa, z którą pracował. I usłyszała, że tak, zatrzymała się... Kiedy zaczęła opowiadać o tym, co ją spotkało, wylała się na nią fala hejtu. A ja jestem pełna uznania dla jej odwagi. Zerwała z tradycją kpin z ofiar. Pokazała, że każda z nich ma twarz, imię i wcale nie musi być pierwszą naiwną.

Jak organy ścigania ścigają oszustów matrymonialnych?

Zbyt często niechętnie, nieskutecznie, powoli. Pamiętam, jak policja pochwaliła się, że zatrzymano niejakiego Konrada K. Pracowałam wtedy w TVN Warszawa i wrzuciliśmy o tym krótki komunikat. I wtedy odezwała się Martyna, jedna z jego ofiar: „Jacy oni, to my" – bo ofiary tego człowieka zaczęły się szukać na różnych forach i praktycznie podały go policji na tacy. To po rozmowie z nią zadzwoniłam do prokuratora i usłyszałam: „Boże, jakie głupie baby". Ale opisuję też prokuratorkę, która pracowała w święta, weekendy, szukała, nie odpuszczała i koniec końców dotarła do kilkudziesięciu ofiar. Śledztwo zaczęło się od siostry Amelii – zakonnicy, która uciekła z klasztoru z pieniędzmi. Ten oszust został skazany na 14 lat więzienia. Ktoś go widział w Urzędzie Stanu Cywilnego we Wrocławiu. Przyszedł zmienić nazwisko i z bukietem kwiatów podrywał urzędniczkę. I tak Piotr Klemczak stał się Piotrem Kotowiczem, znanym szerzej jako „Tulipan z Opola", który przez lata oszukał ok. 70 osób. Do zakładu karnego jednak nie trafił. Po dwóch latach procedur i nieskutecznych próbach doprowadzenia go do więzienia, gdzie miał odsiedzieć wyrok, w lipcu tego roku wydano za nim list gończy.

Często tak to się kończy?

Czasem oszuści trafiają jednak na ławę oskarżonych. Konrada K. już w 2011 r. prokuratura oskarżyła o wyłudzenie od ośmiu pokrzywdzonych blisko 250 tys. zł. Wśród ofiar była funkcjonariuszka Komendy Głównej Policji, która nie tylko przekazała mu pieniądze, ale też na jego prośbę zaglądała do poufnych policyjnych baz danych. Zwolniono ją z pracy i usłyszała prokuratorskie zarzuty. K. został wtedy skazany na dwa lata i dwa miesiące więzienia. Nie chciał się sądzić ze swoimi ofiarami. Przeprosił i zaproponował dobrowolne poddanie się karze. „Oddam wszystkie pieniądze" – zapewniał z ławy oskarżonych. I sędzia uwierzył. „Sąd nie patrzy na to, czy dziewczyny zostały mocno ugodzone w serce. Sąd patrzy na sprawiedliwość. Macie, panie, wyrok i możecie go teraz ścigać. Możecie nająć komornika, ale czy on coś znajdzie, tego sąd nie wie" – mówił sędzia Leszek Hudała z warszawskiego sądu okręgowego. W uzasadnieniu tłumaczył, że sąd uwzględnił szczerą skruchę oskarżonego, polegającą na przyznaniu się do winy i dobrowolnym poddaniu karze, a pobyt w zakładzie karnym zmobilizuje go do zajęcia się uczciwą pracą. Tyle tylko, że Konrad K. po wyjściu z więzienia nie zajął się uczciwą pracą. Wrócił do okradania kobiet, obiecując im miłość życia.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KACZOROWSKA

REKLAMA

Aplikacja POLITYKA

Czytaj, słuchaj, oglądaj



Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Słuchaj w biegu: podkasty i artykuły

Codzienne nowe treści

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.pl f4a3c208bc

Kalendarz nie nadąża



Antyszczepionkowcy ciągle skutecznie chronią swoje dzieci przed obowiązkowymi zastrzykami. A pomaga im w tym samo państwo.

PAWEŁ WALEWSKI

Nie przypominają rewolucjonistów. Nie noszą transparentów, nie przykuwają się do bram ministerstwa. Na pierwszy rzut oka wygląda to jak zwykła facebookowa grupa, o niewinnie brzmiącej nazwie „Czy szczepienia są bezpieczne?". Ale w tej internetowej enklawie rzeczywistość rządzi się własnymi prawami – cała energia nie idzie na walkę z chorobami zakaźnymi, lecz z inspektorami sanepidu. Z Prudnika. Albo z Łodzi. Albo z dowolnego miasta, którego urzędnik odważył się zinterpretować przepis inaczej niż administratorzy grupy i śmiał wysłać do czyjegoś domu wezwanie do zaszczepienia dziecka.

To osobliwy świat. Pracownicy stacji sanitarno-epidemiologicznych wyśmiewani są z imienia i nazwiska, ich pisma rozbierane na części pierwsze, a każda – choćby najmniejsza – nieścisłość urasta do rangi dowodu, że cały system obowiązkowych szczepień to kolos na glinianych nogach. W jednym wpisie czytamy, że „Polska zachowuje się jak kraj bandycki, który swoich obywateli traktuje jak bydło", a kilka akapitów dalej autor z pedantyczną dokładnością instruuje, jak skopiować gotowy wzór skargi na lekarza, jak zaskarżyć grzywnę albo udowodnić, że to nie rodzic uchyla się od obowiązku, lecz państwo nie potrafi go wyegzekwować. Pojawiają się nazwiska inspektorów, fotografie, informacje o miejscu pracy. A wraz z nimi coraz ostrzejszy język, zachęcający, by „zainteresować się tą panią".

– *Najbardziej przeraża mnie to, że ktoś może potraktować te wpisy dosłownie* – wyznaje Agnieszka Dąbrowska, kierująca Sekcją Szczepień Ochronnych w Oddziale Nadzoru Epidemiologii Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej (WSSE) w Warszawie. Bo internetowe fora, które jeszcze kilka lat temu służyły wymianie doświadczeń między rodzicami, dziś przypominają narzędzia do publicznego linczu (w dyskusjach padają wezwania do podpaleń i „wynajęcia Gruzina, który z tym zrobi porządek").

© GETTY IMAGES

eprasa.pl f4a3c208bc

– *Obawiam się, że przy tej nagonce ktoś posunie się do przemocy fizycznej* – ostrzega Dąbrowska bez cienia przesady, bo pamięta pandemiczne demonstracje pod siedzibami sanepidu, oskarżenia o „krew na rękach", krzyże, transparenty i fanatyczne procesje wymierzone przeciw pracownikom inspekcji.

Paradoks polega na tym, że sama daleka jest od urzędniczego dogmatyzmu – trzy dekady temu również miała dziecko z czasowo odroczonym kalendarzem szczepień z powodów medycznych. Ale wtedy rodzice czuli obowiązek wyjaśnienia sytuacji lekarzowi lub pielęgniarce. – *Dziś nie ma autorytetów, każdy uważa się za eksperta* – mówi. Niepokoi ją nie tylko ten spadek zaufania, ale przede wszystkim łatwość, z jaką część rodziców ufa internetowym doradcom gotowym wyjaśnić każdą chorobę rzekomym działaniem szczepionki.

Od wątpliwości do wojny

Tę zmianę najlepiej widać w gabinetach szczepień. Danuta Bernaś z Przychodni Rodzinnej Centrum na warszawskiej Pradze, która szczepi dzieci od 1995 r., przyznaje, że kiedyś rodzice również miewali wątpliwości, ale rzadko przeradzały się one w otwartą konfrontację. – *Teraz wysłuchuję, że szczepionki rzekomo zabijają albo że produkowane są na szambie* – opowiada. Padają też argumenty z pogranicza czarnej komedii – jeden z ojców kategorycznie odmówił zaszczepienia syna, twierdząc, że on sam, będąc niemowlęciem, z pewnością nie wyraziłby zgody na swoje własne szczepienie. – *Wystarczy też, że w rodzinie u jednego malucha zdiagnozowano autyzm, a rodzice natychmiast rezygnują z profilaktyki u reszty rodzeństwa, ślepo wierząc w mityczny związek strzykawki z chorobą* – dodaje Bernaś.

Monika Borgosz, pielęgniarka z tej samej poradni, która ma pod opieką ok. 2,5 tys. dzieci i nastolatków, ustaliła, że w ostatnim kwartale aż setka nie jest w pełni zaszczepiona. – *Sporządzamy raporty do powiatowej stacji sanepidu, ale zanim to nastąpi, staramy się przekonywać rodziców* – podkreśla. – *Wysyłamy przypomnienia, listy zwykłe i polecone, próbujemy rozmawiać podczas każdej wizyty.*

Część rodzin rzeczywiście po prostu zapomina i jest wdzięczna za kontakt. Problem polega na tym, że rośnie grupa tych, których nie przekonuje już nic. Nawet zgłoszenia do sanepidu nie robią większego wrażenia. – *Zachowują się tak, jakby byli całkowicie bezkarni* – mówi Borgosz. Co dobrze pokazuje przykład z Podlasia, gdzie za konsekwentne uchylanie się od szczepień czwórki dzieci majętni rodzice zapłacili już kilka grzywien na łączną sumę ponad 100 tys. zł!

Najbardziej niepokoją młodzi rodzice, którzy decyzję o nieszczepieniu podejmują jeszcze przed narodzinami dziecka i odmawiają już w szpitalu podania pierwszych dawek (przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby i gruźlicy). Paradoksalnie więc to pokolenie 30+, wychowane dzięki sukcesowi programu szczepień, zaczyna wierzyć, że choroby zakaźne zniknęły same z siebie. Cena sukcesu profilaktyki? Gdy przestaje być widoczna choroba, widoczny staje się wyłącznie zastrzyk. Instruowani przez internetowych prawników, opanowali do perfekcji sztukę unikania systemu. – *Na różne sposoby próbują wyprowadzić dziecko poza nadzór opieki pediatrycznej* – opowiada Dąbrowska.

Mechanizm jest prosty i cyniczny: matka wychodzi z noworodkiem ze szpitala, obiecuje zapisać je sama do innego rejonu po rzekomej przeprowadzce, po czym znika w prywatnej opiece medycznej. Tam lekarze często nie pytają o kartę szczepień, a książeczka zdrowia ląduje na dnie szuflady. Dziecko oficjalnie staje się duchem i znika z radaru państwa. Z kolei prawnicy brylujący na forach doradzają za kilkaset złotych, by pod żadnym pozorem nie podpisywać odmowy szczepienia, grając z systemem w kotka i myszkę. – *Ostatnio ojciec zażądał wypisania syna z naszej poradni i usunięcia wszystkich danych. Kiedy usłyszał, że to niemożliwe, zrobił się agresywny* – wspomina Danuta Bernaś.

Formalnie nie wolno wydać rodzicom oryginału karty uodpornienia, a jeśli zmieniają adres zamieszkania, to nowa poradnia powinna sama wystąpić o jej przekazanie – tymczasem rodzice powołują się na rzekome prawa, grożą skargami i podnoszą głos. W końcu piszą też skargi do rzecznika praw pacjenta: na nieprawidłowe ich zdaniem przeprowadzenie badania kwalifikacyjnego do szczepienia, na nieuznawanie przez lekarza – jako przeciwwskazania – niektórych alergii (według rodziców stanowiących powód do odroczenia szczepienia) lub na nieprawidłowości przy wyborze szczepionki. Tylko po to, by odwlec wykonanie tego obowiązku, bo ponad połowa skarg zostaje odrzucona z powodu braku uzasadnienia.

Państwo nie widzi rejestrów

Kiedy pod koniec 2024 r. główny inspektor sanitarny dr Paweł Grzesiowski wziął do rąk raport Najwyższej Izby Kontroli poświęcony przestrzeganiu kalendarza szczepień, stało się jasne, że fundamenty systemu są dziurawe. Grzesiowski dopiero co stanął wtedy na czele Państwowej Inspekcji Sanitarnej i nie był zaskoczony. – *Te wyniki były potwierdzeniem tego, co wcześniej wiedziałem.*

Z dokumentu wynikało jednoznacznie: lekarze nie sprawozdają nieszczepionych pacjentów, a stacje sanepidu bezradnie mielą nierzetelne dane. Co gorsza, placówki podstawowej opieki zdrowotnej wcale nie kryją, że celowo ukrywają nieszczepione dzieci, argumentując wprost: nie chcemy donosić na swoich pacjentów, by nie ściągać na nich gniewu sanepidu i nie tracić ich zaufania. Nowy szef GIS postanowił więc zrobić coś, czego nie zrobił nikt od lat 50. XX w., czyli od zarania Polskiego Programu Szczepień – w kwietniu 2025 r. ruszyła gigantyczna kontrola, która w pierwszym etapie objęła blisko 7,5 mln papierowych kart w 8,5 tys. punktów szczepień. – *Sam fakt, że w XXI w. podstawowa dokumentacja istniała wyłącznie na papierze, a wiedza o szczepieniach dziecka znajduje się wyłącznie w archiwum konkretnej przychodni, to jedna z głównych przyczyn chaosu* – mówi dziś dr Grzesiowski.

Wyniki kontroli ujawniły, że rzeczywisty poziom zaszczepienia najmłodszych pozostaje wyższy, niż sugerowały oficjalne statystyki. W pierwszym roku życia 4–5 proc. pozostaje niezaszczepionych z powodów światopoglądowych, podczas gdy tzw. oficjalne zestawienia sprawiały wrażenie, że odsetek ten jest dwukrotnie wyższy. Choć w skali kraju to i tak kilka tysięcy nieszczepionych dzieci w każdym roczniku (nie przeciwko wszystkim chorobom, ale pojedynczym: na przykład śwince, krztuścowi lub różyczce).

– *Ten poziom najbardziej spada u sześciolatków, to kolejna obserwacja z naszej kontroli* – wskazuje szef GIS. Chodzi o moment, gdy dziecko idzie z przedszkola ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ do szkoły, już mniej choruje, więc rzadziej odwiedza lekarza, a szkolna pielęgniarka nie ma uprawnień ani do szczepienia, ani do weryfikacji kart. W ten sposób tworzy się dziura opiekuńcza, w której lekarze rodzinni zaniedbują swoje powinności. Bo za szczepienia objęte kalendarzem nie są dodatkowo wynagradzani – wpisano je w ryczałt, jaki lekarz otrzymuje za opiekę nad pacjentem (obecnie 232,56 zł), i jeśli rodzice nie chcą dziecka szczepić, to NFZ nadal płaci mu pełną całoroczną stawkę. Niektórym nie chce się nawet namawiać rodziców, by zmienili zdanie.

Jak brutalnie ujął to jeden z rozmówców: biorą pieniądze, a dziecko staje się w systemie „martwą duszą" – bo większość przychodni nie szuka dzieci, które przestały zgłaszać się na szczepienia. Zdarza się, że z powodu wyjazdu rodzin za granicę karta ląduje w archiwum i nikt do niej nie zagląda, niektórzy pacjenci mają po dwie karty, a część rodziców – z błogosławieństwem liberalnych lekarzy – trzyma je w domu. W trakcie kontroli sanepid musiał odszukać 600 tys. takich „zniknięty dusz", analizując dane aż do połowy 2026 r.

Światełkiem w tunelu ma być pełna cyfryzacja programu szczepień obowiązkowych – każde podanie szczepionki zostanie na bieżąco odnotowywane w komputerze, tak jak już dzieje się w przypadku szczepień zalecanych. System, który sprawdził się przy szczepieniach covidowych, ma nie tylko zbierać dane w czasie rzeczywistym, ale też automatycznie wysyłać rodzicom esemesy z przypomnieniami i umieszczać powiadomienia w Internetowym Koncie Pacjenta. Nowe rozwiązania wymagają zmian w ustawie o chorobach zakaźnych, co ma nastąpić jeszcze tej jesieni.

Kara zamiast rozmowy

Znacznie bardziej sceptycznie trzeba natomiast ocenić obecny system karania rodziców uporczywie uchylających się od szczepień. Pielęgniarka Monika Borgosz zauważa, że sanepid ma gigantyczny problem z ich namierzaniem, a kwartalne raporty przychodni, które starają się sumiennie wywiązywać z tego obowiązku, i tak giną w administracyjnej próżni.

Dane z woj. mazowieckiego są bezlitosne: pod koniec 2025 r. od szczepień uchylało się 46 184 rodziców, a zaledwie kwartał później, na początku 2026 r., było ich już 50 836, co przełożyło się na niemal 55 tys. nieszczepionych dzieci. Na Podlasiu podobny wzrost: na koniec 2025 r. liczba niezaszczepionych wynosiła 12 654, zaś na koniec I kwartału 2026 r. – 14 211 (w samym powiecie łomżyńskim między 2024 a 2025 r. liczba dzieci bez jakiegokolwiek szczepienia wzrosła z 33 do 44.

Co państwo może z tym zrobić? Obecnie niewiele. System egzekucji administracyjnej to biurokratyczny koszmar. Grzywny nakładane przez wojewodę (od 5 do 50 tys. zł) napotykają gąszcz odwołań, a sądy administracyjne mielą sprawy tak wolno, że nieszczepione maluchy często zdążą skończyć 18 lat i sprawa staje się bezprzedmiotowa. Szef GIS otwarcie przyznaje, że ten mechanizm jest przeciwskuteczny – zaledwie 3–5 proc. ukaranych zmienia pod jego wpływem decyzję. Dlatego zaproponował zmianę logiki karania na proste mandaty w wysokości 500 zł. Taki mandat od pracownika sanepidu dawałby natychmiastowy sygnał: system cię widzi, robisz źle. Ponadto mandat wiązałby się z bezpośrednią rozmową z rodzicem, co mogłoby rozwiać wątpliwości tych, którzy po prostu się boją. – *Tak zrobili Norwegowie, którzy uznali, że zanim zacznie się karać, trzeba najpierw wysłuchać. Gdy rodzice odmawiają szczepień, do ich domu trafia inspektor, którego zadaniem jest zrozumienie źródeł lęku i nieufności. Kiedy odkryto, że najczęściej odmawiają szczepień mieszkający tam Polacy, przygotowano program odpowiadający właśnie na ich obawy. Dziś Norwegia ma jedną z najwyższych wyszczepialności w Europie – ok. 98 proc. – i osiągnęła to bez systemu kar* – opowiada dr Grzesiowski.

Polski kalendarz szczepień trudno uznać za zły. Problem w tym, że medycyna poszła przez ostatnie dekady do przodu, a kalendarz nie zawsze za nią nadąża. Państwo mówi rodzicom: szczepcie dzieci, to najlepsza ochrona przed chorobami zakaźnymi zarówno waszych, jak i innych dzieci. Po czym podsuwa im do wyboru wersję podstawową – bezpłatną – oraz nowszą, za którą trzeba zapłacić kilkaset złotych.

Różnica nie jest wyłącznie kosmetyczna. W ramach refundacji można podać osobno szczepionkę przeciw błonicy, tężcowi i krztuścowi (tzw. DTP – *Diphtheria*, *Tetanus* i *Pertussis*) oraz szczepionki przeciw polio, *Haemophilus influenzae* i WZW. Wszystkie są wtedy bezpłatne, ale dziecko musi przyjąć więcej zastrzyków. Alternatywą są preparaty skojarzone, które łączą kilka antygenów w jednej ampułce, i nic dziwnego, że w punktach szczepień rodzice są do nich zachęcani. Bo zamiast 19 wkłuć do trzeciego roku życia przy szczepieniu poszczególnymi preparatami, szczepionka „6w1" ogranicza ich liczbę do 10. Medycyna stworzyła więc rozwiązanie, które jest dla dziecka mniej kłopotliwe, dla rodzica wygodniejsze, choć dla portfela – mniej łaskawe.

Sporo emocji budzi nie tylko liczba wkłuć, lecz także to, co znajduje się w jednej ze szczepionek finansowanych przez państwo. Chodzi o krztusiec. Refundowana DTP zawiera jego pełnokomórkowy komponent, zawierający – mówiąc obrazowo – całe, zabite bakterie krztuśca, podczas gdy nowsze szczepionki są bezkomórkowe („acelularne"; zawierają wybrane antygeny bakterii). Szczepionka pełnokomórkowa produkowana od 1961 r. przez krakowski Instytut Biotechnologii Surowic i Szczepionek Biomed ma swoich zwolenników, bo lepiej zabezpiecza na przyszłość ze względu na szerszą ochronę. Ale Polskie Towarzystwa Pediatryczne i Wakcynologiczne wzywają Ministerstwo Zdrowia do zastąpienia jej szczepionką acelularną, ponieważ pozostaliśmy jedynym krajem w UE, który w podstawowym szczepieniu niemowląt przeciw krztuścowi stosuje tę właśnie szczepionkę pełnokomórkową, eliminując jej podawanie w preparatach skojarzonych.

Zastąpienie jej nowszą alternatywą, którą oferują zagraniczne firmy, to kwestia ambicji krajowego producenta, bo wypadając z kalendarza, straciłby po prostu rynek. Na pytanie, dlaczego Biomed wciąż nie proponuje szczepionki skojarzonej „5w1" lub „6w1", prezes spółki Anna Flis mówi wymijająco, że prace trwają. Przy czym nie wykorzystała szansy, by stanąć w obronie swojej szczepionki. Otrzymaliśmy za to pismo wzywające do przekazania całości niniejszego tekstu przed publikacją.

Państwo chce, by rodzice bardziej ufali szczepieniom. Jednak dopóki nie uda się uszczelnić systemu i dezinformacje antyszczepionkowców nie zaczną być konsekwentnie rozliczane, dotychczasowe sukcesy medycyny wciąż będą przegrywać z bezkarnością internetowych krzykaczy.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl f4a3c208bc



Fot. Edward Hoedin / Zbiory ECS

29–31/08/2026

46 ROCZNICA PODPISANIA POROZUMIEŃ SIERPNIOWYCH

Od wielkiego strajku w sierpniu 1980 roku minęło już 46 lat. Pokojowa rewolucja Solidarności wywalczyła wolną, demokratyczną Polskę i doprowadziła do upadku imperium sowieckiego.

Z wdzięcznością pamiętamy o wszystkich, którzy mieli w tym swój udział.

Zapraszamy do Gdańska na Święto Solidarności i Wolności. We wspólnocie napełnijmy się radością, siłą i nadzieją, których tak bardzo dziś potrzebujemy.

ECS europejskie centrum solidarności

miejsce wydarzeń / Gdańsk, Europejskie Centrum Solidarności
wstęp / wolny lub biletowany
pełen program / ecs.gda.pl

ORGANIZATORZY ECS

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

GDAŃSK

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

eprasa.pl f4a3c208bc

Korkociąg

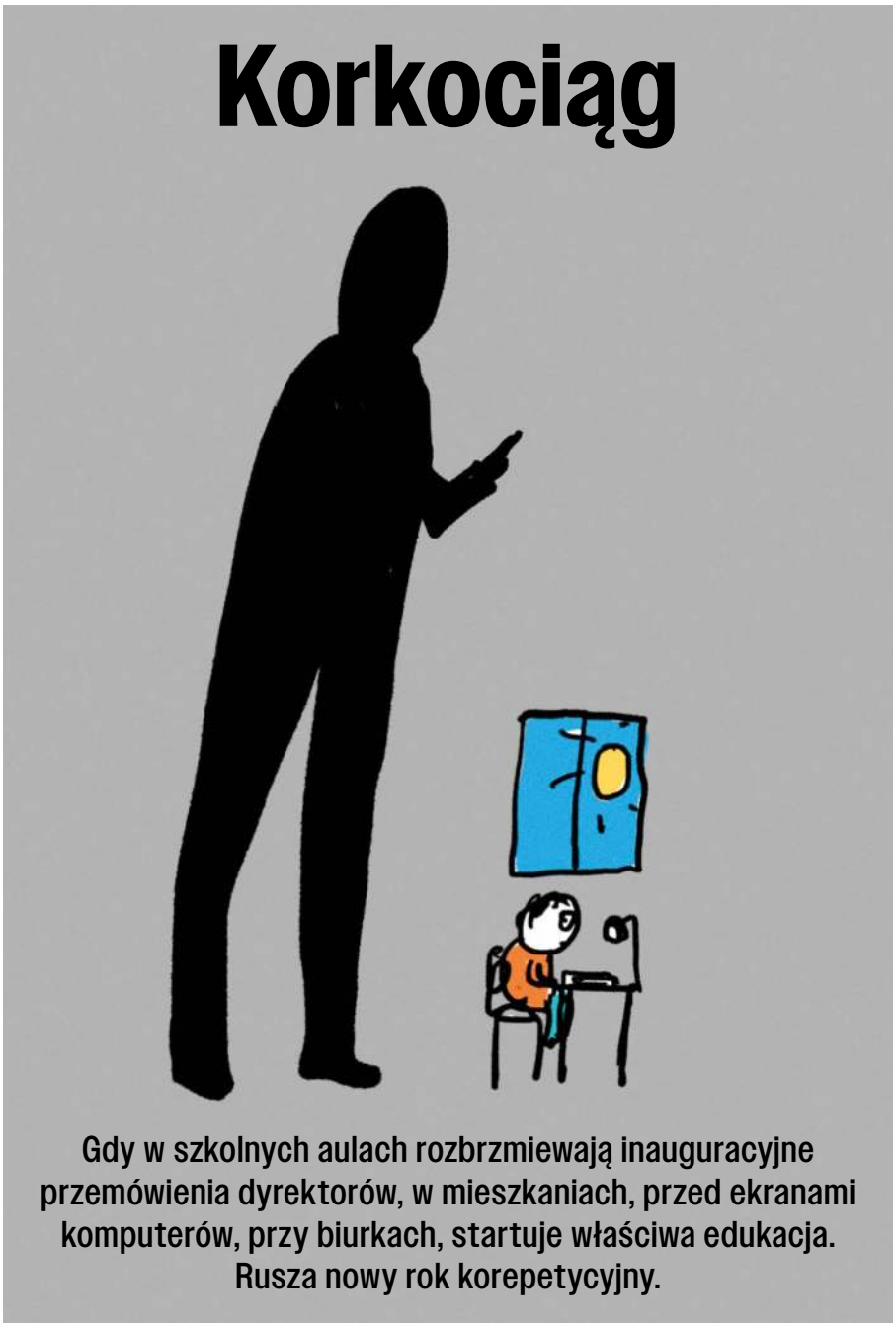

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Gdy w szkolnych aulach rozbrzmiewają inauguracyjne przemówienia dyrektorów, w mieszkaniach, przed ekranami komputerów, przy biurkach, startuje właściwa edukacja. Rusza nowy rok korepetycyjny.

JOANNA CIEŚLA, MAŁGORZATA SZCZEŚNIAK

Dla Marty, matki licealisty z Warszawy, koniec wakacji oznacza koniec ulgi w wydatkach. – *Korepetycje syna kosztują nas 3 tys. zł miesięcznie* – wyjaśnia. – *Bartek jest w bardzo dobrej szkole i dobrze się uczy, ale z matematyki i z chemii jest słabszy. Z każdego z tych przedmiotów ma półtorej godziny dodatkowych lekcji tygodniowo, czasami przed ważnymi sprawdzianami potrzebne jest więcej.*

Jako korepetycje nasza rozmówczyni liczy też naukę angielskiego i hiszpańskiego, również po półtorej godziny. Chłopiec radzi sobie ze szkolnym materiałem, ale matka wie, że nie opanuje języków przez dwie lekcje w tygodniu, w 15-osobowej grupie, oferowane przez publiczną oświatę. Standardowa stawka za zajęcia u korepetytora, czynnego nauczyciela z renomą, to 150 zł za 60 min. Kolejne setki wysypują się z portfela z tygodnia na tydzień.

Do Moniki, nauczycielki języka polskiego z liceum w Lublinie, chętni na korepetycje w tym sezonie zgłaszali się już w lutym. Jej koledzy biolodzy i chemicy prowadzą zapisy z co najmniej rocznym wyprzedzeniem.

Dariusz Chętkowski, polonista z łódzkiego LO i bloger polityka.pl, pisał niedawno tak: „Na pytanie, ile będziesz mieć godzin w nowym roku szkolnym, nauczyciele odpowiadają: 18+16, 20+20 albo 22+24. Pierwsza liczba wskazuje, ile lekcji w tygodniu trzeba przeprowadzić w szkole, druga mówi o korepetycjach".

Według komunikatu Centrum Badania Opinii Społecznej w ubiegłym roku szkolnym korepetycje i kursy przygotowawcze opłacało swoim dzieciom 34 proc. rodzin, w których są uczniowie. To o pięć punktów procentowych więcej niż w poprzednim sezonie i nic nie wskazuje na to, żeby tendencja miała się zmieniać. Wartość rynku korepetycji jesienią 2025 r., w raporcie serwisu e-korepetycje.net i „Rzeczpospolitej" szacowano na ok. 1 mld zł, a jego rozwój na 10–15 proc. rocznie.

Płacą przede wszystkim rodzice z dużych miast. Właśnie tam w szkołach najbardziej nie ma kto uczyć. W drugiej połowie sierpnia na stronach Mazowieckiego Kuratorium Oświaty wisiało 1,5 tys. ofert pracy dla nauczycieli w Warszawie. W Łodzi, Krakowie czy Wrocławiu ogłoszeń było po 500–600.

Podłoże dla korka

Wiceszefowa MEN Katarzyna Lubnauer zaskoczyła sporą część nauczycieli i dyrektorów, stwierdzając w trakcie wakacji, że hasła o wyjątkowo trudnej sytuacji kadrowej w szkołach są przesadą. Na dowód przedstawiała liczby. Pod koniec lipca tego roku ofert pracy dla nauczycieli w całym kraju było 15,7 tys., rok wcześniej 16 tys., a w 2024 r. – 18,6 tys. Wiceministra, wzorem poprzedników na urzędzie, powtarzała też, że z początkiem września wakatów będzie mniej.

Lubnauer mniej mówiła o tym, kim zostaną wypełnione kadrowe dziury, i o tym, co za przytaczanymi liczbami się kryje. Robert Górniak, wicedyrektor Zespołu Szkół Prywatnych „Twoja Przyszłość" w Sosnowcu, prowadzący serwis Dealerzy Wiedzy poświęcony m.in. statystykom w oświacie, zwraca też uwagę, że zaprezentowane dane nie są pełne. – *Nie przedstawiają sytuacji w szkołach niepublicznych oraz w publicznych prowadzonych*

eprasa.pl f4a3c208bc

przez inne organy niż samorządy. A takie placówki umieściły kolejne 6 tys. ogłoszeń.

Ekspert zgadza się, że na początku września ogłoszeń będzie mniej, ale w dużej mierze wynika to z dobrej woli emerytów, którzy dają się namówić na dalsze wspieranie swoich szkół. To właśnie przedstawiciele tej grupy systematycznie i najwyraźniej przybywa wśród pracowników dydaktycznych. Tzw. normalny ruch kadrowy, o którym lubią mówić latem kolejni ministrowie edukacji, faktycznie trwa od lutego do maja, ponieważ najbardziej wartościowi nauczyciele, zatrudnieni na akt mianowania, mają umowy z trzymiesięcznym okresem wypowiedzenia. Końcówka sierpnia i wrzesień to faktycznie czas rekrutacji z łapanki – także osób, które nie mają pełnych kwalifikacji nauczycielskich.

„Dziennik Gazeta Prawna" przytaczał kilka tygodni temu dane zebrane z 13 (na 16) kuratoriów oświaty. Okazało się, że w ostatnich pięciu latach do tych urzędów wpłynęło prawie 50 tys. próśb o zgodę na zatrudnienie w takiej sytuacji. Prawie 38 tys. razy zgoda została wydana. Niekoniecznie chodzi o osoby całkowicie nieprzygotowane do pracy, częściej niespełniające warunków formalnych. Ale rozwiązanie, które według założeń miało być możliwe w wyjątkowych, szczególnych przypadkach, stało się standardem.

Związek Nauczycielstwa Polskiego też dziwił się ministerialnej dezynwolturze. Zwłaszcza że gdyby, przyjmując pewne uproszczenia, zsumować stan wakatów z liczbą pracujących w szkołach emerytów i osób bez kwalifikacji, okazuje się, że brakujących nauczycieli jest ponad 100 tys. A w wypełnionej przez 1,5 tys. osób ankiecie magazynu ZNP „Głos Nauczycielski" ci pracujący przyznali, że u progu nowego roku szkolnego najczęstszymi odczuwanymi przez nich emocjami są rozpacz, zmęczenie i wypalenie (36 proc. wskazań), dalej: niepokój (30 proc.) i obojętność („jest mi już wszystko jedno" – 14 proc.).

Wpływają na to m.in. niekończące się zmiany i dochodzące obowiązki, ostatnio związane z egzekucją zakazu smartfonów w podstawówkach i realizacją reformy Kompas Jutra. I to wszystko bez osłody w postaci perspektywy podwyżek, bo rząd przewidział dla nauczycieli jedynie wyrównanie inflacyjne – 3 proc. od 1 stycznia 2027 r.

Nie dziwi więc, że wielu dyrektorów szkół wypatruje na wdechu rozpoczęcia roku i rozstrzygnięcia, kto ostatecznie stawi się w auli chętny do pracy. Bo bywa, że po kilku nauczycieli nagle składa orzeczenia uprawniające do rocznego urlopu zdrowotnego, którego dyrektor nie może odmówić. Co do nowo zatrudnionych pracowników też nie ma pewności – bywa, że zmieniają plany i po prostu nie przychodzą do szkoły.

Z kolei ci, którzy się pojawiają, często nie chcą brać dodatkowych godzin. Dyrektor może nauczycielowi dołożyć bez pytania go o zgodę najwyżej jedną czwartą etatu, z czego wychodzą maksymalnie 23 lekcje tygodniowo. Ale takich przemocowych działań pracownicy nie lubią, zwłaszcza młodzi, najbardziej skorzy do tego, żeby pracę porzucać. Co ma ich trzymać, skoro na dzień dobry zarabiają mniej niż szkolna sprzątaczka?

Skutek jest taki jak w szkole Leny. – *W ubiegłym roku nie było chyba tygodnia, żeby córka nie miała odwołanych lekcji – bo ktoś poszedł na zwolnienie, pojechał na wycieczkę albo z uczniem na konkurs i nie było komu wziąć zastępstwa. A jak były zastępstwa, to zupełnie przypadkowe* – mówi Krzysztof, ojciec dziewczyny. – *Musimy opłacić korki przynamniej z matematyki i fizyki, bo inaczej Lena nie ma szans zdać dobrze matury. Szkoła jej do tego nie przygotuje. A jest to liceum z topowej piątki warszawskiego rankingu.*

Korzenie korka

Zatem z początkiem września MEN będzie mogło odtrąbić, że pożar kadrowy po raz kolejny został opanowany, a oświata nadal będzie się oddolnie prywatyzować. Kolejne rządy obiecywały, że zapotrzebowanie na korepetycje wygaśnie. Zamiast tego staje się masowe. W cytowanym raporcie CBOS widać, że korki systematycznie zaczęły zyskiwać na popularności od 2015 r. – wtedy płaciło za nie 14 proc. rodziców uczniów – z wahnięciem w pierwszym roku pandemii. Teraz doszliśmy do poziomu jednej trzeciej uczniów na lekcjach po lekcjach.

Korepetycje to biznes, ale dawno już nie można twierdzić, że wyrósł na lenistwie uczniów, chciwości nauczycieli czy chorych ambicjach rodziców. Wyrósł z systemu mającego u podstaw równość, a tak naprawdę polegającego na wyścigu o punkty, czołowe miejsca w rankingach i prestiż społeczny. – *Z perspektywy Ministerstwa Edukacji Narodowej kluczowe jest, aby szkoła zapewniała jak najwyższą jakość nauczania oraz szeroką ofertę bezpłatnych form wsparcia tak, by prywatne korepetycje pozostawały wyborem, a nie koniecznością* – komentuje rzeczniczka prasowa Ewelina Gorczyca. – *Dlatego w ramach reformy Kompas Jutra próbujemy wzmacniać efektywność nauczania, lepiej dopasowywać treści nauczania do potrzeb uczniów. Ograniczanie presji na prywatne korepetycje powinno odbywać się przede wszystkim poprzez podnoszenie jakości pracy szkoły* – podsumowuje. Na razie uruchomienie Kompasu postrzegane jest przez wielu nauczycieli jako kolejne nieodpłatne zadanie zlecone, co tylko wzmacnia frustrację.

Korki wzięły się również z przeładowanego programu. Nauczyciele, nawet gotowi wziąć kolejny przedmiot i uzupełniający kwalifikacje na półtorarocznych studiach online, nie są w stanie realizować społecznych oczekiwań: wychowywać, wspierać psychicznie, integrować, motywować, rozliczać, przygotowywać do egzaminów oraz prostować zaniedbania, jakich dopuszczają się rodzice; i to tak, aby ich nie urazić. Lekcje często sprowadzają się do prób godzenia wszystkich tych wyzwań. ▶

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ A „zindywidualizowany proces nauczania" w 34-osobowej klasie to w pewnym sensie zabawny oksymoron.

Raz jeszcze Dariusz Chętkowski o warunkach pracy dyktowanych przez najbardziej poszukiwanych nauczycieli przedmiotów egzaminacyjnych: „Żadnego wychowawstwa, żadnych godzin ponadwymiarowych, zero zastępstw, plan lekcji bez okienek, krótszy dzień pracy, wolny piątek. Najlepszy układ to niepełny etat, byle mieć opłacony ZUS, i cztery–pięć godzin korepetycji od poniedziałku do soboty". Z perspektywy domowego budżetu takie podejście jest całkowicie racjonalne. Za przepracowaną w szkole lekcję języka polskiego lub matematyki nauczyciel dyplomowany dostaje średnio 60 zł na rękę. Stawka za godzinę korepetycji u doświadczonego pedagoga zaczyna się od dwukrotności tej kwoty i nie ma górnej granicy. Na przykład za godzinę przygotowywania do konkursów przedmiotowych przez czynnego nauczyciela trzeba zapłacić 300 zł. Ceny zależą też mocno od poziomu ucznia, przedmiotu i regionu.

Stacjonarne lekcje są zazwyczaj 10–20 proc. droższe niż online, z powodu dojazdów. Korepetycje premium to usługa o wartości 300–500 zł za godzinę. Tyle zarabiają m.in. specjaliści związani z Centralną Komisją Egzaminacyjną, autorzy podręczników, a także profesorowie uniwersyteccy. Rodzice płacą za doświadczenie w przygotowywaniu do egzaminów, matur i konkursów, obeznanie z programem nauczania i umiejętność uczenia.

Dobrzy nauczyciele działają z polecenia rodziny, przyjaciół i wychowanków. Nie muszą się nigdzie ogłaszać czy ryzykować zwolnienia dyscyplinarnego, ucząc własnych uczniów po godzinach za pieniądze (co nie jest etyczne, ale tu i ówdzie się zdarza). Pomocne dla obu stron bywają też platformy online, łączące uczniów z nauczycielami. Największe, jak e-korepetycje.net, superprof.pl czy eduloop.pl, funkcjonują przede wszystkim w dużych miastach. Ale i w mniejszych jest dość ruchu, by opłacało się tworzyć własną ofertę.

– *Zatrudniamy głównie młodych ludzi, pełnych pasji i zaangażowanych* – twierdzi 25-letni Bartosz Szyra, współzałożyciel platformy korepetycji Piątka w Kieszeni, działającej w Nysie i kilku innych miastach. Ceny lekcji indywidualnych wynoszą 80–90 zł, a za elektronikę czy elektrochemię trzeba zapłacić 100 zł.

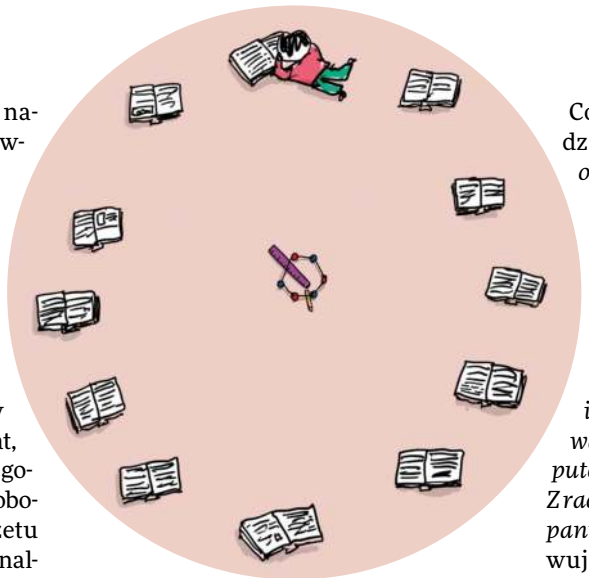

Jaki jest stosunek samych dzieci do korepetycji? Ambiwalentny. W pierwszym odruchu często mówią, że ich nie lubią. Widzą w nich zamach na swój wolny czas. W drugim odruchu przyznają, że na lekcjach prywatnych nauczyciele zyskują „ludzką twarz": nie krzyczą, nie ośmieszają, co w warunkach szkolnych wciąż bywa nieoczywiste.

Część dzieci i nastolatków wyraźnie widzi też wartość w okazji do spokojnego przyswojenia materiału, bez widowni złożonej z kolegów i koleżanek, we własnym tempie. Większość ma też świadomość, że dodatkowe lekcje pozwalają lepiej funkcjonować w zderzeniu ze szkolnym systemem.

Korek ma moc

Choć uczciwie trzeba przyznać, że jakość tych usług również jest zróżnicowana. Idealny korepetytor zna dobrze swój przedmiot, potrafi się wstrzelić w program nauczania i zaciekawić wiedzą, zna dobrze formułę egzaminu ósmoklasisty lub matury i potrafi wypracować z uczniem gładkie przejście przez utarte schematy. Ktoś taki nie zawsze trafia się od razu. – *Kiedyś szukałam osoby, która jednorazowo przed sprawdzianem poćwiczy z moim synem reakcje chemiczne* – mówi Anna Gawidziuk z Poznania, mama nastolatka. – *Syn chodził wtedy do podstawówki. Znalazłam firmę w internecie, młody chłopak podjął się zadania. Gdy przyszło do płacenia, zażyczył sobie stawkę jak dla szkoły średniej, czyli wyższą. Kiedy zaoponowałam, że syn chodzi do podstawówki, zdziwił się, bo poruszył z nim zakres materiału dla liceum. Syn dostał ze sprawdzianu jedynkę. Wtedy zrozumiałam, że naciągaczy nie brakuje* – konstatuje rozżalona matka.

Co nie znaczy, że wszyscy młodzi ludzie są tacy. – *Zlecenia na korepetycje otrzymuję głównie z polecenia znajomych lub rodziny* – opowiada Joanna Pawłowska, studentka z Wrocławia. – *Studiuję interdyscyplinarny kierunek na politechnice, dzięki czemu mogę prowadzić zajęcia z różnych przedmiotów. Rodzice i uczniowie są zadowoleni z młodzieżowego podejścia i metod dostosowanych do zainteresowań młodych – nawiązań do gier komputerowych, seriali, filmów na YouTube. Z racji mniejszej różnicy wieku na zajęciach panuje swobodna atmosfera* – podsumowuje Joanna, udowadniając, że student też może sprawdzić się świetnie na rynku. Jest tańszy niż czynny nauczyciel (za lekcję online w dużym mieście weźmie 80 zł, z dojazdem do domu ucznia 100 zł), sprawniej pracuje online i nie marudzi. To, że uczeń jest nieprzygotowany, nie odrobił zadania albo nie wie, na jakim świecie żyje, nie budzi u niego konsternacji, tylko zrozumienie.

Działanie korepetycyjnej machiny odpowiada szkolnym nauczycielom – dzięki temu, że uczniowie dokształcają się poza placówką, osiągają lepsze wyniki na egzaminach, a szkoły spijają śmietankę i zbierają laury w rankingach. Pasuje korepetytorom – dzięki dodatkowym zarobkom mogą żyć na poziomie, którego nie zapewnia im praca w szkole państwowej. Pasuje też rodzicom, którzy zyskują poczucie, że zapłacili, dopilnowali. Pod warunkiem że mówimy o rodzicach z klasy średniej – tych, których stać na korki. I którzy chcą je synom i córkom zapewniać. Najmniej pasuje to dzieciom i nastolatkom z rodzin, których sytuacja materialna jest trudna. Ale oczekiwanie od oświaty wyrównywania szans z roku na rok wydaje się coraz bardziej idealistyczną mrzonką.

Niehamowany rozwój rynku korepetycji odpowiada też władzom, bo pozwala przedstawicielom kolejnych rządów opowiadać, że sytuacja w szkołach nie jest dramatyczna. Nie dość, że ktoś tam przecież wciąż przychodzi do pracy, to jeszcze dzieci zdają egzaminy ósmoklasisty i maturę.

I tak korki zatykają mało wydolny system – prowizorycznie, ale to widać dopiero w dłuższej perspektywie. Tylko że jeśli chodzi o system edukacji, mało kto ją przyjmuje. I może dlatego tak łatwo ulegać złudzeniu, że edukacja wcale ze szkół nie wycieka.

JOANNA CIEŚLA, MAŁGORZATA SZCZEŚNIAK

eprasa.pl f4a3c208bc

Nie pali się?

Dlaczego masowe pożary lasów ominęły Polskę i czy to oznacza, że możemy spać spokojnie, wyjaśnia leśnik i pożarnik Jan Kaczmarowski.



Płonący las w departamencie Żyrondy koło Bordeaux pod koniec lipca. Tego lata we Francji skumulowały się ekstrema pogodowe.

© PIERRE CROM/GETTY IMAGES

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Lasy Państwowe straszą, że pożarów w tym roku jest już tysiąc więcej niż w zeszłym, a z drugiej strony ich nie widać. Czy rozsądne jest takie budowanie napięcia po pożarach choćby we Francji?**

JAN KACZMAROWSKI: – Taką mamy statystykę, a ze statystyką ciężko polemizować.

Tyle że to statystyka na sterydach, o co zresztą wkurzają się choćby Włosi – że Polska raportuje byle pożar śmietnika w lesie i w efekcie jest trzecim krajem pod względem pożarów. A oni tracą hektary lasów i dostają mniejszą pomoc.

Każdy pożar był kiedyś mały. Jeden z tych wielkich we Francji zaczął się od iskry przy konserwacji linii wysokiego napięcia. W korzystnych okolicznościach można by go było ugasić stosunkowo szybko i ograniczyć do kilku spalonych arów. Skończyło się jednak tragicznie.

No właśnie, większość pożarów w Polsce to pożary liczone w arach. Dwa największe w tym roku, pod Józefowem i Wołominem, to w sumie 1400 spalonych hektarów, a wy na miejsce ściągacie premiera i ministra. Pod samym Bordeaux spaliło się 42 tys. ha.

Dużo pytań w jednym. Zacznę od końca. Z tego, co wiem, premier i minister przyjechali spontanicznie. I to chyba dobrze, że władze reagują. Tak, zdecydowana większość pożarów w polskich lasach liczona jest w arach, ale to zasługa systemu nadzoru i ochrony lasów, który my jako przedsiębiorstwo utrzymujemy za ciężkie miliony. Tak, raportowanie jest skrupulatne, czego nam zresztą zazdroszczą choćby Belgowie. U nas podaje się nie tylko liczbę zdarzeń, ale ich zasięg i współrzędne geograficzne. U nich dalej pracują w papierze i raportują z opóźnieniem, a Holendrzy podają adres pożaru lasu na podstawie adresu najbliższego domostwa, bo taki mają system. A co do definicji pożaru, jest to niekontrolowany proces spalania w miejscu do tego nieprzeznaczonym. Kropka. Jeśli wyznaczę panu miejsce na ognisko w lesie, zabezpieczę choćby okręgiem z kamieni czy cegieł, a ogień zajmie np. ściółkę poza tym kręgiem, to jest to już pożar w myśl definicji. Ale nasze sukcesy nie polegają na tym, że zgłaszamy, jak leci, tylko na tym, że błyskawicznie reagujemy. A kręgosłupem tego systemu są Ochotnicze Straże Pożarne, polski skarb narodowy. To w dużej mierze dzięki ich ciężkiej pracy pan i ja możemy spać spokojnie.

Nie chciałbym deprecjonować ich pracy, ale w tych ochotnikach coraz mniej ochotników. Strażak w OSP może wyciągnąć nawet 2–3 tys. zł za dyżury i służbę.

Znam również takich, którzy nie biorą nawet złotówki, a całe przysługujące im pieniądze przekazują na sprzęt, którym później nie tylko gaszą lasy, ale również ratują ludzkie życie. Dziś ludzi zakleszczonych w samochodzie w ciężkim wypadku wyciągają lokalny piekarz z właścicielem warsztatu samochodowego, bo poziom profesjonalizmu OSP jest absolutnie nieporównywalny z tym, jaki był jeszcze – dajmy na to – 20 lat temu. Trudno się dziwić, że i oczekiwania tych ludzi są większe. Przecież mogliby spędzać czas przed telewizorem z nie powiem czym w ręku. A jednak czekają w pogotowiu ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ i jak przychodzi co do czego, to ruszają nam na pomoc.

Płomiennie ich pan broni. Kupuję te argumenty. A co do płomieni w lasach, to jak sprawdziłem, lipiec był bardzo spokojny. 129 pożarów w LP i ponad 200 w lasach prywatnych. Tyle to czasem mieliście w jeden dzień.

W kwietniu 2019 r. rzeczywiście mieliśmy takie dni, w których było więcej pożarów niż przez cały lipiec w tym roku. Sierpień jest również dla nas łaskawy. Na razie średnia to 24 pożary dziennie. Żaden nie był na tyle poważny, by straty były liczone w setkach tysięcy czy milionach. W te wakacje rzadziej również sięgaliśmy po wsparcie z powietrza. Wygląda na to, że jesteśmy narodem wybranym, bo cała Europa się pali, a u nas są cisza i spokój. Ale ja bym nie chwalił dnia przed zachodem słońca, bo statystyką krótkoterminową rzeczywiście można trochę żonglować. Ale długoterminową już nie. Poświęciłem temu sporo czasu i zrobiłem podsumowanie liczby pożarów w Polsce od drugiej wojny światowej z podziałem na dekady. Wychodzą z tego różne ciekawe rzeczy. Ale kluczowa informacja jest taka, że pożarów mamy coraz więcej. Długoterminowy trend jest rosnący. I raczej nie będzie ich mniej. Złożą się na to zmiany klimatu i powodowane przez nie anomalie pogodowe oraz palność naszych lasów.

Czyli płacimy za błędy leśników, którzy masowo stawiali na monokulturę sosnową, a ta szybko rośnie, ale jeszcze szybciej się pali.

Drzewa nie rosną rok ani dziesięć lat. Łatwo być dziś mądrym. Kiedy nasi poprzednicy obsadzali lasy sosną, nikt nie mówił o katastrofie klimatycznej, bo ludzkość nie do końca sobie zdawała z niej sprawę. Z pewnością nie była to wiedza powszechna ani namacalna jak dziś. Na ćwiczeniach w czerwcu dokonywałem kontrolnego pomiaru temperatury za pomocą profesjonalnej przenośnej stacji meteorologicznej i zarejestrowałem ponad 46 st. C. Był to odczyt z odpowiednio skalibrowanego w cieniu urządzenia. Takich temperatur u nas nie było, a dziś stają się rzeczywistością. Tak jak kiedyś nie mieliśmy pożarów lasów zimą. Las przykrywała śniegowa czapa, która zalegała miesiącami. Po zimie był nasiąknięty jak gąbka. Choć sezon pożarowy trwa średnio ok. 244 dni, to w rzeczywistości ciągle się wydłuża. Rejestrujemy pożary od 1 stycznia do 31 grudnia.

W tym roku akurat śnieg był, co niektórym pozwoliło ogłosić, że katastrofy klimatycznej nie ma.

To jak z tym obrazkiem, na którym chuligan kogoś szarpie. A jak zobaczymy całość, to on łapie go za kołnierz, żeby nie wpadł pod samochód. Mimo w miarę śnieżnej zimy w maju mieliśmy apogeum pożarów. Prawie 1800. Co oznaczało, że średnio dzień w dzień było 58 zdarzeń. A to już zauważalna liczba. I szczerze mówiąc, bałem się, że pójdziemy na rekord. Ale to Francja wylosowała w tym roku najgorsze warunki i bardzo jej współczuję.

W jakim sensie wylosowała?

To taka przenośnia. Ale już na początku roku z europejskimi kolegami po fachu obserwowaliśmy coraz mocniejsze prognozy rekordowego El Niño. To była jasna zapowiedź, że nie będzie lekkiego roku dla strażaków w Europie. W pierwszym kwartale byłem kilkakrotnie w Portugalii i oni już wtedy drżeli, że to się może skupić na nich. Ale już uczą się „żyć z pożarami" i do zarządzania nimi podchodzą bardzo serio. Od 2017 r. Portugalia przeznacza tyle samo budżetu na zarządzanie gruntami i zapobieganie pożarom, ile na ich gaszenie. Lepiej zapobiegać, niż leczyć. Jak jednak widzimy, ten sezon pożarowy dał się we znaki Francuzom.

Ponad 115 tys. spalonych hektarów. Może Francja się tak paliła, bo pożary przesunęły się bardziej na północ, gdzie wcześniej takich problemów nie było i nie byli na to gotowi?

Też się nad tym zastanawiałem. W czasie szalejących pożarów pod Bordeaux na Google Maps sprawdzałem, jak wyglądają tamtejszy krajobraz i roślinność. Okazało się, że sieć drogowa jest dobrze przygotowana do akcji gaśniczej. Wzdłuż dróg ciągnęły się pasy przeciwpożarowe, które w założeniu ograniczają rozwój pożaru i umożliwiają strażakom tworzenie linii obrony. Ale Francuzom przyszło zmierzyć się z czymś, na co ciężko się przygotować. Nakładające się na siebie ekstrema pogodowe stworzyły niszczycielską anomalię, która drastycznie wykracza poza historyczne normy. Choć to bezprecedensowe pożary, to jednak nie powinny nas zaskakiwać. Dysponujemy wynikami trwających dziesięciolecia badań naukowych i ostrzeżeniami, które je przewidywały.

W jednym z pożarów zginęło czterech strażaków. O czym to świadczy – o sile ognia czy o ludzkim błędzie?

Mówi się, że ogień to żywioł. Dla większości to puste słowa. Ale kto pracuje z ogniem, ten wie, co się za nimi kryje. To nie przypadek, że w Stanach Zjednoczonych, gdzie skala i intensywność pożarów już od lat są zatrważające, strażacy są drugą grupą zawodową narażoną na PTSD, czyli syndrom stresu pola walki. W Kalifornii każdy strażak jadący do pożaru lasu cały czas ma na plecach *fire shelter*, czyli ratunek ostatniej szansy. To taki 2,5-kilogramowy pakunek wielkości cegłówki na stałe przymocowany do plecaka, który w upale trzeba dźwigać przez kilkanaście godzin, walcząc z pożarem za pomocą siekier czy motyki. Uczestniczyłem w ćwiczeniach z użycia tego „schronu" i proszę mi wierzyć, że samo to było już mocnym wyzwaniem dla psychiki.

Na zdjęciach to wygląda jak prześcieradło z gumką. Tyle że mocno obcisłe i z foli aluminiowej.

Można to tak opisać. To sprzęt ostatniej szansy. Jego użycie to ostateczność i znak, że coś poszło nie tak. Kiedy strażacy otoczeni są ogniem i nie ma już żadnej możliwości ucieczki, dowódca drużyny ogłasza *shelter alarm* i wszyscy jak jeden mąż biorą się do roboty. Najpierw trzeba odgarnąć jak największy teren pokryty ściółką. Żeby krąg ognia, który będzie nas otaczał, był jak najmniejszy. Tyle że mówimy o ostatniej desce ratunku, więc z reguły czasu na to jest za mało. Później odrzuca się cały sprzęt poza radiem, żeby można było wezwać pomoc, jeśli oczywiście ktoś przeżyje – jak podkreślał

Jan Kaczmarowski, ur. 1989 r. – leśnik, pożarnik, główny specjalista ds. ochrony przeciwpożarowej lasów w Dyrekcji Generalnej Lasach Państwowych. Polski delegat w grupie ekspertów ds. pożarów lasów pracującej przy Komisji Europejskiej. Laureat prestiżowej międzynarodowej nagrody Firebreak Award for Excellence in Wildland Fire Management.



eprasa.pl f4a3c208bc



Puszcza Solska po pożarze w maju tego roku. Ogień strawił najcenniejsze fragmenty drzewostanu, podczas niezwykle trudnej akcji gaśniczej zginął pilot samolotu.

prowadzący ćwiczenie. Zostawiasz sobie jeszcze wodę pitną. Reszta idzie w płomienie. Do folii trzeba wejść na tyle umiejętnie, żeby maksymalnie się osłonić. A jednocześnie stworzyć takie warunki, żeby dało się oddychać. W tym celu najlepiej jest wydrążyć pod twarzą głęboką jamę w ziemi i stamtąd zaciągać jak najbardziej wilgotne powietrze. Tylko że najczęściej nie ma na to czasu. Już po chwili w ustach masz pełno ziemi. Jak nam mówili ci, którzy to przeżyli, jest to akurat najmniejszy problem.

W folii aluminiowej piekę rybę, to jaka to jest ochrona?

I ci ludzie też się w niej pieką, ale wolniej niż bez folii. To izolacja, która ma zwiększyć szansę na przeżycie, a nie kod nieśmiertelności. Historia zna przypadki, gdzie z całej ekipy kilka osób ginie, inni wychodzą z tego z ciężkimi oparzeniami, a jeszcze inni bez szwanku, choć wszyscy leżeli prawie w tym samym miejscu. O przeżyciu czasem decyduje pół metra. Ściana ognia jest nie tylko niezwykle gorąca, lecz również głośna. Ten dźwięk dla człowieka jest niezwykle przerażający. Do tego dochodzą bardzo porywiste podmuchy. Trzeba mieć żelazną psychikę, żeby przetrwać coś takiego. Na ćwiczeniach warunki najlepiej symuluje się za pomocą śmigłowca w niskim zawisie. Oczywiście nie daje elementu ciepła, ale trzeba walczyć, żeby utrzymać schron na wietrze. Ale reszta jest mniej więcej podobna. Nie polecam.

Polscy strażacy takich zabezpieczeń nie muszą nosić. U nas takich pożarów nie ma.

Nie ma. A jednocześnie co roku podczas pożarów zbóż płonie kilka wozów strażackich. Z ogniem nie ma żartów. Mówi pan, że u nas nie ma takich dramatycznych pożarów jak te, które spustoszyły Francję. Nie ma, ale się zdarzały. Przypomnę choćby ten w Kuźni Raciborskiej w 1992 r. I takich najbardziej się boimy. Próbujemy chronić przed nimi las i samych siebie, stąd ten rozbudowany system wież obserwacyjnych. I raportowanie każdego najmniejszego zdarzenia, co pan tak wypominał.

Nie wypominałem, tylko zwracałem uwagę, że jak będziecie ciągle ludzi straszyć, to przestaną was słuchać. A jak sprawdzałem stan zagrożenia, to w większości nadleśnictw jest na zielono albo na niebiesko. Europa płonie, a Polska znowu jest zieloną wyspą.

Zastał mnie pan w trakcie pracy zdalnej. Pod moimi nogami leży kompletny kombinezon ochronny, gdyby się okazało, że trzeba gdzieś jechać. Ale o sierpień jestem spokojny. Jaki będzie wrzesień, nie mam pojęcia. Wystarczy, że nad Polską uformuje się czapa ciepła jak nad Francją i sytuacja będzie się pogarszać z dnia na dzień. Przez najbliższe dni mogę spać spokojnie, a ludzie mogą się nie martwić, że nie załapią się na kolejny wysyp grzybów.

Kolejny, bo zmiana klimatu przełożyła się i na to. Dziś grzybobranie nie kojarzy się już z jesienią.

Wszyscy widzimy, co się dzieje. W lasach też to widzimy i nasze lasy się zmieniają. Zwiększamy ich różnorodność. Pracujemy nad zatrzymaniem w lesie maksymalnie dużej ilości wody. Ale jak każdy proces, również te obliczone są na lata. Dlaczego polskie lasy płoną ostatnio głównie w okresie wczesnowiosennym? Otóż dlatego, że wskutek braku śniegu najlepsze paliwo, czyli pozostałości po roślinach jednorocznych, jest zbyt przesuszone. Przy upalnej wiośnie paliwa jednogodzinne, jak my je klasyfikujemy, będą mieć dwa, trzy dni słońca i wiatru, który to wszystko przesusza. Wtedy wszystko jest gotowe, żeby się zapalić.

Samo się nie zapala.

To prawda. Za dziewięć na dziesięć pożarów odpowiada człowiek.

Ktoś specjalnie podpala?

Niestety tak. Według naszych statystyk aż 40 proc. pożarów to celowe podpalenia.

Ukraińcy oskarżają Rosjan, że specjalnie podpalają ich lasy.

Uderzył pan w mój czuły punkt, bo niedawno opublikowałem razem z kolegą z Charkowa artykuł naukowy na ten temat. Dokonaliśmy analizy pożarów roślinności wzdłuż linii frontu. Okazało się, że najwięcej pożarów w Ukrainie wybuchało, kiedy wiatr wiał od wschodu.

A jakie to ma znaczenie?

Takie, że nie podpalasz lasu, jeśli wiesz, że ogień pójdzie w twoją stronę.

A może to przypadek?

Młodzież ma takie powiedzenie: „Przypadek? Nie sądzę". My swój materiał oparliśmy na faktach, statystykach i konkretach w recenzowanym czasopiśmie naukowym. No i bez dwóch zdań. Rosja niszczy Ukrainę również poprzez ekoterroryzm i mamy na to dowody.

Czy to oznacza, że niedawno podpalili Marywilską, a teraz będą nam podpalać lasy?

Daleki jestem od siania paniki, ale takie działania również znajdują się w arsenale tego kraju. Trzeba mieć to z tyłu głowy i przygotowywać się również na takie wyzwania. Brak przygotowania prowadzi do porażki. Strategii przetrwania nie można opierać na szczęściu.

Polacy lubią myśleć, że szczęście sprzyja lepszym.

Szczęście sprzyja dobrze przygotowanym.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

© PAP/ALBERT ZAWADA, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl f4a3c208bc



Bartosz Harbut, stały bywalec wrocławskiego kina Nowe Horyzonty. Audiodeskrypcja sprawiła, że przychodzi tu niemal co wieczór.

Ale kino

Osoby niewidome też mogą pójść na seans filmowy. Co prawda nie będą widzieć, ale będą wiedzieć, co się dzieje na ekranie. A to już coś, bo magia kina działa na każdego.

FILIP ZAGOŃCZYK

Niewidomi w kinach to wciąż egzotyczny widok. Ma to zmienić aplikacja Kino Dostępne, którą można ściągnąć na telefon. Mam smartfon, lubię kino, więc przystępuję do testów. Przed salą kinową w jednym z warszawskich centrów handlowych panuje ogromny ścisk. Ja idę z białą laską, obok mnie jadą na wózkach koleżanka z kolegą. Czuję, że ludzie rozstępują się przed nami niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Przy okazji budzimy niemniejsze zainteresowanie niż głośno reklamowany film. Jeden ze zszokowanych widzów podchodzi, bo chce pomóc. – *Proszę pana tu jest kino, a pan na pewno chciał do sklepu, prawda?* – mówi. – *Nie* – odpowiadam spokojnie. – *Przyszedłem do kina*.

Jak to działa

Aplikacja Kino Dostępne pozwala osobom z niepełnosprawnością wzroku na odsłuchiwanie opisu tego, co dzieje się na ekranie, na własnym smartfonie. Przed pójściem do kina widz ściąga na telefon audiodeskrypcję, która synchronizuje się z filmem. W najnowszej wersji aplikacji synchronizacja w sali kinowej jest możliwa nawet bez dostępu do internetu. Twórcą aplikacji jest Jan Dybczyński, swego czasu wieloletni szef promocji w kilku wiodących korporacjach prasowych. Jak sam mówi, pod koniec kariery zawodowej chciał zaangażować się w projekt ważny społecznie. W rodzinie ma osobę niedowidzącą i dostrzegł, że duża grupa osób z tym rodzajem niepełnosprawności jest pozbawiona dostępu do filmów i innych dzieł sztuki.

Powstała kilka lat temu aplikacja okazała się strzałem w dziesiątkę. W 2025 r. skorzystało z niej kilkanaście tysięcy widzów z niepełnosprawnością wzroku. Widzowie niewidomi nie muszą już czekać na specjalny pokaz z audiodeskrypcją. Wystarczy, że przyjdą do kina z własnym smartfonem, pobiorą audiodeskrypcję, którą słyszą w słuchawkach, i mogą oglądać film jak wszyscy.

Słowo „oglądać" jest tu jak najbardziej na miejscu. Mówiąc o swoich aktywnościach, osoby z niepełnosprawnościami posługują się tymi samymi słowami co inni. Naturalne jest więc, gdy podając rękę przy pożegnaniu, powiemy „do widzenia", a nie „do usłyszenia". To drugie może zostać odebrane jako nietakt. Pokazuje bowiem osobie, z którą rozmawiamy, że postrzegamy ją wyłącznie przez pryzmat jej niepełnosprawności. „Nie widzi, więc nie mogła oglądać" – często myśli osoba widząca. Tylko że to nieprawda, bo słowo „oglądać" jest tu użyte nie w sensie dosłownym, lecz jako synonim śledzenia czegoś, obserwowania, przeżywania. Podobnie osoby na wózkach nie jeżdżą, lecz idą do kina. Podkreślanie na każdym kroku, że poruszają się w inny sposób, byłoby ich stygmatyzacją.

Dzięki aplikacji niektórzy po raz pierwszy w życiu idą do kina z rodziną i dzielą się wrażeniami z seansu. Pod warunkiem że kino, które wybiorą, obsługuje aplikację, a film ma audiodeskrypcję. Niestety, większość jej nie ma. Jak tłumaczy Jan Dybczyński, wynika to z braku odpowiednich przepisów. Dystrybutorzy filmów zagranicznych często mówią wprost, że nie będą robić audiodeskrypcji, bo nie mają takiego obowiązku, a każde udogodnienie kosztuje. Niewidomi najwyraźniej nie są dla nich targetem.

Zdecydowanie lepiej idzie udostępnianie filmów krajowych, ponieważ Polski Instytut Sztuki Filmowej wymaga, aby każda produkcja otrzymująca dofinansowanie była dostępna także dla widzów z niepełnosprawnością wzroku. Dzięki temu w aplikacji dostosowanych jest ponad 300 tytułów, m.in. „Dom dobry", „Ojczyzna", „Chopin, Chopin", „Milcząca przyjaciółka". Fundacja Kino Dostępne, której prezesuje Dybczyński, stworzyła także pierwszą w Polsce bibliotekę audiodeskrypcji. Dzięki niej dowolne kino w naszym kraju może zamówić jej udostępnienie i dostosować własny seans.

Patrzę i słucham

Z mojej perspektywy film „Zapach kobiety" wygląda tak: „Charlie uśmiecha się niepewnie. Frank pochyla się napastliwie. Charlie przestępuje z nogi na nogę. Frank zbity z tropu". Może to nie jest porywające, ale razem ze ścieżką dźwiękową daje już jakąś namiastkę kinowej akcji. Bez czytanego przez lektora opisu niewidomy widz słyszałby jedynie napastliwe słowa pułkownika i niepewne odpowiedzi młodego Charliego. Bez kontekstu i podpowiedzi lektora byłby z tego istny groch z kapustą. A tak jest popcorn i opis tego, co na ekranie, więc zupełnie jak w kinie.

© KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl f4a3c208bc

Konsultantka audiodeskrypcji Beata Wiśniewska podkreśla, że głównym jej twórcą jest osoba widząca. Musi ona przedstawić niewidomym obraz wyświetlany na ekranie w sposób jak najbardziej czytelny. Zdarzenia opisywane są w czasie teraźniejszym, np. „Bohater stoi na ulicy i macha ręką". W opisie unika się jakiegokolwiek wartościowania. Nie informuje się widza, że ten bohater ma wyjątkowo podły charakter, bo podobny wniosek może wyciągnąć samodzielnie. Co to za kino, w którym od razu mówią, kto zabija? Opisywany jest za to dokładnie wygląd postaci i pomieszczeń. Lektor informuje np. o kolorach mebli i ścian, bo wśród widzów mogą znajdować się tacy, którzy wzrok stracili niedawno i pamiętają barwy przedmiotów. Powinien zmieścić się z opisem między dialogami, żeby nie zakłócać odbioru.

Pomysł wydaje się nowy, ale kino jest na tyle stare, że już niejedno widziało. W Japonii w dobie kina niemego w czasie seansów zatrudniano benshi, czyli aktorów głosowych. Benshi stał po lewej stronie ekranu, wprowadzając widzów w opowieść. Podkładał również głos pod poszczególne postacie. A czasem po prostu tłumaczył, co się dzieje na ekranie, bo dla Japończyków, przez wieki odciętych od reszty świata, wiele gestów i zachowań z zachodniej kultury dalej było zagadkowych. Dobry benshi potrafił zapewnić kinu krociowe zyski. Słaby mógł doprowadzić kiniarza do plajty. Aplikacja Kino Dostępne nie ma takiej mocy, ale na liczbę sprzedanych biletów z pewnością może się przełożyć pozytywnie.

Taki film wczoraj widziałem

Kto może zostać audiodeskryptorem? Osoba, która ma dar obserwacji i dobrze posługuje się językiem polskim. Trzeba mieć wyobraźnię i wyczucie, żeby skutecznie opisać komuś niewidomemu to, co większość ludzi odbiera za pomocą wzroku. Wydaje się to proste, ale tak nie jest. Nie można mówić za wiele, ale trzeba powiedzieć wszystko to, co jest ważne. Dokładny opis tego, co wyświetla się na ekranie, może pomóc zwłaszcza tym, którzy zupełnie nagle znaleźli się w świecie ciemności.

Bartosz Harbut jest kinomanem. Kiedy w 2023 r. po 18 latach za granicą wrócił do Polski, został stałym bywalcem wrocławskiego kina Nowe Horyzonty. Do tego stopnia, że stał się rozpoznawalną postacią w miejskim środowisku filmowym. Nagła utrata wzroku była dla niego nie tylko ciosem, lecz także życiową tragedią. Tym bardziej że nie pierwszą. – *Od urodzenia zmagam się z chorobą genetyczną i jeżdżę na wózku* – opowiada. – *Mimo trudności, z którymi walczę na co dzień, zawsze miałem pozytywne nastawienie do życia. Skończyłem studia w Anglii. Pracowałem w Berlinie. I nagle, krótko po powrocie do kraju, spadł na mnie taki cios*.

Utrata wzroku to jedno z najtrudniejszych doświadczeń w jego życiu. Do tego stopnia, że miał nawet myśli samobójcze. – *Musiałem na nowo opanować wszystkie podstawowe czynności. Jak w ciemności jeść, wkładać ubranie. Początkowo problemem było nawet przesiadanie się z wózka na łóżko, bo w pierwszych dniach nie wyczuwałem odległości między jednym a drugim* – wspomina. Z tym mógł sobie poradzić z pomocą rodziców. Ale jak i po co iść do kina, po co w ogóle wychodzić z domu?

Wtedy rękę wyciągnęli do niego znajomi kinomaniacy. Namawiali, że zabiorą go do kina, że jest przecież audiodeskrypcja. – *W końcu dałem się przekonać i nagle znalazłem się w zupełnie innym świecie* – mówi. Tym razem w świecie dźwięków, a nie obrazów. – *Kiedy widziałem, film był bardziej przeżyciem emocjonalnym. Teraz, słuchając tego, co dzieje się na ekranie, skupiam się na narracji. Film jest bardziej zagadką do rozszyfrowania* – tłumaczy różnice.

Przyznaje, że dzięki wynalazkom takim jak aplikacja Kino Dostępne świat filmu znowu stoi przed nim otworem. Do kina chodzi niemal co wieczór. Znalazł też sposób na to, żeby panie w kasach zwracały się bezpośrednio do niego, co zawsze jest w Polsce problemem. Kiedy ludzie widzą osobę z niepełnosprawnością wraz z asystentem, rozmawiają wyłącznie z tym ostatnim, jakby człowiek niewidomy czy na wózku nie mógł odpowiadać za siebie. Bartek prosi więc o podwózkę zaprzyjaźnionego kierowcę, który pochodzi z Rwandy i słabo mówi po polsku. W ten sposób staje się dla obsługi kina jedynym dostępnym rozmówcą.

Można? Można

Przemysław Rogalski, jeden z użytkowników Kina Dostępnego, był ostatnio na „Milczącej przyjaciółce". Gdyby nie aplikacja, przez dużą część filmu kompletnie nie wiedziałby, co się dzieje, ponieważ akcja rozgrywała się w milczeniu. Dzięki audiodeskrypcji przynajmniej wiedział, że tak ma być. Aplikację ogólnie chwali. Ale z uwagami. – *Przydałoby się, żeby z jej poziomu przychodziły powiadomienia o nowych dostępnych tytułach* – wylicza. Zdarza się także, że jakiś film w kinach grany jest wyjątkowo krótko, a w aplikacji pojawia się z kilkutygodniowym opóźnieniem. Zanim stanie się dostępny, przestaje być już grany. Najczęściej nie jest to jednak wina twórców aplikacji, lecz dystrybutorów, którzy udostępniają audiodeskrypcję bardzo późno. Rogalski żałuje, że w aplikacji nie ma jeszcze opcji polskiego lektora do filmów zagranicznych z napisami.

Liderem wśród działań na rzecz dostępności jest Millennium Docs Against Gravity. Jak mówi Julia Kosińska, koordynatorka dostępności w MDAG, organizatorom zależało na włączeniu jak największej grupy odbiorców i odbiorczyń. Podczas festiwalu można było skorzystać z asysty, by dotrzeć na seanse. Asystent czekał na widza z niepełnosprawnością już na przystanku autobusowym. Szli razem aż do sali kinowej. Organizatorzy wprowadzili także bezpłatne wejściówki dla asystentów osób z niepełnosprawnościami. Wszystkie filmy z Konkursu Głównego były z audiodeskrypcją (ponad 200 seansów) i przynajmniej raz pokazano je z napisami dla osób niesłyszących i słabosłyszących (ponad 50 seansów). Widzowie i widzki mogli zobaczyć m.in. „Bez końca", „Córki góry" czy „Lisa i różowy księżyc".

Audiodeskrypcja nie ogranicza się do kina. Dostosowywane są także spektakle teatralne czy wystawy stałe w muzeach. Te ostatnie przez lata były dla niewidomych właściwie bezużyteczne. Nie dość, że nic nie można było zobaczyć, to niczego nie można było również dotknąć. Muzea jeszcze w latach 90. XX w. kojarzyły się głównie z barierami. Począwszy od braku wind w starych budynkach, a na mało przyjaznym personelu skończywszy. Dziś to często pełne dźwięków interaktywne przestrzenie, które opowiadają ciekawą historię i znoszą jedną barierę po drugiej. Do szczególnie dobrze dostosowanych należą Muzeum Powstania Warszawskiego i Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Można tam wypożyczyć audioprzewodniki i usłyszeć, jaki obiekt właśnie mijamy oraz jaka historia jest z nim związana. Dla niewidomych takie miejsca przestają już być sensacją. Teraz jeszcze czas, żeby oni w takich miejscach przestali budzić sensację. ■

eprasa.pl f4a3c208bc

Żabi skok

Najbardziej ekspansywna w Polsce sieć handlowa zmienia właściciela, ale nie sposób działania. Mimo kontrowersji wokół franczyzy Żabka szybko opanowuje kolejne ulice i połyka konkurencję.

CEZARY KOWANDA



eprasa.pl f4a3c208bc

Był to pojedynek japońsko-kanadyjski. Najpierw chęć przejęcia Żabki ogłosili Japończycy z Seven & I Holdings, właściciela m.in. 85 tys. sklepów 7-Eleven w 20 krajach. Kilka dni potem przyznali, że transakcja nie dojdzie do skutku. Wówczas do gry wkroczyli Kanadyjczycy z Alimentation Couche-Tard, sieci posiadającej zarówno małe sklepy, jak i stacje paliw, obecnej w prawie 30 państwach. I to ten koncern porozumiał się z funduszami inwestycyjnymi kontrolującymi Żabkę. Na razie Alimentation Couche-Tard ma u nas ok. 400 stacji Circle K. Wkrótce stanie się właścicielem największej pod względem liczby punktów sieci handlowej w Polsce. Żabka niedługo przekroczy poziom 13 tys. sklepów. I na tym z pewnością nie skończy. Zarząd już zapowiada, że pod koniec 2028 r. Żabek ma być co najmniej 16 tys. A w dalszej przyszłości jeszcze więcej.

Wielkie ropuchy i małe kijanki

To realny plan, bo tempo otwierania nowych punktów jest coraz szybsze. Pierwsza Żabka powstała w 1998 r., dwutysięczny sklep pojawił się po niemal dekadzie, a punkt numer 5000 w 2018 r. Kolejne 5 tys. Żabek przybyło w zaledwie pięć lat. Obecnie co roku otwiera się niemal 1,3 tys. punktów, czyli więcej niż wszystkich polskich sklepów Lidla, który niedawno świętował uruchomienie u nas tysięcznego dyskontu. Liczba Żabek jest zdecydowanie większa niż sklepów sieci Biedronka, Lidl i Dino razem wziętych.

Większość zielonych punktów ma powierzchnię kilkudziesięciu metrów kwadratowych, choć pojawiają się też mniejsze. Należą do nich np. niewielkie, autonomiczne sklepy Żabka Nano – bez obsługi i kas, za to z kamerami rejestrującymi ruchy klientów. Niedawno otwarto Żabkę w kiosku koło dworca Wrocław Główny. Dla przeciwwagi w centrum Warszawy ma pojawić się Żabka w wersji mega, na dwóch poziomach w dawnych domach towarowych Centrum.

Pod względem przychodów sieć nie jest liderem polskiego rynku, bo jej punkty trudno porównywać z dyskontami czy supermarketami. Jednak łączne obroty Żabki przekroczyły w 2025 r. 31 mld zł. Sieć ustępuje pod tym względem tylko Biedronce, Lidlowi i Dino, a jest zdecydowanie większa od takich graczy jak Carrefour, Auchan czy Kaufland. Co najważniejsze, Żabka przynosi zyski na bardzo konkurencyjnym polskim rynku. W 2025 r. po zapłaceniu wszystkich podatków zarobiła ponad miliard złotych.

Żabkę jako mały sklep blisko domu ze wszystkim, co najbardziej potrzebne, wymyślił Mariusz Świtalski. Ten sam, który jest ojcem Biedronki. Losy obu sieci potoczyły się podobnie – po początkowym okresie rozwoju trafiły w ręce zagranicznego kapitału. Świtalski sprzedał Żabkę czeskiemu funduszowi inwestycyjnemu Penta Investments w 2007 r. Cztery lata później sieć kupił fundusz Mid Europa Partners, a w 2017 r. następny – CVC Capital Partners. Dwa lata temu Żabka pojawiła się na warszawskiej giełdzie i szybko trafiła do indeksu WIG20, obejmującego największe spółki. Wiele wskazuje na to, że już wkrótce Żabka z giełdy zniknie, bo Alimentation Couche-Tard ogłosił wezwanie na wszystkie jej akcje. Za całą Żabkę chce zapłacić prawie 33 mld zł.

Dlaczego jest aż tyle warta, chociaż działa tylko na polskim i od niedawna rumuńskim rynku (tam jest na razie nieco ponad 200 punktów o nazwie Froo)? – *Żabka to dobrze zarządzana sieć, która świetnie adaptuje nowe technologie, nie boi się wprowadzać kolejnych produktów i usług. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przeszła ogromną zmianę. Polska zawsze była krajem z dużą liczbą małych sklepów, ale Żabce udało się stworzyć z nich potężną, świetnie rozpoznawalną i szybko rosnącą sieć. Ostatnio pomagają w tym też popularna aplikacja i program lojalnościowy umożliwiający zbieranie punktów nazywanych żappsami* – wyjaśnia Konrad Księżopolski, dyrektor wykonawczy w dziale fuzji i przejęć Haitong Banku.

Wśród małych sklepów Żabka nie ma praktycznie poważnych rywali, bo sieć Carrefour Express szybko się kurczy (ma już poniżej 500 punktów), a niezależne dotąd sklepy albo się zamykają, albo zmieniają na te z zielonym logo.

Zielona fala

Kluczem do ogromnego sukcesu Żabki w ostatnich latach jest rozwój oferty gastronomicznej. Sieć już wcześniej była kojarzona z hot-dogami (sprzedaje ich 100 mln rocznie) czy kawą (ponad 40 mln kubków rocznie), ale w ubiegłym roku zakończyło się wyposażanie wszystkich sklepów w piece. Dzięki temu liczba przekąsek znacznie się powiększyła. – *W ofercie pojawiła się np. pizza, gotowa na miejscu w kilka minut. Punkty Żabki są w stanie zwiększać stale obroty, bo przyciągają klienta nowymi propozycjami. Żabka dziś rywalizuje nie tyle z innymi sklepami, ile z piekarniami, restauracjami typu fast food czy stacjami paliw. Do tego nieustannie testuje nowe pomysły. Teraz w części sklepów pojawiły się niewielkie lodówki z małymi porcjami ciasta jako Cukiernia Żabki. Jeśli to rozwiązanie się sprawdzi, pewnie trafi do wszystkich punktów* – opisuje Agnieszka Skonieczna, główny analityk rynku handlu detalicznego w PMR Market Experts by Hume's.

Nowy właściciel nie powinien przynieść klientom Żabki żadnej rewolucji. – *Markę i logo sieci znają prawie wszyscy w Polsce, więc trudno sobie wyobrazić jej zmianę. Dzisiaj Żabka jest najsilniejsza w centrach miast i na osiedlach, a większość klientów dociera do niej pieszo. Zapewne sieć będzie starała się lepiej wykorzystać ruch samochodowy, już teraz testuje nowe punkty w miejscach obsługi podróżnych i na stacjach paliw. Być może nowy właściciel spróbuje rozwijać Żabkę też w innych krajach naszego regionu. Kupując ją, zdobywa dostęp do jej modelu operacyjnego, który odniósł taki sukces w Polsce* – mówi Agnieszka Skonieczna.

Alimentation Couche-Tard musi też się zastanowić, jak połączyć swój nabytek z istniejącą siecią stacji paliw Circle K. – *Myślę, że obie te marki będą istnieć równolegle. Nie sądzę też, że na każdej stacji Circle K zaraz zostanie otwarta Żabka. Chociażby ze względu na duże różnice kolorów w brandingu obu marek: czerwono-pomarańczowe logo Circle K kontra zieleń Żabki. Naturalnym posunięciem byłaby modyfikacja lub uzupełnienie oferty spożywczej Circle K o produkty popularne w Żabce* – ocenia Konrad Księżopolski z Haitong Banku.

Z franczyzą u szyi

Sukces Żabki to efekt jej odważnych biznesowych decyzji – jak chociażby otwierania sklepów bardzo blisko siebie, ▶

© PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl f4a3c208bc



To dobrze zarządzana sieć, która świetnie adaptuje nowe technologie. Na fot. **sklep Żabka Nano – bez obsługi i kas, za to z kamerami.**

▶ co wydawało się absurdalne. Okazuje się jednak, że im więcej Żabek, tym więcej chętnych do korzystania z ich oferty, więc nowy punkt niekoniecznie odbiera klientów staremu. Jednak Żabce w ekspansji pomogli też politycy Prawa i Sprawiedliwości, wprowadzając w poprzedniej dekadzie niedzielne ograniczenia w pracy handlu. Związkowcy z Solidarności starali się, żeby zakazy objęły również sieci franczyzowe, takie jak Żabka. Chcieli, żeby franczyzobiorcy nie mieli prawa stawać za ladą w niedzielę i święta. Jednak nie udało im się – najwidoczniej prawica uznała, że zamknięcie w niedziele dyskontów i supermarketów Polacy przeboleją, ale braku dostępu do Żabek mogą już nie wytrzymać. Trudno się dziwić, że właściciel Żabki stara się utrzymywać dobre kontakty z politykami. Kiedyś sponsorował imprezy organizowane przez ojca Tadeusza Rydzyka i prawicowe media, a w 2024 r. był jednym z partnerów Campusu Rafała Trzaskowskiego.

O ile niekorzystnych dla siebie zmian w niedzielnym handlu Żabka nie ma się co obawiać, o tyle zagrożeniem dla niej byłaby ustawa franczyzowa. Już w poprzedniej kadencji resort sprawiedliwości przygotował nawet jej projekt, jednak rząd PiS nie był zainteresowany pracami nad nim. Także w tej kadencji takiej ustawy, wzmacniającej pozycję pojedynczych franczyzobiorców wobec wielkich sieci, nie będzie. Żadne z ministerstw nie prowadzi prac, mimo apeli części posłów i związkowców. A franczyza to podstawa Żabki. Na niemal 13 tys. sklepów przypada ponad 10,5 tys. franczyzobiorców. Oznacza to, że większość z nich prowadzi jeden punkt. Ten model wzbudza kontrowersje, bo franczyza w Żabce uchodzi za bardzo twardą.

Franczyzobiorca ma tu bardzo niewielką swobodę, a o prawie wszystkim w sklepie – formalnie prowadzonym przez niego – decyduje sieć. To ona wynajmuje lokal, a następnie podnajmuje go franczyzobiorcy. Dostaje on punkt urządzony i z towarem. – *Tak naprawdę franczyzobiorca jest raczej odpowiednikiem kierownika sklepu. Nie on ustala ceny, nie on decyduje o wystroju czy ilości i rodzaju dostarczanego towaru. Nie może nawet zamawiać dodatkowych artykułów, których nie ma w asortymencie Żabki. Jedyny element, za który sam odpowiada, to liczba i dobór pracowników. Teoretycznie każdy franczyzobiorca decyduje, czy otwierać swój sklep w niedziele i święta. W praktyce nie ma tu żadnej swobody, a kto nie chciałby w te dni pracować, ten może zaraz spodziewać się kontroli z sieci i kar za najdrobniejsze uchybienia* – mówi Agnieszka Nowak, była franczyzobiorczyni Żabki, teraz prezeska Stowarzyszenia Ajentów i Franczyzobiorców.

Z jednej strony Żabka przekonuje, że to świetny pomysł na biznes, a liczba franczyzobiorców stale rośnie. Równocześnie część z nich odchodzi. Według sieci odsetek dobrowolnych rezygnacji to w 2025 r. nieco ponad 8 proc. Klienci mogą nie zauważyć, bo po krótkiej przerwie punkt działa dalej z innym franczyzobiorcą. Cały utarg przekazywany jest codziennie do sieci. Na koniec miesiąca franczyzobiorca dostaje od Żabki przelew uzależniony od obrotów. Według danych za 2025 r. wynosił miesięcznie średnio ok. 37 tys. zł. Co nie oznacza, że aż tyle można zarobić.

Trzeba odliczyć np. wynagrodzenie pracowników (to zachęca do zatrudniania studentów oraz wykorzystywania umów cywilnoprawnych), własne składki jako przedsiębiorcy, usługi księgowości, materiały eksploatacyjne czy środki czystości. Rzeczywiste zarobki franczyzobiorców bywają bardzo różne i zależą w dużej mierze od lokalizacji. Jedni są w stanie uzyskać kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie, inni wpadają szybko w kłopoty. – *Ze strony przedstawicieli sieci nadzorujących franczyzobiorcę płynie zawsze jeden komunikat: „Jeśli masz kłopoty, to jesteś sam sobie winny. Może nie starasz się wystarczająco? Popatrz, inne punkty radzą sobie lepiej". Presja jest ogromna. Odchodzący franczyzobiorcy kończą współpracę z olbrzymimi długami wobec sieci, jak również urzędu skarbowego. Wiele osób wpada w spiralę zadłużenia, z którą ciężko sobie poradzić* – relacjonuje Agnieszka Nowak.

Kto chce połknąć tę żabę?

Trudno przypuszczać, żeby nowy właściciel zmieniał ten model, skoro mimo kontrowersji umożliwia on tak szybki rozwój sieci, a jednocześnie przerzuca sporą część odpowiedzialności za sukces na franczyzobiorcę. Kanadyjczycy jednak powinni pamiętać, że ta sieć wciąż wzbudza emocje, zwłaszcza na prawicy. W 2022 r. Jarosław Kaczyński zapowiadał, że Żabka zostanie spolonizowana, czyli kupiona przez spółkę Skarbu Państwa. Chodziło zapewne o Orlen, chociaż kierujący nim ówcześnie Daniel Obajtek oficjalnie zaprzeczał. Dzisiaj twierdzi, że rzeczywiście prowadzono negocjacje, i krytykuje Orlen, że ten nie przeznacza teraz części ogromnego zysku (dzięki drogiej ropie) na zakup Żabki. Z biznesowego punktu widzenia takie przejęcie nie miałoby sensu, ale Orlen dla polityków PiS był narzędziem realizacji własnych planów, np. medialnych (zakup Polska Press). Z pewnością zatem jeszcze w przyszłości spróbują połknąć Żabkę. Tak jak Żabka zjada kolejnych konkurentów na naszych ulicach.

CEZARY KOWANDA

© WŁODZIMIERZ WASYLUK / FORUM

eprasa.pl f4a3c208bc

Szlem i szmal

Wartość reklamowa Mai Chwalińskiej oceniona jest dziś na ćwierć miliarda złotych. To nie znaczy, że tyle zarobi. Ale umowy sponsorskie, o jakich nie śniła pół roku temu, ma na wyciągnięcie ręki.



© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

MARCIN PIĄTEK

Po niespodziewanym sukcesie w tegorocznym Roland Garros, gdzie przegrała dopiero w finale, w drugiej połowie roku Maja Chwalińska miała pod górkę. Z Wimbledonu odpadła w pierwszej rundzie z powodu kontuzji, mając wygraną na wyciągnięcie ręki. Niedawne turnieje północnoamerykańskie zaczęła od porażki w Toronto, a w Cincinnati wygrała jeden mecz. To może być skutek wymuszonej nieobecności na kortach i braku ogrania w turniejach tej rangi, ale też jej finezyjny tenis rozkwita w pełni właśnie na mączce. Na szybszych nawierzchniach, w starciu z dominującymi nad nią fizycznie zawodnikami – a takich jest zdecydowana większość – zepchnięta do obrony rzadziej może sięgać po swoje atuty.

Punktowy kapitał za paryski finał katapultował ją jednak w okolice 20. miejsca w rankingu WTA, co oznacza wejście do innego świata, w którym ma zapewnione rozstawienie w turniejach wielkoszlemowych, a w niewiele ustępujących im rangą zawodach WTA 1000 zaczyna od drugiej rundy. Oznacza to krótszą drogę w turnieju oraz wyższe premie już na starcie. W związku z tym, że nie grywała w imprezach tej rangi i nie posmakowała przypisanych im nagród finansowych i punktów, aż do przyszłorocznego Rolanda Garrosa może tylko zyskiwać. Jej bilans za dość szybko przegrany turniej w Cincinnati to plus 53 punktów do rankingu i premia w wysokości 47 tys. dol. brutto.

Tak potężne rankingowe skoki zdarzają się od święta, a 25-letnia Chwalińska przykuła w Paryżu uwagę całego tenisowego świata nie tylko ogrywaniem – aż do finału – kolejnych wyżej notowanych rywalek, ale też stylem zwycięstw, bo tak niebanalny i inteligentny tenis to dziś na kortach rzadkość. Przed kamerami i mikrofonami stawała niespeszona, świetną angielszczyzną potrafiła w turniejowym studiu przekomarzać się z legendami tenisa, Andre Agassim i Johnem McEnroe, którzy rozpływali się nad jej umiejętnościami. Zainteresowany jej wizerunkiem biznes skrzętnie ten naturalny styl bycia odnotował.

Zasady WTA mówią, że tenisistka może eksponować na stroju dwie marki (bądź ich produkty). Pozostali sponsorzy muszą zadowolić się obecnością w spotach reklamowych, na billboardach albo na społecznościowych profilach zawodniczki. Tamtejsza grupa odbiorców ma z punktu widzenia zainteresowanych współpracą firm duże znaczenie. I tu Paryż zaprocentował, bo na Instagramie liczba followersów Chwalińskiej wzrosła z 25 tys. (przed turniejem) do 600 tys. (obecnie). Kalkulatory korzyści wynikających ze zbudowania takich zasięgów i tzw. ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ społeczności podpowiadają, że można na tym świetnie zarobić. Za sponsorowany post 15 tys. zł. Za sponsorowane wideo (rolkę) 25 tys. A tzw. współpraca ambasadorska na miesiąc to już nawet 60 tys. zł.

Na razie jednak na socjalach jednej z największych sportowych sensacji tego roku próżno się doszukać reklamowych materiałów; jest kurtuazyjny wpis ze strony sponsora, który dołączył na chwilę podczas Roland Garros, i okładka kobiecego magazynu, będąca nie kryptoreklamą, a raczej zaprezentowaniem Mai Chwalińskiej w zupełnie innej odsłonie, po cichu adresowana również do biznesu. – *Maja zawsze wychodziła z założenia, że najważniejszy jest tenis, a wszystko inne, również współpraca ze sponsorami, to pokłosie tego, co pokaże na korcie* – mówi Piotr Szczypka, menedżer tenisistki i szef jej tenisowego klubu BKT Advatange Bielsko-Biała.

Wyścig sponsorów o wizerunek Mai rozpoczął się już w trakcie turnieju w Paryżu. Szczegółów rozmów Piotr Szczypka nie chce podać, gdyż wciąż trwają i niewykluczone, że te dotyczące długofalowej współpracy reklamowej znajdą finał jeszcze przed początkiem US Open (30 sierpnia). Odpowiedzi na pytanie, z kim ostatecznie współpraca została nawiązana, należy doszukiwać się na stroju tenisistki. Firmy widoczne na nim podczas turniejów w Toronto i Cincinnati to jak na razie efekt umów krótkoterminowych.

Kwoty, jakie wchodzą w grę, to oczywiście tajemnica. W przypadku Igi Świątek mówiło się, że umowy reklamowe, jakie podpisała jeszcze przed sensacyjnym triumfem w Roland Garros 2020, opiewały na ponad 1 mln zł rocznie. Pierwszy zdobyty szlem wywindował stawki kontraktów kilkunastokrotnie, a do gry weszły globalne koncerny. Świątek jednak miała wcześniej w dorobku triumf w juniorskim Wimbledonie, a renomę młodej, zdolnej, świetnie przygotowanej fizycznie i będącej w stanie namieszać w czołówce potwierdzała w silnie obsadzonych turniejach, gdzie docierała do trzeciej–czwartej rundy. A przed Roland Garros 2020, z powodu pandemii przełożonym na wrzesień, w rankingu WTA była już w szóstej dziesiątce.

Chwalińska to jednak inny przypadek. Wyskoczyła na wielką scenę kilka lat później niż Świątek i to znikąd, a przez wielu była już zaszufladkowana jako tenisistka „kieszonkowa", dla której szczytem marzeń będą zwycięstwa w trzeciorzędnych turniejach ze słabą obsadą. W sensie ludzkim i sportowym jej paryski finał jest imponujący, ale zainteresowany partnerstwem z nią biznes wciąż wydaje się patrzeć na ten wyczyn powściągliwie, jakby niepewny, czy mająca na korcie niezwykłe wyczucie, ale filigranowa, nieprzystająca do dzisiejszych czasów agresywnej i siłowej gry Chwalińska wytrzyma nieprzerwany napór z drugiej strony siatki i czy będzie w stanie utrzymać się w turniejach. A tym samym zapewnić ekspozycję marek widniejących na strojach w czasie oczekiwanym przez sponsora.

Niemniej w odniesieniu do Mai pojawiła się już w przestrzeni medialnej astronomiczna kwota 250 mln zł jej wartości reklamowej. Nie należy jednak przez to rozumieć, że wkrótce tyle trafi na jej konto po podpisaniu umów sponsorskich. To szacunkowa (i to bardzo) wartość tzw. ekwiwalentu reklamowego, czyli wydatków, jakie trzeba by ponieść, chcąc eksponować firmowe logo w wymiarze zapewnianym przez obecność w przestrzeni medialnej, głównie telewizyjnej i internetowej.

Premią za Paryż – 1,6 mln dol. brutto – już zyskała spokój i komfort przygotowań w otoczeniu powiększonego o etatowego fizjoterapeutę sztabu. – *Sytuacja Mai, jeśli chodzi o finanse, zmieniła się o 180 stopni. Zarobiła w Paryżu na dalsze finansowanie swojej kariery, ale na jak długo to wystarczy, trudno powiedzieć. Sporo mówi się o dużych pieniądzach, które można w tenisie zarobić. Rzadziej o tym, że w karierę trzeba też dużo zainwestować* – mówi Tomasz Chwaliński, ojciec Mai.

To dlatego czescy tenisiści, będąc już w czwartej albo piątej dziesiątce rankingu ATP (jak Tomáš Macháč czy Jiří Lehečka), nie odmawiali gry w polskiej Tenis Lidze, w barwach BKT Advantage. Ten poparyski spokój Mai i jej otoczenia jest nagrodą za wcześniejszą nerwówkę. Bo Piotr Szczypka podczas zagranicznych turniejów w poszukiwaniu zwycięstw i punktów modlił się o zwycięstwa zapewniające tenisistce zakwaterowanie i aprowizację na koszt organizatora, a przed jednym ze szlemów w Melbourne szukał noclegu dla Mai przez media społecznościowe.

Ale i tak Maja miała szczęście. Tenisowego projektu z nią w centrum nie byłoby zapewne, gdyby nie ojciec Piotra, Józef Szczypka, założyciel dużej firmy metalurgicznej z siedzibą w Strumieniu.

– *Spadł Mai z nieba. Mniej więcej od ukończenia przez nią 14. roku życia wydatki związane z wyjazdami na turnieje i pobytem poza domem były już poza naszym zasięgiem, choć na zarobki nie mogliśmy narzekać. Żona zrezygnowała z pracy, żeby towarzyszyć Mai, potem ja jeździłem, po przejściu na wcześniejszą emeryturę* – opowiada Tomasz Chwaliński.

Po upadku komuny coś Józefa Szczypkę pchało, by iść na swoje. Miał tartak, potem zajął się uprawą pieczarek, wreszcie otworzył zakład przetwórstwa metali. Od skali mikro doszedł do dużego przedsiębiorstwa z kilkusetosobową załogą. Piotr: – *Nie przegapił żadnej okazji, by zaszczepić w trzech synach ducha przedsiębiorczości. Na spacerach mówił: o patrzcie, tu było pole, a powstał zakład. Tak trzeba, odważnie, z wizją.*

Piotr nie palił się, by przejmować stery w rodzinnym biznesie. Logika sukcesji wymusiła jeszcze wybór szkoły średniej – liceum elektroenergetyczne – ale potem oznajmił ojcu, że rysunek techniczny i inne kierunkowe przedmioty to dla niego droga przez mękę, firmę niech obejmą pozostali synowie, a on poszuka sobie innego sposobu na życie. Poszedł na zarządzanie na Uniwersytecie Warszawskim, w wolnych chwilach grał w tenisa, został instruktorem. Ale tego było mu mało. – *Zamarzył mi się klub, w którym dzieciaki dostaną szansę gry, a przy okazji będzie można wychowywać zawodowych tenisistów* – mówi Piotr.

Gdy Józef Szczypka usłyszał od syna, że ten zamierza poświęcić się prowadzeniu tenisowego klubu, zareagował w sposób charakterystyczny dla człowieka, który na biznesie zjadł zęby. – *Poradził mi, żebym otworzył w Ustroniu wakacyjne stoisko z kiełbaskami. Lepiej na tym wyjdę finansowo i będę miał dziesięć miesięcy wolnego. Pracę doktorską pisałem z tego, jak łączyć prowadzenie klubu sportowego, będącego stowarzyszeniem, z profesjonalną spółką zajmującą się zawodowym szkoleniem tenisistów. Umożliwienie im tego na koszt spółki oznacza, że jednocześnie kurczą się możliwości komercyjnego wynajmu kortów. Czyli jako prezes pozbawiałem firmę dochodów. Taki był ze mnie biznesmen* – śmieje się Szczypka.

Na finansowanie zawodowstwa Mai potrzeba było około miliona złotych rocznie. Prywatny biznes nie był zainteresowany. – *Chyba że byli to znajomi ojca. Raz udało mi się namówić na wsparcie jednego z grających u nas rekreacyjnie biznesmenów. Kiedyś zwróciłem się do firm sponsorujących*

eprasa.pl f4a3c208bc



Na tegoroczny Roland Garros Maja Chwalińska jechała bez żadnego sponsorskiego wsparcia.

w Bielsku-Białej siatkówkę i piłkę nożną. Odmówiły, mówiąc, że już wydają na sport. Gdyby nie pomoc ojca, to, że mam udziały w jego firmie, oraz wsparcie ze strony miasta Bielsko-Biała, ten projekt nigdy by nie wypalił – przyznaje Piotr Szczypka.

W polskiej rzeczywistości biznes najchętniej lgnie do tych sportowców, którzy już się przebiją i pozwalają w rozmowach wykorzystać argument wspomnianego ekwiwalentu reklamowego, gdyż jest to konkret. Iść na sponsorską randkę w ciemno ze sportowcem rokującym jest uznawane przez biznes za topienie pieniędzy; brakuje u nas kultury roztaczania tego rodzaju mecenatu. Jeśli się udaje, to prawie zawsze jest to efekt znajomości. A na korzyść Mai na pewno nie przemawiał dotychczasowy przebieg kariery, jak również jej warunki fizyczne. – *Tysiące razy słyszałem, że jest za słaba fizycznie, za niska i że jej czas już minął* – mówi Piotr Szczypka.

Gdy Józef Szczypka zmarł w 2020 r., dla Piotra nastał trudny czas. – *Straciłem ojca oraz cichego sponsora klubu i Mai, na którego zawsze mogłem liczyć. Bałem się, że bez niego nie będę w stanie utrzymać klubu. Miasto pomagało, zresztą robi to do dziś i to w skali, która jest w Polsce wyjątkowa, bo rocznie na różne programy i organizację turniejów dostajemy ok. 1 mln zł. Ale aż do sukcesu Mai miałem poczucie, że kołdra jest wciąż za krótka* – mówi Piotr Szczypka.

Przy okazji paryskiego turnieju powrócił wątek przymusowego rozbratu Mai z kortami z powodu depresji. Było to w 2021 r. i trwało kilka miesięcy. Tomasz Chwaliński: – *Przeskok z wieku juniorskiego do rywalizacji z dorosłymi jest zawsze ciężki i Maja miała chwile zwątpienia. Na pewno nie dawano jej odczuć, że musi się spłacić, że jej tenis pochłania bardzo duże pieniądze, a wyników nie ma. Pan Józef finansował jej karierę bezinteresownie, a Piotr stawał na rzęsach, by nie musiała się przejmować tym, czy wystarczy pieniędzy. To szczęście trafić na takich ludzi.*

Na tegoroczny Roland Garros Maja Chwalińska jechała bez żadnego sponsorskiego wsparcia, mając w zanadrzu wyłącznie kontrakt z dostawcą rakiet, firmą Head (wygasa z końcem roku, trwają negocjacje w sprawie jego przedłużenia). – *Na stroju były wolne miejsca, więc uznaliśmy, że umieścimy tam po prostu reklamę naszego klubu, BKT Advantage* – mówi Piotr Szczypka. Miała też kontrakt z niewielką francuską agencją marketingową Top Five Management, pchełką, w porównaniu z rynkowymi gigantami, co nie zmienia faktu, że dla Chwalińskiej zahaczenie się w agencji było dowodem, że widzą w niej przyszłość. Już w Paryżu okazało się, że pracownicy oddelegowani do dbania o interesy Polski mają pełne ręce roboty. – *Zaczęły pojawiać się firmy zainteresowane obecnością na stroju Mai na konkretny mecz. Ludzie z agencji przedstawiali nam oferty, a gdy zapadła decyzja o podpisaniu umowy, razem z mamą Mai jeździliśmy po sklepach, żeby kupić jej nowe koszulki, a Robin z Top Five naszywał na nie logo sponsora* – wspomina Piotr Szczypka.

Stawki za naszywki na koszulce finalistki Roland Garros wzrosły kilkunastokrotnie w porównaniu z wcześniejszymi etapami turnieju. Piotr Szczypka mówi, że w rozmowach, które prowadzi, nie pojawia się ze strony biznesu oczekiwanie, że Maja musi się spłacać. – *Sama chce udowodnić, że Paryż nie był przypadkiem. Ambicji, determinacji i pracowitości nigdy jej nie brakowało, tym ujęła mojego ojca* – mówi Piotr Szczypka.

Na fali niosącej Maję Chwalińską skorzysta również klub. – *Nie wszystkie rozmowy z firmami zainteresowanymi sponsorowaniem Mai skończą się podpisaniem umowy. Moja w tym głowa, by te firmy zostały w klubie. Na szczęście rośnie świadomość, że Maja i inni tenisiści nie wzięli się znikąd, ale pomógł ich stworzyć nasz klubowy system* – uważa Piotr Szczypka.

Rośnie również świadomość Ministerstwa Sportu, które od lat traktuje tenis po macoszemu, jeśli chodzi o przydział środków z budżetowej puli „za wyniki". Mistrzowskie medale w dyscyplinach olimpijskich mają swoją wartość wyrażoną w ministerialnych tabelkach, a tenis jako sport niemający adekwatnych mistrzostw (a „tylko" szlemy) nie łapie się do tego rozdzielnika. Jeśli stypendia albo nagrody się zdarzają, to po sukcesach, gdy już ministrowi nie wypada nie docenić. Dobrze przynajmniej, że uruchomiono program dofinansowania budowy lub modernizacji obiektów tenisowych – w 2025 r. na ten cel zarezerwowano 80 mln zł. Advantage Bielsko-Biała też skorzysta. Dzięki 3-milionowemu dofinansowaniu zaplecze klubu zostanie rozbudowane, a część nowej inwestycji będzie miała przeznaczenie komercyjne, z myślą o wpływach dla klubu.

Na wkład własny zrzuciła się zresztą sama Maja, a dołączyła do niej Linda Klimovičová, 23-letnia Czeszka, która kilka lat temu zmieniła obywatelstwo na polskie i uznała, że najlepszym miejscem do rozwoju będzie właśnie Bielsko-Biała (co zresztą zważywszy na poziom tenisa w Czechach, jest dla Piotra Szczypki i jego klubu dużym wyrazem uznania). Obie zawodniczki kupiły udziały w BKT Advantage i miało to miejsce jeszcze przed sukcesem Chwalińskiej w Paryżu. To ze strony Mai mocny wyraz lojalności i wdzięczności. Nie miała też problemu, by związać się umową, na mocy której część swoich premii za wygrane oraz od zawartych umów sponsorskich oddaje na rzecz klubu. Ten zastrzyk zrobił się ostatnio całkiem pokaźny i również dzięki niemu Piotr Szczypka po 15 latach prowadzenia tenisowego biznesu ma widoki, że wreszcie wyjdzie na plus.

MARCIN PIĄTEK

© JULIEN DE ROSA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f4a3c208bc



100 dni Magyara

ALEKSANDER KACZOROWSKI

Péter Magyar obiecał, że odzyska Węgry uprowadzone przez złodziejską ekipę Viktora Orbána. Po 100 dniach rządów nie zawodzi pokładanych w nim nadziei.

Premier Węgier ma karty, o jakich polscy politycy mogą jedynie pomarzyć – ponad dwie trzecie posłów w parlamencie i poparcie zdecydowanej większości rodaków. Do miażdżącego wyborczego zwycięstwa z 12 kwietnia lider partii Tisza szedł pod hasłem zmian rewolucyjnych: usunięcia skompromitowanych nominatów Viktora Orbána z najważniejszych stanowisk w państwie,

eprasa.pl f4a3c208bc

ukarania winnych korupcji, przywrócenia rządów prawa i odzyskania zablokowanych przez Komisję Europejską środków unijnych.

Szychy w kurortach

Sceptycy wskazywali, że demontaż zastanego systemu może okazać się znacznie trudniejszy niż w Polsce sprzątanie po rządach Prawa i Sprawiedliwości. Nie docenili determinacji 45-letniego premiera i węgierskiego społeczeństwa. Dawny reżim sam się rozsypuje. Czołowi działacze Fideszu wycofują się z polityki, a związani z partią oligarchowie wyjeżdżają z kraju. Orbán, do niedawna guru trumpowskiej międzynarodówki, nie przyjął nawet mandatu posła i szuka posady za granicą. Licząc na poparcie Donalda Trumpa, wzdycha do funkcji zastępcy sekretarza generalnego ONZ lub prezesa FIFA, ale szans realnych nie ma.

Niesławny szef dyplomacji Péter Szijjártó, nazywany „uchem Ławrowa", ministra spraw zagranicznych Rosji, miał więcej szczęścia. On również zrezygnował z mandatu, wychodził jednak sobie lukratywną posadę w chińskim koncernie samochodowym BYD. Z kolei Lőrinc Mészáros, najbogatszy Węgier i swego czasu wójt wsi Felscút, gdzie dorastał z byłym premierem i – jak sam stwierdził – zawdzięcza wielomiliardową fortunę „Bogu, szczęściu i Orbánowi", spędza lato na swoim luksusowym jachcie na Lazurowym Wybrzeżu.

Inni krezusi i szychy partyjne rozglądają się za azylem w północnych Włoszech bądź w adriatyckich kurortach w Chorwacji, takich jak Opatija. W sierpniu widziano tam Orbána w towarzystwie dwojga najbliższych współpracowników. Przybocznego Antala Rogána, objętego amerykańskimi sankcjami z powodu korupcji przez ustępującego prezydenta Joe Bidena. Oraz Marii Schmidt, współtwórczyni nacjonalistycznej polityki historycznej Fideszu, wieloletniej dyrektorki Muzeum Terroru w Budapeszcie.

Do aresztu trafili pomniejsi akolici reżimu, tacy jak Balázs Bús, dawniej burmistrz stołecznej dzielnicy Óbuda i wicedyrektor Narodowego Funduszu Kultury. Prokuratura zarzuca mu defraudację 17 mld forintów (200 mln zł). To grosze w porównaniu z miliardami wyprowadzonymi na konta największych beneficjentów systemu Orbána, takimi jak on sam czy jego „słup" Lőrinc Mészáros. – *Największym zaskoczeniem jest tempo, z jakim prominenci zostawili na lodzie swoich najbardziej lojalnych popleczników* – mówi komentator polityczny Tamás Szele.

Marionetki na emeryturze

9 maja, w dniu zaprzysiężenia, premier zapowiedział radykalne ruchy. „Marionetkom Orbána", takim jak były już prezydent Tamás Sulyok, dał czas do końca miesiąca, by zrezygnowali z urzędów. Gdy tego nie zrobili, posłowie Tiszy 13 lipca przegłosowali zmiany w konstytucji. Orbán najgłośniej krzyczał o zamachu na demokrację, ale zamiast protestować z kilkoma tysiącami najwierniejszych zwolenników, którzy zebrali się na niemrawej demonstracji w centrum stolicy, poleciał do Stanów Zjednoczonych na mistrzostwa świata w piłce nożnej. Osamotniony prezydent Sulyok już 18 lipca złożył podpis pod zmianami w konstytucji i dwa dni później odszedł na emeryturę.

Najważniejsze spośród zmian w konstytucji to: zakaz pełnienia funkcji premiera dłużej niż przez dwie kadencje (co wyklucza Orbána z ubiegania się w przyszłości o to stanowisko); zakaz ubiegania się o mandat poselski przez polityków, którzy zaliczyli trzy kadencje; zakaz pełnienia funkcji sędziego Trybunału Konstytucyjnego po 70. roku życia. W ten sposób Magyar za jednym zamachem pozbył się najważniejszych hamulcowych zmian ustrojowych w państwie: Orbána, Sulyoka oraz prezesa Trybunału Konstytucyjnego Pétera Polta (i trzech z 15 sędziów trybunału nominowanych przez Fidesz). – *Niektórzy krytykują tak bezwzględny demontaż systemu. Ale nie mówimy przecież o liberalnej demokracji, lecz o autokracji Orbána* – przyznaje Gábor Horn, niezaangażowany w politykę dyrektor niepublicznej szkoły w Budapeszcie.

Dla wszystkich – poza Tiszą – ugrupowań parlamentarnych zmiany w konstytucji oznaczają armagedon. O mandaty nie będzie już mogło się ubiegać trzech z sześciu posłów skrajnie prawicowego ugrupowania Mi Hazánk (Moja Ojczyzna), niemal dwie trzecie posłów Fideszu i trzy czwarte posłów jego satelickiej partii ludowej KDNP. Wielu spośród obecnych 52 deputowanych Fideszu-KDNP, nie widząc dla siebie przyszłości w polityce, nie zamierza świecić oczami za nieobecnych liderów partii. Nawet najwierniejszy z wiernych Gergely Gulyás, do niedawna rzecznik prasowy rządu Orbána i szef frakcji parlamentarnej Fideszu, zrezygnował z funkcji, gdy tylko Tisza przegłosowała zmiany w konstytucji. – *To oczywiste, że nie miał ochoty przez najbliższe cztery lata użerać się w parlamencie z Péterem Magyarem, skądinąd dawnym przyjacielem z czasów studenckich, skoro nie będzie mógł walczyć o reelekcję* – mówi socjolog Bálint Magyar.

Płotki za kratkami

Nie wszyscy wyborcy Tiszy są zadowoleni z tempa i stylu. Wciąż nie wiadomo, kto zastąpi odwołanego prokuratora generalnego ani kto stanie na czele utworzonej w lipcu Krajowej Agencji ds. Odzyskiwania i Ochrony Mienia Państwowego. – *O stanowisko ubiega się niemal stu kandydatów* – mówi prawnik Zoltán Fleck. – *Najlepszy byłby Miklós Ligeti, szef węgierskiej Transparency International.*

Węgry przystąpiły do Prokuratury Europejskiej, co oznacza, że rozliczenie malwersacji finansowych Orbána i jego najbliższych współpracowników powinno być tylko kwestią czasu. – *Wielu się niecierpliwi, ale skuteczne ściganie przestępstw to strategiczna gra, w której trzeba zbierać dowody, co zajmuje czas i wymaga znalezienia świadków koronnych* – przypomina Boldizsár Nagy, prawnik i emerytowany wykładowca Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego CEU w Wiedniu. – *Ludzie naprawdę chcą ukarania winnych* – dodaje komentator polityczny i dokumentalista András Vágvölgyi. – *Magyar i szef jego kancelarii Bálint Ruff, którego znam od wielu lat, o tym wiedzą i zrobią wszystko, by tak się stało. Na razie za kratki trafiły tylko płotki, ale jeśli na Węgrzech zabraknie chętnych i rzutkich prokuratorów, to wyręczy ich Prokuratura Europejska.*

Moi rozmówcy podkreślają, że Magyar i jego najbliżsi współpracownicy znakomicie komunikują się ze społeczeństwem. Węgrzy też mają swój „Sejmflix". Miliony codziennie śledzą transmisje obrad parlamentu. Prym wiedzie premier. – *Uwielbia przemawiać, to urodzony showman, ale wydaje się, że osiągnął już szczyt popularności. I dla niego, i dla Tiszy byłoby lepiej, gdyby się trochę wycofał* – zauważa Vágvölgyi.

Największą dotąd wizerunkową wpadkę premier zaliczył przy wyborze nowego prezydenta. Zapowiedział w lipcu, że następca Sulyoka zostanie wyłoniony w drodze konsultacji społecznych, po czym jeszcze tego samego dnia nieoczekiwanie zgłosił ▶

© PIER MARCO TACCA/GETTY IMAGES

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ kandydaturę światowej sławy szachistki Judit Polgár. W mediach społecznościowych natychmiast zaroiło się od nieprzychylnych komentarzy o stylu zgłoszenia nominacji. Pojawiły się insynuacje, że Polgár może mieć podwójne obywatelstwo, węgierskie i izraelskie, podobnie jak jej starsza siostra Sofia.

– *Jeśli to prawda, musiałaby zrzec się obywatelstwa izraelskiego, żeby zostać zwierzchniczką węgierskich sił zbrojnych* – zauważa Vágvölgyi. Jego zdaniem Polgár wycofała swoją kandydaturę z powodu antysemickich komentarzy. Ona sama dyplomatycznie stwierdziła, że nie czuje się na siłach podołać historycznemu zadaniu pogodzenia skłóconego narodu, i dlatego nie zdecydowała się na kandydowanie na najwyższy urząd w państwie.

W tej sytuacji posłowie Tiszy zagłosowali na 73-letniego, emerytowanego sędziego Andrása Bakę, który przed epoką orbanizmu zasiadał w Europejskim Trybunale Praw Człowieka i był prezesem Sądu Najwyższego. Wybrany został na pięcioletnią kadencję, ale najprawdopodobniej głową państwa będzie jedynie do czasu uchwalenia nowej konstytucji, co ma nastąpić najpóźniej w 2028 r.

Rosjanie na aucie

Poza zmianami personalnymi najbardziej widoczne efekty pierwszych stu dni to odblokowanie 10 mld euro środków unijnych, stabilizacja kursu forinta oraz powstrzymanie dwucyfrowej inflacji (17,6 proc. w 2023 r.). Rząd poradził sobie również z kryzysem energetycznym, wywołanym suszą i wyjątkowo niskim poziomem wody w Dunaju, chłodzącej elektrownię jądrową w Paks. Premier podjął decyzję o jej czasowym wyłączeniu. Przy okazji zapowiedział rewizję umowy zawartej przez poprzedni rząd z rosyjskim koncernem Rosatom na rozbudowę zakładu.

Zerwanie z serwilistyczną postawą wobec Kremla to kolejny ważny element zwrotu w węgierskiej polityce. Symbolem powrotu do europejskiego mainstreamu są również zmiany w resorcie spraw zagranicznych, na którego czele stanęła Anita Orbán, niespokrewniona z byłym premierem specjalistka od bezpieczeństwa energetycznego. Kierownicze funkcje w rządowym Instytucie Spraw Międzynarodowych objęli politolodzy krytyczni wobec Rosji.

Chyba najbardziej widoczną odmianę przechodzą media. Rząd zlikwidował programy informacyjne telewizji publicznej do czasu znalezienia następców skompromitowanych propagandystów Fideszu. Gazety codzienne niemal przestały wychodzić drukiem, bo prawie wszystkie były związane z poprzednią ekipą, a nowa władza zakręciła kurek dofinansowania. – *Koszty druku poszły w górę i cała prasa znalazła się w głębokim kryzysie* – mówi komentator Tamás Szele. – *Nie tylko gazety reżimowe, ale dosłownie wszystkie, w tym „Népszava", jedyny dziennik, który opierał się Orbánowi. Też przeniósł się do internetu. I opuszczają go czytelnicy. Dotąd wspierali wolne media, ale teraz coraz więcej osób mówi: „Skoro wygraliście wybory, to niech rząd wam pomoże".* Rządzący zdają się mieć jednak pilniejsze sprawy na głowie. A z wyborcami komunikują się tak jak przed wyborami, czyli przez media społecznościowe.

Inna cecha obecnej węgierskiej polityki to brak ideologicznej agendy nowej władzy. To przemyślana strategia. Rząd deklaruje cele praktyczne: naprawę państwa oraz wydobycie kraju z zapaści gospodarczej i wieloletnich zaniedbań, których symbolem jest choćby katastrofalna sytuacja na kolei, w ochronie zdrowia czy szkolnictwie. I z tego będzie rozliczany przez wyborców.

Według badań przeprowadzonych w marcu, a więc tuż przed wyborami, zaledwie 11 proc. zwolenników Tiszy miało poglądy konserwatywne, czyli takie, jak ma lider partii. Zdecydowaną większość stanowili wyborcy o zapatrywaniach liberalnych i centrolewicowych. Od tamtej pory nie powtórzono badań, niemniej z prostego rachunku wynika, że Magyar już po wyborach przeciągnął na swoją stronę wielu rozczarowanych wyborców Orbána. – *Wywodzi się z konserwatywnego środowiska Fideszu, ale od początku wiedział, że lewicowo-liberalny Budapeszt i tak stanie po jego stronie* – przypomina Vágvölgyi. Mając zagwarantowaną stolicę, mógł skoncentrować się na zawojowaniu prowincji.

Orbán na ławie?

Z kampanią ruszył wcześnie, w dwa lata odbył 600 spotkań. Był wszędzie, tylko nie w stolicy, gdzie zorganizowano początek i finał kampanii. András Vágvölgyi uważa, że Magyar w dystansowaniu się od stolicy idzie za daleko: – *I zdecydowanie zbyt często używa deprecjonującego terminu „óellenzék", czyli „stara opozycja", odnoszącego się do polityków dawnych ugrupowań liberalnych i lewicowych.* Stawiając się poza głównym nurtem opozycji, osłabionej wieloletnią nieskutecznością i skandalami, wzywał do walki z korupcją, do odzyskania zawłaszczonych przez politycznych mafiosów narodowych i religijnych symboli. Do uwolnienia Węgier uprowadzonych przez szajkę pseudopatriotów.

Tisza, na której czele stanął wiosną 2024 r., już kilka miesięcy później zdobyła niemal 30 proc. głosów w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Posłowie tej partii w Strasburgu dołączyli do Europejskiej Partii Ludowej, zasiedli obok posłów CDU/CSU i Koalicji Obywatelskiej. Magyar szybko znalazł wspólny język z przewodniczącą Komisji Europejskiej, chadeczką Ursulą von der Leyen.

Teraz, kilkanaście tygodni po wiosennych wyborach, notowania Fideszu spadły do 20 proc., a Tisza może liczyć na 60 proc. wyborców. – *To zmiana kolosalna. Przecież ledwie dwa lata temu więcej niż połowa Węgrów zdawała się bezgranicznie ufać Orbánowi* – mówi Vágvölgyi. – *To koniec pewnej epoki* – przyznaje prawnik Boldizsár Nagy. – *Zobaczy pan, że Orbán wkrótce zapadnie się pod ziemię i jeśli wróci, to tylko po to, by zasiąść na ławie oskarżonych.*

Największym wyzwaniem, przed którym staje premier, jest opracowanie przyszłej konstytucji z udziałem ekspertów, przedstawicieli organizacji pozarządowych i społeczeństwa. – *Nie brakuje chętnych do współpracy, ale jak na razie nic się w tej sprawie nie dzieje* – mówi z goryczą Zoltán Fleck. – *Obawiam się, że ludzie Magyara nie wiedzą, jak się do tego zabrać. W każdym razie o kształcie przyszłej konstytucji nie powinni decydować jedynie posłowie rządzącej partii.*

Wiadomo tyle, że Węgrzy prawdopodobnie będą wybierać nowego prezydenta w wyborach powszechnych (dotąd zajmowali się tym deputowani Zgromadzenia Narodowego) i że uprawnienia prezydenckie – jak w Polsce czy Czechach – będą większe niż dotychczas. Magyar zapowiedział też takie zmiany w ordynacji, by w przyszłości żadna partia nie zdobyła większości konstytucyjnej po uzyskaniu niespełna połowy głosów. Być może Węgrzy wzorem większości państw europejskich zdecydują się też na utworzenie izby wyższej parlamentu. Gdyby takie bezpieczniki istniały tu przed 16 laty, Orbán nigdy nie stworzyłby swego mafijnego systemu. A Magyar nie zostałby jego następcą z tak szerokim polem manewru.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

eprasa.pl f4a3c208bc

POD ZNAKIEM MENORY



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl f4a3c208bc

Pamiątki po Matce

Kanonizowana przed dekadą Matka Teresa z Kalkuty nie jest w indyjskim megamieście ani czczona, ani dobrze pamiętana. Skojarzenie z ubóstwem i trądem, które święta prezentowała światu, stało się dla Indii trwałym i niesprawiedliwym ciężarem.



Sklep z pamiątkami w Kolkacie

PAULINA WILK

Romantyczny obraz dokonań Matki Teresy zawsze lepiej przemawiał do opinii publicznej na Zachodzie niż do mieszkańców Indii. Z perspektywy lat widać, jak znikomy miała wpływ na walkę z biedą, czym wpisała się w paradoks Kolkaty, przez najeźdźców z Europy nazwanej Kalkutą. Miasto założone i rozwinięte w XVIII i XIX w. przez brytyjskich kupców jako futurystyczna metropolia na tropikalnych mokradłach szybko zostało uwięzione w pułapce biedy sprowokowanej kolonialną chciwością. Pierwsza stolica Indii Brytyjskich wyrosła błyskawicznie, ale równie gwałtownie zatrzymał się jej rozwój.

Kiedy w 1910 r. w Skopje, położonym wtedy w Imperium Osmańskim, a dziś w Macedonii, w albańskiej rodzinie przyszła na świat Agnes Gonxha Bojaxhiu, Kolkata przeżywała ostatnie chwile rozkwitu. Rok później stolicę Indii przeniesiono do centralnie położonego Delhi. Brytyjczycy kontrolowali cały subkontynent, a Bengal – jego wschodnia prowincja, która w XVII w. zelektryzowała Europejczyków bogactwami przypraw, bawełny, indygo i kamieni szlachetnych – była już tylko cząstką większego łupu. Z urzędnikami z Kolkaty odpłynęły majątki, inwestycje i polityczna istotność.

Następnie osiem dekad odzyskanej w 1947 r. niepodległości upłynęło w mieście pod rządami marksistów i populistów. Hamujących rozwój, odpędzających inwestorów, podtrzymujących tradycyjne nierówności i podział przywilejów. Stąd Kolkata nadal kojarzy się z zacofaniem i problemami nie do uleczenia. A dla Zachodu pozostaje przede wszystkim rewirem Matki Teresy. Gdy umierała w 1997 r., utworzone przez nią Zgromadzenie Sióstr Misjonarek Miłości liczyło 3842 zakonnice i miało 594 placówki w 120 krajach. Na kontach zgromadzono ok. 100 mln dol. z darowizn.

Przyjaciółka ubóstwa

Kanonizował ją 4 września 2016 r. papież Franciszek: „Pochylała się nad konającymi, pozostawionymi, by umrzeć na poboczu drogi". „Mówiła możnym, by uznali swoje winy w obliczu przestępstw ubóstwa, które sami stworzyli". Podsumowując jej dzieło, Franciszek zauważał, że trudno będzie nazywać ją świętą, „spontanicznie będziemy mówić dalej: Matka Teresa". Jak na watykańskie standardy proces był krótki,

© ZVONIMIR ATLETIC/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f4a3c208bc

przyspieszony został jeszcze decyzją Jana Pawła II.

W charakterze adwokatów diabła przesłuchano m.in. krytyków metod zarządzania tworzonymi przez Teresę przytułkami dla chorych, bezdomnych i osieroconych, gdzie nie leczono i nie dochowywano standardów higieny. Zeznawali m.in. bengalski aktywista Aroup Chatterjee, autor krytycznej książki „Mother Terese – The Untold Story" (ang. Matka Teresa – nieopowiedziana historia), oraz brytyjski dziennikarz Chistopher Hitchens, który uważał, że była religijną fundamentalistką i przyjaciółką ubóstwa, nie ubogich. Ich twierdzeń oraz uwag, że pomagała najuboższym z ubogich godnie umierać, a nie lepiej żyć, nie uznano za przeszkodę w kanonizacji.

Dorastająca w religijnej rodzinie Agnes Gonxha Bojaxhiu jako osiemnastolatka wyjechała do zakonu loretanek w Irlandii, a stamtąd szybko – już w 1929 r. – trafiła do brytyjskiej Kolkaty, gdzie europejskie zakonnice właściwie zmonopolizowały edukację. Przez dwie dekady była nauczycielką, została dyrektorką jednej ze szkół dla dziewcząt. Do dziś placówki działające w Kolkacie pod opieką sióstr Loreto są prestiżową marką, kształcą dzieci w aurze elitarności. Nauka, teoretycznie dla wszystkich, kosztuje ok. 4 tys. zł rocznie, co jest zaporową sumą dla zdecydowanej większości mieszkańców.

Lata 30. i 40. w Kolkacie były czasem narodowego przebudzenia. W mieście, które Brytyjczycy podzielili na białe (oczyszczone z lokalnej społeczności i wystawne niczym tropikalny Londyn), szare (gdzie kolonizatorzy robili interesy z miejscowymi) oraz czarne (najuboższa, północna część, do której zepchnięto Indusów) rozkwitały wybitne talenty, powstawały drukowane poematy i gazety po bengalsku, rodził się ruch niepodległościowy. Jednocześnie industrializacja przyciągała tysiące ubogich. Bengal, kojarzony z produkcją ryżu i warzyw, był spichlerzem kraju. Ale właśnie tam najłatwiej było o niedobory żywności i tragedię głodu. Jak ta z 1943 r., wywołana m.in. wojennym racjonowaniem i niszczycielskim cyklonem, która pochłonęła 3 mln ofiar. Jej obrazy, w tym wychudzone postaci żebrzące na ulicach, miały wpłynąć na dalsze decyzje Teresy.

Habit jak sari

„Powołanie w powołaniu" miała usłyszeć podczas podróży koleją do Dardżyling, słynącej z herbaty i łagodnego klimatu himalajskiej miejscowości wypoczynkowej, do której elity uciekały od upałów i monsunów. Po powrocie do Kolkaty poprosiła o zgodę na opuszczenie swojego zgromadzenia i założenie nowego, mającego nieść nadzieję najbiedniejszym. Udało się w 1950 r., po wielu staraniach, kilkumiesięcznym kursie medycznym i za zgodą Watykanu. Strojem Misjonarek Miłości stał się habit noszony jak sari. Biel oznacza czystość. Trzy niebieskie pasy na lamówce symbolizują śluby ubóstwa, posłuszeństwa i służby najuboższym.

Początki samodzielnej pracy przypadły na nową erę, gdy Indie były już niepodległe, czyli zostawione same z konsekwencjami kolonizacji, zwłaszcza brytyjskiej polityki polaryzowania wyznawców hinduizmu i islamu. Także głód i bieda nie są endemiczne, powstały na skutek działań Brytyjczyków. Na problemy ekonomiczne nałożyły się konflikty wyznaniowe i narodowościowe. Kolkata puchła od zdesperowanych, skrajnie biednych uchodźców uciekających przed skutkującą rzeziami nienawiścią między trzema częściami subkontynentu: Indiami oraz późniejszymi Pakistanem i Bangladeszem.

Zbudowane 200 lat wcześniej, niemodernizowane miasto nie miało przestrzeni ani zasobów, by wchłonąć przybyszów. Zajęła się nimi Teresa. Jej decyzja, by wyjść na ulice i do slumsów, stanowiła gest niezwykły i wykonany na przekór wielkiej obojętności. Młoda republika skupiała się na ideałach socjalizmu i budowie świeckich instytucji. Premier Jawaharlal Nehru stawiał tamy, kopalnie i fabryki, nie świątynie. Tymczasem Matka Teresa przekształciła nieużywaną hinduską świątynię w dzielnicy Kalighat na południu Kolkaty w miejsce opieki paliatywnej dla osób bezdomnych. Ośrodek działa tam do dziś, tuż obok słynnej świątyni bogini Kali, dla której składa się ofiary z młodych kóz. I blisko rzeki Hooghly, dopływu Gangesu, który uczynił z Kolkaty tak ważny ośrodek światowego handlu. Tam wciąż schodzą się mieszkańcy, także ci niemający luksusu wody w kranie, by się wykąpać, oprać i pomodlić.

Ośrodek pracuje właściwie bez zmian. Jest niewielki i cichy, przebywają w nim, zwykle tymczasowo, chorzy i ubodzy, którymi zajmują się wolontariusze. Kilka lat temu pracowali bez rękawiczek i masek, raczej towarzysząc, niż lecząc. Misjonarki mówiły mi wtedy, że lekarz przychodzi raz na tydzień, a karetki wyjeżdżają po potrzebujących dwa razy w tygodniu. Raportowano, że w ośrodkach Misjonarek Miłości korzystano z przepłukiwanych wodą strzykawek, a według świadków karetkami częściej jeżdżą zakonnice niż chorzy, bo nie ma w nich nawet noszy. W 2013 r. kanadyjscy analitycy z Uniwersytetu w Montrealu wykazali, że darowizny płynące ze świata w niewielkim ułamku trafiały do potrzebujących. Aż 95 proc. miało służyć samemu zakonowi lub trafiać do Watykanu.

Skala pomagania

Teresa nie budowała klinik ani szpitali, bardziej przytułki, gdzie pomoc była doraźna i nie miała na celu ani strukturalnych zmian społecznych, ani leczenia dolegliwości. Z tego właśnie – celu spójnego z ideałami religijnymi, traktowania chorych jak ucieleśnienia cierpiącego Chrystusa, a nie opartego na medycynie niesieniu pomocy – krytycy czynili Matce Teresie zarzut najpoważniejszy. Powtarzała, by nie domagać się od niej działań niezwiązanych z misją zgromadzenia, któremu chodzi o niesienie godności zapomnianym, a nie o ratowanie ich od losu. Za największe zło uważała nie ubóstwo, ale aborcję. Mówiła o tym, odbierając Pokojową Nagrodę Nobla w 1979 r.

Trudno oszacować faktyczną skalę działań zakonnicy. Miała skłonność do liczbowej przesady i wspólnie z przedstawicielkami zgromadzenia opanowała sztukę powtarzania informacji do czasu, aż zostaną uznane za prawdę. Gdy w wywiadach mówiła o dziesiątkach tysięcy osób co dzień „zabieranych z ulic" Kolkaty, lokalni badacze szacowali, że jej ośrodki i kuchnie były w stanie pomóc najwyżej kilkuset osobom. A wielu potrzebującym odmawiały. Nie działały wedle procedur, nie rozwijały się, nie unowocześniały. Cokolwiek Misjonarki Miłości robiły (a były rekrutowane na ogół z południa Indii, więc nie mówiły po bengalsku i nie mogły być w bliskim kontakcie z ubogimi Bengalczykami, rzadko też pracowały poza murami ośrodków), w dziesięciomilionowym mieście była to kropla w morzu potrzeb. I jedna z wielu, wcale nienajbardziej wydajna, instytucja pomocowa. Skalą i skutecznością ustępowała na przykład centrom Ramakrishna Mission, powołanym w XIX w. przez pochodzącego z Kolkaty hinduskiego duchownego Swamiego Vivekanandę, który podbił Zachód ideami ponadwyznaniowej solidarności. ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ Organizacja działa w wielu krajach, prowadzi ośrodki edukacji, szpitale, kliniki i mobilne oddziały medyczne. Pomoc faktycznie liczoną w setkach tysięcy osób każdego dnia niosą też w Indiach sikhijskie gurudwary, świątynie z zapleczem kuchennym, które karmią i zapewniają nocleg każdemu, bez względu na wyznanie. O ile otwartość Matki Teresy na los najbardziej niechcianych robiła wrażenie na Zachodzie, wzmacniana hagiograficznymi publikacjami, o tyle w Indiach nie cieszyła się szczególnym uznaniem. To międzynarodowa sława zaświeciła światłem odbitym, a po Noblu popłynęły kolejne zaszczyty, pochwały i honorowe tytuły uniwersyteckie.

Problemy w kadrze

Dziedzictwo Teresy kojarzy się w Kolkacie z uporczywością problemów, którym nikt nie chce lub nie umie sprostać. Pozostaje najmniej rozwiniętym z wielkich miast Indii. Jest dekady za Mumbajem, Ćennajem czy Bengaluru, biznesowymi silnikami kraju, kształcącymi nowe elity technologicznego świata. Jakby XXI w. się w niej jeszcze nie zaczął. Kolkata trwa zamrożona w historycznej zabudowie, z walącymi się budynkami, nieremontowaną kanalizacją czy instalacjami elektrycznymi pamiętającymi Brytyjczyków. Remontowanie budynków uniemożliwiają m.in. wprowadzone w latach 50. XX w. przepisy dotyczące własności.

Nadanie Kolkacie bardziej nowoczesnego, żywego charakteru utrudnia choćby gigantyczny Victoria Memorial. Wystawiony z białego radżasthańskiego marmuru na cześć królowej Wiktorii zalega w centrum miasta niczym głaz. Premier Narendra Modi kazał opróżnić tamtejszą galerię z opowieści o mieście powołanym do życia przez Europejczyków, wieloetnicznego i wielowyznaniowego. Nowe życie i pieniądze pojawiły się za to na kolejnych osuszanych terenach nazwanych dosłownie New Town (ang. Nowe Miasto) – na wschód od Kolkaty właściwej wyrosły apartamentowce, biurowce i wielopasmowe ulice, a także lśniące stacje metra. Życie w nich jest czystsze, zamożniejsze, wygodniejsze, przypomina uregulowaną codzienność globalnej klasy średniej. Biedniejsi docierają tu tylko jako dostawcy usług: niańki, służące, kierowcy.

Dawno nieaktualne są też skojarzenia ze skrajnym ubóstwem i trądem. Wielu Bengalczyków ma za złe Teresie ten wizerunkowy cień. Choć Kolkata była miastem pałacowych willi i ma wielkie dziedzictwo modernistycznej architektury, choć pozostaje ośrodkiem znakomitych uczelni humanistycznych, choć to tu zainstalowano pierwszą w Azji windę i telefon, to trudno ten stereotyp zrzucić. Europejscy turyści zaglądają tu rzadko, zresztą całe Indie – choć bogacą się i unowocześniają w zawrotnym tempie – w skojarzeniach wielu osób pozostają globalnym centrum brudu, czym nie spełniają wymogów komfortowej turystyki.

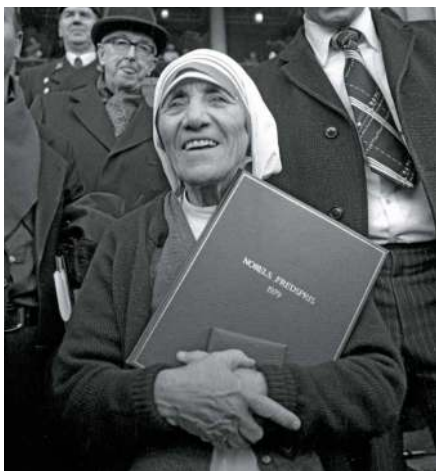

Matka Teresa podczas odbierania Pokojowej Nagrody Nobla, Oslo 1979 r.

Połamane chodniki nie nadają się dla walizek na kółkach. Zabrudzone rynsztoki, sklecone z byle czego domki, korki i smog, podtapiane monsunowymi deszczami uliczki, żebracy – wszystko to przegrywa z Japonią czy Tajlandią, gdzie problemy nie wchodzą w kadr.

Znaki dominacji

Wkrótce jednak w Kolkacie wiele może się zmienić. Na początku tego roku triumf polityczny w Bengalu Zachodnim odniosła Indyjska Partia Ludowa pod przewodnictwem premiera Modiego. Stan i miasto mają nowe władze. Już zmienia się prawo, za którym mają przyjść przemysłowe inwestycje. Rozpoczął się remont Writer's Building – ikonicznej siedziby urzędników Kompanii Wschodnioindyjskiej, pierwszej globalnej korporacji torującej brytyjskie rządy. Teraz będzie tam rząd lokalny. Premier zapowiedział przywrócenie będących wizytówką miasta tramwajów, przeobrażenie uniwersyteckiej College Street w aleję przypominającą centrum Londynu. Kolkata ma szansę – i nieszczęście – stać się flagowym projektem wprzęgniętym w politykę „Indii dla hindusów".

Dla muzułmanów z klasy średniej to moment zwrotny. Wielu już jest w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, kolejni dotknięci dyskryminacją i zastraszeni pakują walizki. Do łask może wrócić historia Bengalczyków. Ośrodkom Misjonarek Miłości nie grozi nic poza szybką marginalizacją. Strumień wolontariuszy stopniał, wygasła posthipisowska moda na bratanie się z ubogimi. Teraz pomaga się zdalnie i skutecznie, robiąc przelew wiarygodnym organizacjom humanitarnym, które regularnie raportują swe działania. Premier Modi ma jasną agendę, w której to świątynie hinduistyczne mają być ośrodkami cywilizacyjnej przemiany. Katolickie pozostałości po czasie słusznie minionej dominacji będą tylko zabytkiem. A pamięć o Matce Teresie stanie się tak samo zbyteczna jak ta o królowej Wiktorii.

Dziś liczy się nowa świątynia boga Ramy w Ajodhii, położona na przeciwległym krańcu Indii. To wielki ośrodek kultu (aktualnie także centrum afery związanej ze sprzeniewierzeniem gigantycznych sum przez pracujących tam duchownych). Kult, jakim otoczono Matkę Teresę – w niewielkim stopniu zaczepiony o jej dokonania – znalazł nad Gangesem płodną ziemię. Działało tu wielu podobnych jej adwokatów wykluczonych, przywódców i przywódczyń duchowych przyciągających współczucie i sowite darowizny. Ich działaniom brakowało jednego – transparentności.

Tymczasem indyjscy ubodzy wydostają się z desperacji własnymi siłami, w niewybaczających warunkach wolnego rynku, jedynie przy symbolicznym wsparciu państwa i faktycznej obojętności elit, tych starych i tych nowych. Teresa, która nie widziała potrzeby hospitalizowania chorych, sama leczyła się w szpitalach. Miała wszczepiony rozrusznik serca. Zmarła po kolejnym zawale w 1997 r., akurat gdy niewydolność jej ośrodków stawała się coraz bardziej widoczna. Później Indie pognały ku światowym standardom, także w sferze dobroczynności. Dziś hinduskie ośrodki duchowe, pomocowe i edukacyjne to wielkie i nowoczesne machiny finansowe, połączone z biznesem i władzą. Natomiast w katolickich kościołach Kolkaty drewniane ławy świecą pustkami, a ze ścian odpadają tynki.

PAULINA WILK

© LAURENT MAOUS/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

eprasa.pl f4a3c208bc

Sukcesja de luxe



© CHESNOT/GETTY IMAGES

Bernard Arnault, twórca „imperium luksusu” spod znaku LVMH, czyli Moët Hennessy Louis Vuitton, to jeden z najbogatszych ludzi świata, zarazem najbogatszy Europejczyk i Francuz. 77-latek jest ojcem piątki dzieci, które już walczą o to, kto przejmie po nim schedę.

Bernard Arnault z drugą żoną, pianistką Hélène Mercier, i czworgiem z pięciorga dzieci. Wszystkie pracują dla LVMH. Od lewej: **Frédéric (Loro Piana), Delphine (Dior), Antoine (Berluti).** Z prawej: **Alexandre (Tiffany). Za nimi paryski dom towarowy Samaritaine, własność koncernu.**

KINGA STRZELECKA-PILCH

Urodził się w 1949 r. w Roubaix, nieopodal granicy francusko-belgijskiej. Dziś to jedno z najbiedniejszych miast Francji. Matka Bernarda, Marie-Josèphe Savinel, była córką właściciela firmy budowlanej Ferret-Savinel. Ojciec, Jean Arnault, pracował tam jako inżynier, a później – zgodnie z francuskim zwyczajem – objął stery firmy teścia. Rodzina idealna: pełna, wielodzietna, katolicka, bogata, ale pracowita. Czyli w pełnym znaczeniu tego słowa: francuska burżuazja.

Roubaix, położone zaledwie 10 km od Lille, znane jest fanom kolarstwa – to tu metę ma słynny wyścig Paryż–Roubaix. Jednym z miast partnerskich Roubaix jest Sosnowiec; do dziś działa tam też parafia Matki Bożej Częstochowskiej – Église Notre Dame de Częstochowa, bowiem w pierwszej połowie XX w. znaczną część mieszkańców stanowili Polacy pracujący w licznych fabrykach tekstylnych i kopalniach zagłębia Nord-Pas-de-Calais (tu też pracował urodzony w Sosnowcu Edward Gierek). Miasto przez długi czas nosiło tytuł „francuskiego Manchesteru”, „miasta tysiąca kominów”. Produkowało się tu luksusową wełnę, jedną z najszlachetniejszych, zamawianą przez francuskie ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ domy mody – do czasu, gdy zagraniczna produkcja okazała się tańsza. I tu tkwi problem regionu: upadek przemysłu włókienniczego w latach 70. XX w. i kryzys naftowy z 1973 r., zatrzymujący maszyny, zmusiły do emigracji setki rodzin, pozostałe pozbawiły dochodów, stawiając rzesze ludzi w obliczu prawdziwego ubóstwa.

W czasie gdy upada jego rodzinne miasto, Arnault uzyskuje tytuł inżyniera, kończąc studia na École polytechnique w Palaiseau pod Paryżem – jednej z najbardziej prestiżowych szkół wyższych we Francji (jej absolwentem był m.in. Valéry Giscard d'Estaing, prezydent Francji w latach 1974–81). Już w wieku 27 lat Bernard przejmuje firmę od ojca i rodzinny biznes budowlany przekształca w deweloperski. Jako gorący przeciwnik propagowanych przez lewicę wysokich podatków „od fortun" po wyborze socjalisty François Mitterranda na prezydenta w 1981 r. osiedla się w Stanach Zjednoczonych. Wkrótce pojawia się na tamtejszym rynku deweloperskim: buduje ogromny apartamentowiec The Princess w Palm Beach na Florydzie.

To wówczas zaczęła się przyjaźń Bernarda Arnaulta z Donaldem Trumpem, która trwa do dziś – w 2019 r. Trump osobiście uczestniczył w otwarciu fabryki Louis Vuitton w Teksasie; z kolei miliarder z Roubaix jako jedyny przedstawiciel Francji zasiadał na trybunie honorowej podczas inauguracji drugiej prezydentury Trumpa w 2025 r. Chwilę później stwierdził, że Francja powinna brać przykład z amerykańskiego optymizmu i systemu podatkowego. A w lipcu tego roku, w trakcie trwającego i szeroko krytykowanego konfliktu USA z Iranem wokół cieśniny Ormuz, Arnault bronił Trumpa i chwalił jego inteligencję.

Terminator w kaszmirze

W 1984 r., po trzech latach pobytu w USA, Arnault wrócił do ojczyzny, a jego przyjaciel podrzucił mu pomysł wykupienia za bezcen upadającej francuskiej marki Boussac, reprezentującej znaną mu dobrze z rodzinnych stron branżę tekstylną. To Marcel Boussac szył słynne błękitne mundury na fronty pierwszej wojny światowej. Bernard Arnault w brawurowy sposób, pod pozorem pomocy francuskiemu lewicowemu rządowi, ograł premiera. Boussac został przejęty za symbolicznego 1 franka w imię ochrony francuskiego dziedzictwa, co więcej – z subwencją państwową.



Miliarderów Trumpa i Arnaulta od lat łączą serdeczne relacje

Arnault nie miał jednak zamiaru reanimować firmy; skupił się na czymś innym. To bowiem Marcel Boussac pomógł Christianowi Diorowi założyć jego autorski dom mody – i ten wciąż był własnością firmy Boussac. Przejmując upadające przedsiębiorstwo, Arnault wszedł więc w posiadanie luksusowego domu mody Christian Dior. I mimo pobrania subwencji złamał propracownicze ustalenia, wyrzucając niemal połowę załogi. Zyskał wtedy przydomek „terminator". Dopiero po interwencji Komisji Europejskiej oddał połowę środków wsparcia państwowego, jednak suma ta była już dla niego nieodczuwalna. Marki Boussac i Dior, z rozgłosem wprowadzone na giełdę, osiągnęły rekordowe notowania, przekraczające 8 mld franków. W 1987 r. Arnault stał się dzięki temu jednym z najbogatszych Francuzów.

Na tej pomyślnej fali Bernard Arnault, wytrawny psycholog rozumiejący znaczenie miękkich kompetencji, wykorzystał konflikt zwaśnionych wspólników i przejął pakiet akcji LVMH. Rok później stał się już większościowym udziałowcem, a za kolejne dwa lata – głową (i co ważniejsze: mózgiem) całego koncernu. Prasa okrzyknęła wtedy „terminatora" „wilkiem w kaszmirze", bo mimo elegancji i pozorów delikatności bez skrupułów zrzucił ze stołków założycieli koncernu. Miał zaledwie 39 lat.

Szefuje LVMH już prawie cztery dekady. To największy dziś producent i dystrybutor dóbr luksusowych na świecie: liczy ponad 70 marek (wśród nich są: Sephora, Givenchy, Fendi, Celine, Loewe, Kenzo, Bulgari, Zenith, Veuve Clicquot, Guerlain) i zatrudnia ponad 200 tys. osób.

W tym miejscu warto podkreślić, że biznes à la française opiera się na zasadach różniących się znacznie od amerykańskiego czy polskiego podejścia do przedsiębiorczości. LVMH ma bagaż historyczny, kulturowy i wielopokoleniowy. Rodzina Arnault, przejmując firmę, stała się depozytariuszem i strażnikiem francuskości – dumy i historii Francji, wielowiekowej tradycji, wyjątkowego *savoir-faire*. To jest podstawowy składnik wizerunku i marketingowego przekazu firmy Moët Hennessy Louis Vuitton.

Detronizacja

Szampan Moët wytwarzany jest od 1743 r. Ojcem założycielem marki był Claude Moët, a jego słynnym koneserem – nie kto inny jak Napoleon Bonaparte, który powtarzał: „W zwycięstwie zasługujesz na szampana, w porażce go potrzebujesz". Hennessy to koniak produkowany od 1765 r., co prawda przez Irlandczyków, ale we francuskiej miejscowości Cognac (która ucierpiała w te wakacje podczas fali pożarów). Louis Vuitton założył zaś w 1854 r. w Paryżu firmę produkującą torby podróżne. Wyróżniały się one mocnymi suwakami, kłódkami i eleganckim wykończeniem w kolorach ziemi. Zagorzałą fanką marki była Coco Chanel, która nie rozstawała się z zaprojektowanym przez siebie kuferkiem Alma. Nawet Ernest Hemingway miał swój własny podróżny kufer na książki i maszynę do pisania z ikonicznym monogramem LV. „Biznes luksusowy musi być oparty na dziedzictwie. Czuję się ambasadorem tradycji i kultury Francji" – mówi Arnault. I tak też się zachowuje. Do historii przeszedł jego hojny gest: po pożarze Katedry Notre Dame wyłożył 200 mln euro na jej odbudowę.

Wiek Arnaulta wskazuje, że zmiana pokoleniowa na szczycie tego imperium

© DREW ANGERER/GETTY IMAGES

eprasa.pl f4a3c208bc

dokona się zapewne w ciągu najbliższej dekady. Pretendentów do przejęcia sterów po Bernardzie jest wielu. Od ponad 20 lat Arnault pozostaje najbogatszym człowiekiem Francji – zdetronizował znaną rodzinę Bettencourt (właścicieli L'Oréal), bohaterów skandalu politycznego z 2007 r. związanego z nielegalnym finansowaniem kampanii Nicolasa Sarkozy'ego. W 2022 r. – jako posiadacz 149 mld dol. – Arnault stał się nawet, na pewien czas, najbogatszym człowiekiem świata, wyprzedzając Elona Muska. W tym roku Forbes w swoim słynnym rankingu umieścił go na siódmym miejscu – z wynikiem 160 mld dol.

Dzieci w sieci

Arnault ma piątkę dzieci. Z pierwszego małżeństwa z Anne Dewavrin – Delphine Arnault, urodzoną w 1975 r., i dwa lata młodszego Antoine'a Arnaulta (podobnie jak ojciec przyszli na świat w Roubaix). Para rozwiodła się w 1990 r. Anne Dewavrin została później żoną księgowego i zarządcy majątku Liliane Bettencourt, Patrice'a de Maistre'a, który w 2015 r. został skazany przez francuski sąd – popełnił liczne przestępstwa fiskalne oraz wyłudził pieniądze od cierpiącej na demencję szefowej.

W 1991 r. drugą żoną Bernarda została pianistka Hélène Mercier. Ma z nią trzech synów. Alexandre urodził się w 1992 r., Frédéric – w 1995 r., Jean w – 1998 r.

Cała piątka dzieci Arnaulta pracuje w jego firmach, co we Francji jest nie tyle wstydliwym dowodem nepotyzmu, ile oczywistym przeznaczeniem, oznaką odpowiedzialności za rodzinę i ojcowiznę. Najstarsza córka, Delphine, jest dyrektorką generalną Diora, cenioną za skuteczność i dyskrecję. Antoine – zawodowy gracz w pokera – kieruje męską marką Berluti. Alexandre'a ojciec posadził za sterami Tiffany'ego; Frédéric prowadzi słynącą z mokasynów i wyrobów z wełny włoską markę Loro Piana; zaś Jean pracuje w Louis Vuitton.

Pragmatyczny Arnault niejednokrotnie zarzekał się: „Nie mam roli politycznej. Jestem biznesmenem". A jednak jego poglądy są czytelne. Od początku swojej kariery nie tyle był prawicowy, ile silnie liberalny i antylewicowy – czego katalizatorem był dawny sprzeciw wobec danin solidarnościowych. Całe życie bronił burżuazyjnych reguł życia społecznego, kapitalizmu, własności prywatnej – jako *self-made man*, człowiek, który jedną z największych fortun świata zbudował, jak podkreśla, własnymi rękami.

W wyborach prezydenckich w 2017 i 2022 r. popierał Emmanuela Macrona (co ciekawe, nauczycielką francuskiego jego najmłodszych synów była sama Brigitte Macron).

Tylko szczupli i dobrze ubrani

Arnault przejawia nie tylko modowo-tekstylne ambicje. W posiadaniu koncernu są również prestiżowe media: w 2007 r. nabył dziennik ekonomiczny „Les Échos", w 2015 r. – popularny dziennik „Le Parisien", w 2021 r. – liberalny tygodnik „Challenges", a w 2024 r. – kolorowy magazyn o lekkim, plotkarskim wymiarze „Paris Match". Ten ostatni kupił od Vincenta Bolloré, właściciela Canal+ i kiosków Relay, fana prawicowego Zjednoczenia Narodowego i Jordana Bardelli.

W tym roku głośno było o okładkowej ustawce Bardelli, który w objęciach trzymał księżniczkę Marię z Burbonów Obojga Sycylii – we Francji padły pytania o etykę zawodu dziennikarza, o manipulowanie opinią publiczną, o to, czy oligarchia ma prawo sterować prasą, nadawać bieg wybranym subiektywnie informacjom...

Prezes LVMH jawi się jednak jako elegancki, wyważony starszy pan, stroniący od kontrowersji. Nie zawsze udaje się mu ich uniknąć. Kilka tygodni temu we Francji wybuchła wrzawa wokół rodziny Arnault – dziennik „Le Monde" opublikował serię tekstów o zaciętych walkach sukcesyjnych między dziećmi Bernarda. Dziennikarki – czołowe reporterki francuskie, często pracujące w duecie, Raphaëlle Bacqué i Vanessa Schneider – napisały drwiąco, że: „Każde z dzieci ma niebieskie oczy i idealne uśmiechy tworzone latami przez ortodontów".

Samego Bernarda przedstawiono jako bezwzględnego kapitalistę wykorzystującego pracowników i wymuszającego na nich stosowanie się do rygorystycznych zasad dobrego wychowania, a nawet stylu. Arnault ma zakazywać podwładnym noszenia ubrań i dodatków konkurencyjnych marek modowych (które ponoć pracownicy zmieniają w siedzibie firmy w obawie przed reprymendą), co więcej – miałby otaczać się tylko szczupłymi osobami, dyskryminując w ten sposób te o innej budowie ciała. Szefowi LVMH zarzuca się też niewspieranie francuskiego kapitału i rodzimej produkcji.

Na łamach gazety padły też znane pytania o związek miliardera z polityką i o zagrożoną niezależność mediów. Tych sześć tekstów przypomina streszczenie „Sukcesji", popularnego serialu HBO Max; dziennikarki nadają historii literackiego, szekspirowskiego tonu i nazywają Arnaultów „ostatnią rodziną królewską Francji", wskazując żądnych „korony" wrogów, w tym żonę Bernarda i jego zięcia.

Gra o tron

Miliarder z typową dla siebie rezerwą i dystansem odpowiedział, że cieszy go królewskie porównanie. W rozbudowanym liście otwartym zaprzeczył wszelkim dywagacjom, zapewniając, że w rodzinie panuje spokój, a członkowie klanu obdarzają się wzajemną życzliwością. „O branży dóbr luksusowych należy myśleć w perspektywie pokoleń, nie kilku lat. Dobry koniak, nim trafi do sprzedaży, nabiera charakteru przez 10–50 lat. Winnice są przekazywane z pokolenia na pokolenie, a jeden krzew wydaje owoce nawet przez 80 lat. Rzemieślnik wytwarzający kufry Louis Vuitton formuje się latami do swojego zawodu. Tym nie zarządza się jak platformą cyfrową – o te sprawy należy dbać i z troską przekazywać je dalej".

Kończąc, zaprosił autorki do Fundacji Louis Vuitton (którą powołał w 2006 r. dla promowania sztuki) na kieliszek francuskiego wina. „Być może spotkacie tam kilka postaci z waszego serialu, przekonacie się, że są sympatyczniejsi, niż wam się wydaje. A ja mimo wszystko nadal będę rozwiązywał krzyżówki z »Le Monde«, trzeba przyznać, są świetne" – pisał.

Spór o sukcesję w rodzinie Arnault – prawdziwy czy wydumany – ma oczywisty kontekst polityczny. W kwietniu 2027 r. we Francji odbędą się wybory prezydenckie, a kampania już się zaczęła. Najpotężniejsza w kraju biznesowa rodzina, dysponująca wpływowymi mediami, będzie oczywistym udziałowcem tej gry. Rywalizujące formacje będą próbowały przeciągnąć ich na swoją stronę lub dyskredytować. Lewicujący dziennik „Le Monde", dezawuując zarząd największej kapitalistycznej korporacji francuskiej, uderzył w blok liberalny i centroprawicowy, działając na rzecz szeroko pojętej, rozparcelowanej jak nigdy lewicy.

Wygląda na to, że ta medialna potyczka to dopiero początek wielkiej bitwy. Nie tylko o fotel prezesa LVMH.

KINGA STRZELECKA-PILCH

eprasa.pl f4a3c208bc

Tyle słońca w całym

Piekło w domach, powódź na ulicach, a wokół pożary... Jak ocalić mieszczuchów przed klimatyczną katastrofą? Oto orzeźwiający powiew nowego myślenia z południa Europy.

MACIEJ J. NOWAK



Ostatnie uderzenia upałów i pożary w pobliżu europejskich miast jednoznacznie potwierdzają, że zmiany klimatu są coraz bardziej intensywne i odczuwalne. Niestety, zgodnie z naukowymi prognozami będzie już tylko gorzej: upały staną się coraz bardziej dolegliwe, a zmiany pogodowe – coraz gwałtowniejsze. I to tylko wierzchołek góry lodowej, jeśli chodzi o klimatyczne zagrożenia. Sytuacja wymaga poważnej reakcji, nie tylko tej doraźnej, na konkretne zdarzenia, ale też szerszej, systemowej. Powinna ona obejmować zarówno dostosowywanie się do zmian, jak i próbę ograniczania ich skali.

W Polsce świadomość tej sytuacji wciąż dopiero się przebija. Nasz region jest mimo wszystko do tej pory oszczędzany przez zmiany klimatu. Sytuacja wygląda inaczej w państwach zachodniej i południowej Europy. Zapewne z tego powodu znacznie intensywniej próbuje się tam udzielać odpowiedzi na nowe zagrożenia. W jaki sposób i z jakim skutkiem? Poniżej skupimy się na przestrzeni miejskiej. Przykłady z Grecji, Włoch, Francji i Hiszpanii obrazują zarówno możliwe odpowiedzi na zmiany klimatu, jak również kluczowe związane z nimi ograniczenia.

Zielono nam

Zacznijmy od Grecji. Już kilka lat temu tamtejsze Ministerstwo Środowiska i Energii zauważyło w oficjalnych dokumentach kluczowe zagrożenia klimatyczne, do których zaliczyło m.in. fale upałów, zanieczyszczenie powietrza, ryzyko ograniczeń w dostępie do wody czy też efekt miejskiej wyspy ciepła. Nic dziwnego, że władze Aten uchwaliły specjalny plan działań na rzecz klimatu. Szczególną uwagę zwraca rola zieleni, obecnej tam do tej pory w niewielkim stopniu – rozszerzanie, gdzie to możliwe, powierzchni parków i terenów zielonych. Ponadto na budynkach publicznych (bezwzględnie) i prywatnych (w miarę możliwości) promowane są zielone dachy i ściany. W wielu miejscach stolicy,

eprasa.pl f4a3c208bc

mieście





W Madrycie mieszkaniówka ma być zagęszczona, ale i zazieleniona. Po lewej: **otoczone parkiem Centrum Kultury w Atenach (proj. Renzo Piano).**

zwłaszcza tych gęsto zabudowanych, sadzi się drzewa w celu „zacieniania" obszaru.

Ponadto wyodrębnia się strefy szczególnie zagrożone powodzią i wdraża rozwiązania infrastrukturalne ułatwiające walkę z tym kataklizmem. Rozwija się również sieć rowerową miasta. Wszystkie te cele są ujmowane w planie przestrzennym Aten. Tereny zielone czy infrastruktura wodna nie są lokalizowane przypadkowo, ale po kompleksowej analizie potrzeb i możliwości całego miasta.

Przenieśmy się teraz do Włoch – do Sassari na Sardynii. Problemem są tam nie tylko wzrastające temperatury, uderzenia gorąca i nagłe zmiany pogody. Na wyspie odnotowano – i zaprognozowano na dalszą przyszłość – wzrost liczby intensywnych opadów deszczu. Dlatego władze Włoch przygotowały (dla wszystkich regionów) generalny plan rozwoju terenów zieleni w miastach. Wynika z niego nie tylko to, że wyodrębnianie nowych tego rodzajów obszarów jest bardzo ważne, ale również, że nie może odbywać się to w sposób przypadkowy, chaotyczny. Powinna je poprzedzać całościowa analiza potrzeb, a skutki takich działań należy regularnie monitorować.

Rzecz jasna na zieleni odpowiedzi na zmiany klimatu się nie kończą. W Sassari podkreśla się konieczność rozwoju tzw. szarej infrastruktury, zwłaszcza „hydraulicznej", by ograniczyć ryzyko powodzi. I podobnie jak w Atenach promuje się w miarę możliwości transport publiczny i rowerowy kosztem samochodowego.

Warto mieć plan

Szukajmy dalej. We Francji jednym z podejmowanych działań jest odgórny krajowy plan, zgodnie z którym co roku należy przeznaczać na tereny zielone tysiąc hektarów przestrzeni miejskiej. Dotyczy to m.in. leżącego na południu Montpellier, gdzie zwłaszcza w ostatnich latach odczuwa się wyraźny wzrost temperatur, a ponadto – jak w całym regionie – narasta zagrożenie pożarowe i powodziowe. Jednym z rozwiązań jest plan przestrzenno-klimatyczny dla obszaru metropolitalnego Montpellier (czyli nie tylko dla samego miasta, ale i otaczających go gmin).

To krok dalej w porównaniu z innymi państwami. Zazwyczaj plany przestrzenne próbują jedynie realizować wytyczne klimatyczne zawarte w innych dokumentach. W Montpellier obie sfery zostały połączone. W konsekwencji konkretne ograniczenia dotyczące zabudowy, wyznaczenie poszczególnych rodzajów stref (np. mieszkaniowej, przemysłowej, zieleni) są bezpośrednio powiązane z celami klimatycznymi. Przykładowo nie trzeba „przekładać" do planu koncepcji ochrony i rozwoju zieleni. Ona już tam jest – z konkretnymi konsekwencjami dla możliwości zabudowy poszczególnych gruntów. Oczywiście działania klimatyczne nie kończą się na uchwaleniu planu. W samym Montpellier na lata 2020–26 przewidziano zasadzenie 50 tys. drzew.

Wśród ciekawych przykładów można też wymienić Hiszpanię. Dla odmiany przyjrzyjmy się jednak miastom, które nie znajdują się na samym południu kraju. Tam też pojawia się sporo pomysłów. W Madrycie spośród problemów klimatycznych do szczególnie dojmujących należą nagłe uderzenia gorąca, efekt miejskiej wyspy ciepła i problematyczny dostęp do wody. ▶

© YIORGIS YEROLYMBOS, ALEXANDR SPATARI/GETTY IMAGES

eprasa.pl f4a3c208bc





Bilbao stawia na elektryczny transport publiczny. Po prawej: **w Montpellier na południu Francji planowo przybywa co roku drzew i terenów zielonych.**

▶ Jednym z realizowanych rozwiązań jest zagęszczanie zabudowy mieszkaniowej (aby mieszkaniówka nie pochłaniała niepotrzebnie zbyt dużego obszaru). Plan przestrzenny dla stolicy bezwzględnie chroni zielone tereny. Niezależnie od powyższego chronione są przed ścięciem wszystkie drzewa, nawet jeżeli nie są powiązane z terenami zielonymi.

Jeszcze ciekawszy jest przypadek Bilbao – miasta na północy Hiszpanii, w którym lata są cieplejsze, ale zasadniczo, z uwagi na miejscowy klimat, nie stanowią aż tak dużego problemu jak na południu kraju. Kwestie klimatyczne i tu zostały sumiennie przepracowane. Wokół Bilbao wyodrębniono „zielony ring" o powierzchni 1300 ha, który ma służyć m.in. ochronie terenów wiejskich przed niekontrolowaną zabudową. W samym mieście poza zwiększaniem powierzchni terenów zielonych całą komunikację miejską przestawiono na napęd elektryczny i hybrydowy. Za znaczące zagrożenie dla miasta uznano nagłe zmiany pogody. Władze miejskie podjęły więc próbę logistycznego przygotowania do tych zdarzeń poprzez rozbudowę systemów wczesnego ostrzegania oraz opracowanie planów ewakuacyjnych na wypadek powodzi.

Budujące przykłady

Zainteresowania i kierunki działań w miastach zachodniej i południowej Europy są zasadniczo podobne. Władze miejskie nie mogą robić wszystkiego – bardzo często są ograniczane ramami prawnymi obowiązującymi na szczeblu krajowym. Władze krajowe z kolei nie zawsze chętnie i szybko podejmują ważne kwestie klimatyczne. Nie znaczy to jednak, że tematy te nie są rozważane. Warto tu przedstawić pewien pomysł, który aktualnie jest zawarty przede wszystkim w niektórych europejskich dokumentach – koncepcję „no net land take".

Jak zauważają jej autorzy (a są to głównie naukowcy z państw europejskich), niekontrolowany rozwój zabudowy może być bardzo problematyczny również w kontekście zmian klimatu, pogłębiając utratę funkcji ekosystemowych (m.in. związanych z retencją wody), a także przyczyniając się do fragmentacji przestrzeni, w tym siedlisk przyrodniczych. Ponadto chaotyczne rozlewanie się zabudowy nie odpowiada realnym potrzebom rozwojowym miast i gmin podmiejskich. W związku z tym wspomniana koncepcja zakłada, że od 2050 r. powierzchnia terenów przekazywanych na cele zurbanizowane powinna być równoważona przywracaniem innych terenów do stanu naturalnego. Może to oznaczać zarówno rozbiórkę nieużywanych budynków, jak i zmianę przeznaczenia istniejących elementów infrastruktury.

Wizja ta wydaje się oczywiście dosyć radykalna i nasuwa pytania o to, jak operacyjnie zrealizować związane z nią cele. Oczywiście trudno przesądzić, co zdarzy się w roku 2050. Obecnie koncepcja „no net land take" nie jest nigdzie w całości wdrażana. Wyznacza raczej pewien kierunek dalszej dyskusji. I tak np. w niektórych państwach zwraca się uwagę na konieczność szerszej niż dotąd ochrony prawnej gruntów rolnych i leśnych przed niekontrolowaną zabudową. Czasem jednak próbuje się nieśmiało stawiać dalsze kroki. Dobrym przykładem może być Francja, gdzie w ustawie klimatycznej zawarto osobny rozdział poświęcony ochronie gruntów i ograniczaniu wykorzystywania gleby. „No net land take" stanowi również oficjalny cel francuskich dokumentów strategicznych, rzecz jasna kontestowany przez część klasy politycznej.

Dla odmiany w belgijskiej Walonii zgodnie z tamtejszym planem przestrzenno-klimatycznym do 2030 r. co najmniej połowa nowej zabudowy mieszkaniowej może powstać tylko w centrach miast i wsi. W dalszej perspektywie – do 2050 r. – wymóg ten ma dotyczyć aż 75 proc. takich inwestycji. Cel ten jednak mocno kontestują gminy wiejskie. Poza tym jest to wciąż raczej ogólny postulat.

Również w ustawie niemieckiej zadeklarowano, że w pierwszej kolejności powinny być zabudowywane centra miast. Od 2017 r. zgodnie z tamtejszymi przepisami dzienne „zajmowanie" naturalnego gruntu nie może przekroczyć 30 ha. Postulaty te, bardzo ogólne i delikatne, i tak nie są w pełni realizowane,

eprasa.pl f4a3c208bc

bo np. niemiecka ustawa mieszkaniowa z 2025 r., nakierowana na intensywny rozwój mieszkalnictwa, zdecydowanie wskazuje na inne priorytety.

Klimatyczne pole minowe

Jak więc widać, przy realizacji ważnych dla miast celów klimatycznych mogą pojawiać się problemy i bariery. Pod tym względem przypadki wszystkich wspomnianych państw i miast są bardzo do siebie podobne. Częstym problemem pozostaje kwestia koordynacji kompetencji władz publicznych. Sprawy klimatyczne są zróżnicowane – od zielonych przestrzeni do infrastruktury hydraulicznej. Bardzo często trudno się nimi zająć w sposób kompleksowy. I tak np. na szczeblu krajowym są formułowane ogólne wytyczne, których władze miejskie nie potrafią efektywnie wprowadzić w życie. Władze krajowe nie chcą ryzykować, wiedząc, że uszczegóławianie wskazanych postulatów może okazać się niepopularne politycznie. I w konsekwencji miastom może brakować efektywnych narzędzi.

Problemem są też pieniądze – wiele projektów klimatycznych wymaga finansowego dużego wsparcia, którego realnie nie ma. Z badań ankietowych wynika, że np. mieszkańcy Sassari akceptują zielone dachy na budynkach publicznych, ale deklarują, że ich instalowanie na budynkach prywatnych jest dla nich zbyt kosztowne. I mają rację. Do tego dochodzą konflikty przestrzenne – powierzchnie przeznaczane pod zieleń czy infrastrukturę wodną mogą zajmować tereny przeznaczone na cele mieszkaniowe lub przemysłowe. Nie zapominajmy też, że dostosowanie miast do celów klimatycznych to długi, żmudny proces. Nie wystarczy tu ani kilka miesięcy, ani nawet lat.

Z powyższych przykładów wynika, że reagowanie na zmiany klimatu to prawdziwe pole minowe. Z jednej strony widzimy coraz drastyczniejsze konsekwencje zachodzących procesów. Z drugiej – właściwa na nie odpowiedź wymaga wielu zróżnicowanych działań, no i sporej dozy determinacji oraz cierpliwości. Działania państw i miast zachodniej Europy świadczą jednak o świadomości wagi problemu. Widzimy próby wdrażania – na różne sposoby – mniej kontrowersyjnych społecznie celów: poszerzanie powierzchni terenów zielonych, sadzenie drzew, rozbudowę infrastruktury przeciwpowodziowej. Powstają też całościowe koncepcje (jak „no net land take"), które teoretycznie pozostają słuszne, lecz wciąż nie do końca wiadomo, jak je wdrażać.

Na razie najlepszym rozwiązaniem wydaje się realizacja ich najmniej spornych elementów. Otwarte pozostaje jednak pytanie, czy zakres tych wszystkich działań jest proporcjonalny do intensywności zmian klimatu, czy dotrzymuje jej tempa... Oczywiście, że nie. Pogodzenie wyzwań społecznych i klimatycznych to zadanie piekielnie trudne, które powinno być poddawane w możliwie najszerszym stopniu obiektywnej debacie. Tej debaty wciąż jest zbyt mało.

MACIEJ J. NOWAK

Autor, prof. dr hab. Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie, jest członkiem Komitetu ds. Kryzysu Klimatycznego PAN oraz międzynarodowej grupy badawczej „Land Take in Europe – In Pursuit of NetZero" (Academy for Territorial Development in the Leibniz Association).

© LOURENS SMAK/ALAMY/BE&W, C. MARSON

REKLAMA

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

GALA MEDALU WOLNOŚCI SŁOWA

28 SIERPNIA, GODZ. 20.00 TRANSMISJA NA ŻYWO W TVN24

Wydarzenie uświetni koncert polskich artystów z towarzyszeniem Tarkowski Orkiestra

Fundacja Grand Press po raz szósty uhonoruje osoby szczególnie zasłużone dla wolności słowa w Polsce w kategoriach:

MEDIA
INSTYTUCJA
OBYWATEL/KA

Podczas gali odbędzie się prapremiera zwycięskiej piosenki konkursu „Napisz piosenkę z Wisławą Szymborską" w wykonaniu Artura Rojka

ORGANIZATOR
GRAND PRESS FOUND.

MIASTO GOSPODARZ
GDAŃSK

HONOROWY PATRONAT KONKURSU „NAPISZ PIOSENKĘ Z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ"
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY
SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO
ECS europejskie centrum solidarności
Warszawa
Sopot
100 GDYNIA
Wrocław miasto spotkań
Białystok
Kraków
KAYAX

PATRONI MEDIALNI
tvn24
pap POLSKA AGENCJA PRASOWA
Puls Biznesu
POLSKA PRESS GRUPA
DZIENNIK BAŁTYCKI
RADIO NOWY ŚWIAT
Stowarzyszenie Gazet Lokalnych
REPROPOL DZIENNIKARZE I WYDAWCY
POLSKIE RADIO RDC
Zawsze Pomorze

PARTNERZY GALI
Event & Conference by progast CATERING PREMIUM
COCOSOUND

eprasa.pl f4a3c208bc



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Wyścig z bakteriami

MARGIT KOSSOBUDZKA-LIPIŃSKA

Pesymiści wieszczą koniec złotej ery antybiotyków. Optymiści sądzą jednak, że można inaczej walczyć z groźnymi bakteriami, np. przy pomocy... wirusów. Komu nauka przyzna rację?

eprasa.pl f4a3c208bc

Jeszcze 100 lat temu choroby zakaźne były główną przyczyną śmiertelności. To m.in. z powodu licznych infekcji (zwłaszcza wśród małych dzieci) średnia długość życia była niższa niż 50 lat. Dziś jest w krajach rozwiniętych aż o 30 lat dłuższa! Spowodowały to lepsza higiena oraz pojawienie się antybiotyków i szczepionek. Szczepienia umożliwiły kontrolę kilku poważnych chorób zakaźnych – zarówno u ludzi (np. polio czy odra), jak i wśród zwierząt (wścieklizna). Są to jednak głównie choroby wirusowe, przed powikłaniami i śmiercią z powodu tych bakteryjnych ocaliły nas antybiotyki. Początek rewolucji wyznaczyło odkrycie penicyliny w 1928 r .

Antybiotyki celują w niezbędne składniki bakteryjne lub szlaki metaboliczne. Te różnią się od występujących wśród naszych komórek, dzięki czemu większość antybiotyków nie jest dla nas toksyczna.

Z drugiej strony stosowanie antybiotyków jest nierozerwalnie związane ze zdolnością bakterii do szybkiej ewolucji i rozwoju oporności, w myśl słynnej hipotezy Czerwonej Królowej, nawiązującej do powieści Lewisa Carrolla „Po drugiej stronie lustra", gdzie Czerwona Królowa szachów, biegnąc bez przerwy wraz ze zmieniającym się otoczeniem, mówiła do Alicji: „Tutaj (...), aby utrzymać się w tym samym miejscu, trzeba biec ile sił". A ponieważ mamy do czynienia z mikrobami, które dzielą się i namnażają w bardzo szybkim tempie, ich zdolności do ucieczki przed antybiotykami są dużo większe niż nasze możliwości produkcji nowych związków.

Geny oporności

Pierwsze przypadki oporności na penicylinę odnotowano już w latach 40. XX w. Od tamtej pory odkryto ponad 150 antybiotyków, ale odporność na większość z nich pojawiała się coraz szybciej. Bakterie mają wiele możliwości podzielenia się odpornością z innymi mikrobami. Nie dzieje się to tylko podczas podziału komórki. Geny oporności na antybiotyki mogą być przekazywane w wyniku koniugacji – poprzez kontakt dwóch bakterii za pomocą specjalnej wypustki. Komórka dawcy kopiuje i przekazuje plazmid (mały cząsteczkowy DNA) z genem oporności do komórki odbiorcy.

Poza tym bakterie potrafią pobierać i włączać do swojego materiału genetycznego wolne cząsteczki DNA ze środowiska zewnętrznego. Pochodzą one zazwyczaj z obumarłych i rozpadłych wcześniej komórek bakteryjnych, które posiadały geny oporności. Kolejnym sposobem jest przenoszenie genów oporności za pośrednictwem bakteriofagów – wirusów, które atakują wyłącznie komórki bakteryjne i przypadkowo włączają fragmenty ich DNA do kolejnych zakażanych komórek.

Bakterie najczęściej bronią się przed antybiotykami, wytwarzając enzymy niszczące lek, zanim zdąży zadziałać. Mogą także wypompowywać cząsteczki antybiotyku na zewnątrz komórki. Modyfikują też struktury białek lub ścian komórkowych w taki sposób, że antybiotyk nie ma do czego się przyczepić. Bakterie nie tylko nabywają oporność na jeden wybrany antybiotyk – powstają też superbakterie oporne na wiele związków.

Pesymiści twierdzą, że stoimy właśnie w obliczu upadku złotej ery antybiotyków. Światowa Organizacja Zdrowia oszacowała, że superbakterie spowodowały 1,27 mln zgonów na całym świecie w 2019 r. i prawdopodobnie staną się coraz większym zagrożeniem w nadchodzących latach. Optymiści zaś uważają, że jesteśmy już w stanie rozwiązać ten problem w drodze eliminacji i demontażu mechanizmów obronnych bakterii.

Potencjał przeciwciał

Przeciwciała monoklonalne to białka odpornościowe pochodzące z jednego klonu komórek. Rozpoznają i blokują konkretny receptor lub cząsteczkę w organizmie, ściągając komórki immunologiczne, które pomagają usunąć intruza. Przeciwciała te stosuje się szeroko w medycynie, a ponad 100 z nich zostało zatwierdzonych przez FDA i Europejską Agencję Leków głównie do leczenia nowotworów i chorób zapalnych. Ostatnio badano je również jako alternatywne podejście do leczenia infekcji bakteryjnych.

Jednak pomimo postępu technologicznego jedynie kilka zostało zatwierdzonych przez FDA do stosowania przeciw patogenom bakteryjnym opornym na wiele antybiotyków.

Niedawno w piśmie „Trends in Immunology" naukowcy podkreślali potencjał wykorzystania ludzkich przeciwciał monoklonalnych do skuteczniejszego leczenia pacjentów i zwalczania opornych bakterii. „Strategia uporania się z opornymi bakteriami wyłącznie za pomocą nowych antybiotyków całkowicie zawiodła i prowadzi do powstawania potężnych bakterii opornych na wszystko" – mówi współautor artykułu Rino Rappuoli z Fondazione Biotecnopolo di Siena we Włoszech. I dodaje: „Oporność na środki przeciwdrobnoustrojowe należy zwalczać za pomocą wielu strategii, a szczepionki i przeciwciała monoklonalne są najbardziej obiecującymi narzędziami".

W przeciwieństwie do antybiotyków o szerokim spektrum działania, które często zabijają nie tylko szkodliwe bakterie, lecz także te pożyteczne, przeciwciała monoklonalne można zaprojektować tak, aby zwalczały tylko patogeny, chroniąc w ten sposób mikrobiotę jelit. Przeciwciała monoklonalne mogą blokować uwalnianie toksyn przez bakterie, „oznaczać" je tak, aby uczynić je bardziej rozpoznawalnymi dla układu odpornościowego i zapobiegać ich przyłączaniu się do komórek ludzkich. Naukowcy stale udoskonalają metodę, wykorzystując nowe technologie, takie jak inżynieria przeciwciał i sztuczna inteligencja. Niektórzy łączą nawet przeciwciała z innymi lekami. Są to jednak wciąż drogie terapie.

Wirusem w bakterię

Pod wieloma względami doskonały zamiennik antybiotyków stanowią bakteriofagi – wirusy atakujące komórki bakteryjne. Przyczepiają się do bakterii i wstrzykują jej materiał genetyczny, który przejmuje kontrolę nad mikrobem i zmusza go do produkcji nowych bakteriofagów, aż do eksplozji komórki i uwolnienia cząstek wirusowych.

Bakteriofagi można wdychać, wstrzykiwać, pić lub aplikować bezpośrednio na skórę. Oddziałują tylko na bakterie chorobotwórcze, które zwalczają, więc nie szkodzą własnym komórkom pacjenta ani jego „dobrym" bakteriom w jelitach. Ich główną wadą jest to, że każdy rodzaj bakteriofaga może atakować tylko jeden gatunek bakterii.

Aby znaleźć odpowiedniego bakteriofaga, trzeba więc dokładnie wiedzieć, jakimi bakteriami zakażony jest pacjent. To proces czasochłonny i może oznaczać, że stan chorego pogorszy się w trakcie przeprowadzania badań. Choć prace nad bakteriofagami są prowadzone od dekad, także w Polsce, terapia ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ bakteriofagowa jest obecnie stosowana tylko w jednorazowych przypadkach nagłych. I zazwyczaj ma charakter eksperymentalny.

Fagi mają jeszcze jedną zaletę: produkują mianowicie lizyny – białko lub enzym – które dziurawią ściany komórkowe bakterii. Komórki bakteryjne są jak balony pod wysokim ciśnieniem, więc po przebiciu ich wnętrze wycieka, zabijając mikroba. Lizyny są bardzo silne; mikrogramowe ilości mogą zniszczyć miliony bakterii w ciągu kilku sekund. Zamiast stosować całe bakteriofagi, naukowcy próbują użyć do zabijania bakterii samych lizyn.

Molekularne nożyczki

Niedawno opracowano precyzyjną metodę leczenia inwazyjnych zakażeń *E. coli*. Technikę CRISPR-Cas9 (molekularnych nożyczek) wykorzystano do stworzenia produktu, który rozszczepia gen kodujący groźną toksynę. Chodzi o bakterie STEC, czyli szczepy *E. coli* wytwarzające toksynę Shiga. Te patogeny wywołują ciężkie zatrucia pokarmowe. Do zakażenia dochodzi przez spożycie skażonej żywności (np. niedogotowanego mięsa, surowych warzyw), wody lub kontakt ze zwierzętami.

Dziś nie można tej infekcji leczyć antybiotykami, bo mogą one skłonić *E. coli* do wytwarzania jeszcze większej ilości toksyn. Zakażenia STEC każdego roku dotykają ok. 2,8 mln ludzi (większość to dzieci). Mogą powodować śmiertelne objawy, takie jak krwawa biegunka, zespół hemolityczno-mocznicowy i niewydolność nerek. Toksyny uszkadzają jelita i nerki.

CRISPR-Cas9 to mechanizm obronny wykorzystywany przez bakterie do ochrony przed wirusami. Pozwala on bakteriom „zapamiętać" wirusa i unieszkodliwić jego materiał genetyczny, tnąc go na kawałki.

Metoda CRISPR-Cas9, wykorzystywana przez naukowców do skutecznego kopiowania i wklejania DNA, zapoczątkowała rewolucję w inżynierii genetycznej. Badacze są na wczesnym etapie prac nad użyciem tego mechanizmu obronnego bakterii przeciw nim samym – jako podstawy przyszłych antybiotyków. Mogą to być genetycznie zmodyfikowane bakteriofagi, zaprogramowane do atakowania wyłącznie bakterii chorobotwórczych. Tak powstaliby niezwykle wydajni, konfigurowalni zabójcy bakterii. W dalekiej przyszłości moglibyśmy nawet zmodyfikować nasze bakterie jelitowe tak, aby atakowały bakterie chorobotwórcze.

CRISPR-Cas9 może się przydać jeszcze do czegoś innego. Zamiast bezpośrednio zabijać komórkę, naukowcy wykorzystują ten mechanizm do usuwania genów oporności na leki z wnętrza tzw. biofilmów bakteryjnych, skutecznie przywracając skuteczność starszym, tańszym antybiotykom.

Biofilm bakteryjny to złożona, zorganizowana warstwa mikroorganizmów zatopionych w ochronnej macierzy z cukrów i białek. Struktura ta działa jak tarcza. Sprawia, że bakterie stają się nawet do tysiąca razy bardziej odporne na leki, antybiotyki i układ odpornościowy niż pojedyncze komórki. Bez tej tarczy wiele z nich robi się wrażliwych na leki, które „w grupie" nie miały szansy ich zniszczyć.

Wiele superbakterii przeżywa terapię antybiotykami dzięki tzw. pompom wypływowym – komórkowym mechanizmom obronnym, które wypompowują antybiotyki z komórki, zanim zdążą zadziałać. Przełomowe odkrycie naukowe z King's College London polega na chemicznym przeprojektowaniu cząsteczek leków tak, by nie dało się ich wypompować.

Wśród innych testowanych metod są strategie całkowicie odchodzące od chemii syntetycznej. Próbuje się wykorzystywać np. peptydy przeciwdrobnoustrojowe – malutkie, naturalnego pochodzenia fragmenty białek, które fizycznie nakłuwają błony bakteryjne. Ponieważ uszkodzenia mają charakter mechaniczny, a nie chemiczny, bakteriom trudno wykształcić oporność na taką metodę.

Nadzieja w brodzie?

Kolejną obiecującą metodą są tzw. inhibitory wykrywania quorum. Quorum bakteryjne (*quorum sensing*) to system chemicznej komunikacji między komórkami bakterii. Polega na produkowaniu i wydzielaniu cząsteczek sygnałowych (induktorów). Gdy gęstość populacji bakterii rośnie, stężenie tych cząsteczek osiąga wartość progową, co pozwala mikrobom wspólnie włączać lub wyłączać określone geny i działać jak jeden organizm wielokomórkowy. Można zatem tworzyć związki blokujące te chemiczne szlaki komunikacyjne, których używają drobnoustroje do koordynowania ataków lub tworzenia ochronnych biofilmów.

Oczywiście wciąż szuka się potencjalnych nowych antybiotyków w naturze. Największym wyzwaniem jest jednak przeniesienie fascynujących odkryć z laboratoriów do szpitali. Dla przykładu – badacze z Liverpool School of Tropical Medicine odkryli, że 25 proc. bakterii pobranych z wymazów z bród mężczyzn wykazywało aktywność antybiotyczną. To odkrycie zainspirowało ich do wysłania ludziom zestawów do pobierania wymazów z trampolin, klawiatur, banknotów, podłogi londyńskiego metra i wnętrza publicznej toalety. Próbki są wysyłane do analiz. Ale przełomu nie ma. Szuka się też nowych mikroorganizmów o potencjale antybiotycznym w znacznie bardziej ekstremalnych środowiskach, w tym w kominach termalnych, głębokich fiordach i odizolowanych islandzkich bagnach.

Rozwija się jednak alternatywne podejście – tworzenie antybiotyków od podstaw, atom po atomie. Umożliwiają to modele sztucznej inteligencji. Zamiast przeszukiwać naturę, naukowcy wykorzystują modele głębokiego uczenia, jak np. SyntheMol-RL, do projektowania całkowicie teoretycznych związków od zera. W ten sposób eksperci z MIT i Broad Institute przebadali już ponad 36 mln hipotetycznych związków, szukając zupełnie nowych leków na gronkowca i rzeżączkę.

Ważny jest czas

Czy możemy coś zrobić, by dać naukowcom więcej czasu na wypracowanie nowych metod walki z antybiotykoopornością? Tak, jednym z podstawowych elementów współczesnego podejścia do zakażeń pozostaje ograniczenie antybiotykoterapii, gdy nie przynosi ona korzyści klinicznych. Dotyczy to zwłaszcza infekcji wirusowych, takich jak większość zakażeń górnych dróg oddechowych. Jeśli lekarz mówi, że to infekcja wirusowa, nie naciskajmy, żeby przepisał antybiotyk na wszelki wypadek.

Ważny jest także czas. Stosowanie leku zbyt krótko powoduje, że giną tylko powierzchniowe bakterie z biofilmu, w którym się namnażają i żyją. Lek nie dociera do głębszych warstw (nawet jeśli bakterie są na niego wrażliwe), pozwalając patogenom nie tylko się odbudować, ale nabyć oporność na antybiotyk.

MARGIT KOSSOBUDZKA-LIPIŃSKA

eprasa.pl f4a3c208bc

Naukowcy potrzebują wielu rąk

Nowa wiedza nie rodzi się w głowie jednego człowieka. To długotrwały proces, wymagający zaangażowania całych zespołów i wielu czasochłonnych, powtarzalnych badań – zbierania próbek, prowadzenia obserwacji, wykonywania analiz. Coraz częściej i coraz chętniej w działania naukowe angażują się ludzie niezwiązani zawodowo z daną dziedziną, ale jej ciekawi i chcący pomóc badaczom. Oba środowiska – naukowców i wolontariuszy – wspiera Centrum Nauki Kopernik, w którym można dołączyć do projektów nauki obywatelskiej.

To zadziwiające, jak wiele osób może pochwalić się udziałem w ważnych odkryciach, nie będąc naukowcami. Można wymienić poszukiwania nieznanych obiektów w sąsiedztwie Układu Słonecznego czy białek, które mogłyby utrudnić zakażanie komórek, a także tworzenie map raf koralowych. W międzynarodowe badania Backyard Worlds: Planet 9, NeMO-Net i Foldit ogromny wkład wnieśli ludzie spoza uczelni i instytutów.

Każdy chce być paleontologiem

W Centrum Nauki Kopernik od listopada 2025 r. wolontariusze biorą udział w oczyszczaniu szczątków olbrzymiego prehistorycznego płaza, odkrytego na Śląsku. Projekt „Dotknij prehistorii" realizowany jest wspólnie z prof. Tomaszem Sulejem z Instytutu Paleobiologii PAN oraz Uniwersytetem Warszawskim. Zainteresowanie preparacją mastodonzaura przerosło wszelkie oczekiwania – w pracach wzięło udział już ponad 1300 osób. Dzięki ich zaangażowaniu działania, które trwałyby wiele lat, zostaną zakończone jeszcze w tym roku.

Projekt „FunDive – Genetyczne grzybobranie", prowadzony przez dr hab. Julię Pawłowską z Wydziału Biologii UW, doczekał się już pomyślnego finału. W ramach niego wolontariusze izolowali DNA grzybów, współtworząc ich europejską mapę genetyczną.

Na zainteresowanych czekają dwa nowe wyzwania, tym razem skierowane do szkół.

Nauka obywatelska w szkole

Już jesienią w Koperniku ruszą projekty nauki obywatelskiej, w których udział weźmie młodzież. W ramach projektu ministerialnego „Nauka ma głos" w badaniu dwujęzyczności zamierzonej, prowadzonym przez dr Magdalenę Łuniewską-Etenkowską z Wydziału Psychologii UW, uczniowie przyjrzą się doświadczeniom osób, z którymi polskojęzyczni rodzice rozmawiali w dzieciństwie także w języku obcym. Przeprowadzą ankiety i przeanalizują zebrane odpowiedzi. Z kolei badanie jakości gleby, prowadzone przez prof. dr hab. inż. Grażynę Budryn z Wydziału Biotechnologii i Nauk o Żywności Politechniki Łódzkiej, obejmuje działania terenowe. Uczniowie i uczennice pobiorą próbki gleby w wybranych miejscach, zmierzą jej pH i przyjrzą się jej właściwościom. Zebrane dane pozwolą się dowiedzieć, w jakim stanie jest gleba w danym rejonie.

Tu każdy jest wygrany

Udział w projekcie nauki obywatelskiej może mieć wpływ na to, jak postrzegamy naukę i ludzi, którzy ją tworzą. W 2025 r. w „Nature Human Behaviour" opublikowano wyniki badania 71 922 osób z 68 krajów. Za kompetentnych naukowców uznało 78% respondentów, za uczciwych – 57%, a za troszczących się o dobro ludzi – 56%.

Aż 83% uważało, że naukowcy powinni rozmawiać ze społeczeństwem o nauce. Warto wyjść naprzeciw tym oczekiwaniom. Kopernik w ramach projektu „Nauka ma głos" organizuje spotkania, podczas których można poznać najnowsze badania i ich autorów oraz porozmawiać z naukowcami w nieformalnej atmosferze. Taka współpraca służy także obu stronom. Umożliwia prowadzenie działań w krótszym czasie i na większą skalę. Wolontariusze poznają natomiast naukę od środka, angażując się często w działania niewymagające doświadczenia czy specjalistycznej wiedzy, uczą się pracować z danymi, interpretować je i ostrożnie formułować wnioski. To kompetencje budujące rezyliencję społeczną – zdolność do radzenia sobie z niepewnością, zmianami i kryzysami. Odporne społeczeństwo nie zna odpowiedzi na każde pytanie, ale potrafi jej odpowiedzialnie szukać.

Materiał przygotowany przez Centrum Nauki Kopernik.



eprasa.pl/14a3c208c



Ben Fogle
– ur. 1973 r., brytyjski podróżnik, prezenter telewizyjny, autor książek. Przez lata był patronem Programu Środowiskowego ONZ (UNEP) ds. dzikiej przyrody.

Ostatnia dzicz to my

W serii „Ben Fogle: wyścig do źródła Nilu" autor wraz z prezenterem Dwaynem Fieldsem (z lewej) **docierają m.in. do Wodospadu Murchisona w Ugandzie**

Jedyne, co nam zostało do zbadania, to my sami – mówi dokumentalista Ben Fogle. Sam od 25 lat podąża do dzikich miejsc, których na mapie prawie już nie ma.

JOLANTA IWAŃCZUK: **– W 12. sezonie „Życia na pustkowiu" i w programie „Ben Fogle: wyścig do źródła Nilu" nie jest pan za kamerą, lecz przed nią. Czy klasyczny dokument z lektorem to już czasy minione?**

BEN FOGLE: – Nie powiedziałbym, że minione. Filmy z narratorem czy czysto obserwacyjne wciąż mają zwolenników. Ale ja od 25 lat wciągam widza do środka opowieści. W pierwszym filmie zamieszkałem na wyspie na rok, próbując pełnej samowystarczalności. Wówczas zrozumiałem, że efekt autentyczności uzyskuje się poprzez zanurzenie w miejscu i w ludziach. Że taka relacja przełamuje dystans. I że widz to czuje.

„Ben Fogle: wyścig do źródła Nilu" to podróż z Dwaynem Fieldsem śladem czterech wiktoriańskich odkrywców: Livingstone'a, Burtona, Speke'a i Stanleya. W XIX w. znalezienie źródła rzeki było aktem naukowym. Dziś jest hołdem czy odkrywa pan jednak coś nowego?

To była fascynująca produkcja, bo to żywa historia. Chciałem, żeby widz naprawdę zobaczył, przez co przechodzili ci ludzie: Livingstone przemierzający Zambezi; Burton i Speke kłócący się o to, czy źródłem jest Tanganika, czy Wiktoria; Stanley szukający swego zaginionego poprzednika. Z Dwaynem ubraliśmy się w ich stroje, żywiliśmy się jak oni, używaliśmy podobnego sprzętu. Zderzyliśmy się też z ciemniejszą stroną tamtej epoki – to nie była tylko eksploracja, to była też eksploatacja. Ale czy dziś można przeżyć to samo, co oni? Trudne pytanie. Wszystkie rzeki odkryto, wszystkie źródła znaleziono, wszystkie góry zdobyto. Jedyne, co nam zostało do zbadania, to my sami. A każdy z nas jest zupełnie wyjątkowy. Wypraw i przygód wciąż jest mnóstwo – tyle że wewnętrznych, nie zewnętrznych.

Niektórzy uważają, że nauka powinna pozostać w laboratoriach i czasopismach, bo upraszczanie przynosi więcej szkody niż pożytku.

Chociaż nie uprawiam nauki, doceniam jej wartość. Myślę, że wszyscy powinniśmy się z nią stykać. To samo dotyczy historii – jeśli się jej nie uczymy i nie przyswajamy, powtórzy się i wpadniemy w te same pułapki. Nauka to piękny postęp ludzkości. Przy wszystkich problemach świata, włącznie z kryzysem klimatycznym, to w niej kryje się rozwiązanie. Każdy powinien czuć się zaproszony, żeby po nią sięgać. I żeby się jej nie bać.

Miliony widzów kształtują swój pogląd na przyrodę dzięki pana programom. Kim się pan czuje: podróżnikiem, popularyzatorem nauki, aktywistą klimatycznym?

Od lat powtarzam: nie jestem naukowcem, nie jestem historykiem, nie jestem klasycznym prezenterem. Jestem tym, który przekazuje historie. Jadę w różne miejsca, zbieram doświadczenia, spotykam ludzi, zanurzam się w nowych środowiskach, a potem przekładam to na ekranie na słowo mówione, a w książkach – na słowo pisane. Wolałbym być znany jako gawędziarz. Jednak pod tą etykietą coś się kryje. Uważam, że gawędziarz ma dziś większą władzę niż ekspert. Ekspertom coraz mniej się ufa, a opowieści wciąż działają. Kiedy pokazuję kogoś, kto

© RUSHLIGHT FILMS

eprasa.pl f4a3c208bc

od dziesięciu lat mieszka w chatce w tajdze, i po prostu z nim rozmawiam, widz zapamiętuje jego twarz, głos, jego dłoń, kiedy rąbie drewno. Żaden wykład o samotności czy zdrowiu psychicznym tego nie zastąpi.

Przez wiele lat był pan patronem Programu Środowiskowego ONZ (UNEP) ds. dzikiej przyrody. Czym w ogóle jest dzika przyroda w Europie XXI w., gdzie właściwie nie ma miejsc nietkniętych przez człowieka?

Środowisk, które można nazwać dziczą, jest coraz mniej. Nadal współpracuję z UNEP, to zresztą największy powód do dumy w całej mojej karierze. Moim zadaniem było mówić w imieniu świata, który znika, a przy okazji miałem dostęp do miejsc, do których zwykły prezenter telewizyjny się nie dostanie. Spotykałem ministrów środowiska, premierów, prezydentów. I zawsze przychodziłem do nich nie z tabelą i wykresem, lecz jako ktoś, kto właśnie wrócił znad jeziora, na którym topnieje lód, albo z wioski, wokół której zniknęła połowa lasu. To działa inaczej. Jako gawędziarz chcę tchnąć życie w te ostatnie dzikie miejsca.

Ludzie kojarzą dzikość z pustką. Ekolodzy mówią coś odwrotnego – to tam bioróżnorodność jest najwyższa, tam regulowany jest klimat. Czy udaje się to przekazać widzom?

Wielu ludzi rzeczywiście myśli, że dzicz to pustka. A ona kipi bogactwem życia. Tylko nas tam nie ma, bo człowiek ma tendencję do negatywnego wpływu na środowisko, w które wchodzi. Wierzę, że jest miejsce, w którym ludzie i dzika przyroda mogą współistnieć. Problem polega na tym, że nadmiernie konsumujemy i przestaliśmy panować nad zużyciem zasobów. Jeśli zmienimy swoje podejście do przyrody, będzie nam znacznie lepiej.

Pokazując samotnika w tajdze, opowiada pan o ekosystemie, ale jednocześnie romantyzuje ucieczkę. Nie kłóci się to ze sobą?

To jest właśnie mój dylemat: pokażesz człowieka, który poszedł żyć na dziko – i za chwilę kolejni zaczynają robić to samo. Ostatnio filmowałem Lewisa i Jordan, brytyjską parę, która kupiła farmę w Bułgarii przez internet i wywiozła tam małe dzieci. Byli fanami mojego programu – to on ich pchnął do tej decyzji, sami mnie zaprosili. Pokazywałem też Ruperta z Yorkshire, który zostawił wszystko dla ryżowej farmy w górach Japonii. To prawdziwe historie. Gdyby jednak wszyscy tak zrobili, nie zostałoby już nic dzikiego.

Sam marzę o prostocie: chatka na wyspie, kajak, dużo psów, zbieractwo. Jednak moja żona Marina i dzieci nie podzielają tego marzenia, więc poszliśmy na kompromis. Dobrze rozumiem widzów, którzy mnie oglądają i myślą: „Też tak chcę". Atrakcyjność takiego życia polega właśnie na prostocie. Ogranicza stres, lęk. Sprowadza do podstaw: schronienia, jedzenia, bezpieczeństwa. To samo dotyczy pokazywania wcześniej nieznanych miejsc – nagle pojawiają się zainteresowanie i presja, szczególnie na te najbardziej odległe. My – gawędziarze, prezenterzy, nadawcy – powinniśmy zachować rozwagę. Nie namawiam wszystkich do zamieszkania w lesie. Namawiam do przemyślenia stylu życia. Do zwolnienia. Do upraszczania.

Bohaterowie „Życia na pustkowiu" często uciekają z cywilizacji po traumie, wypaleniu, chorobie. Czy po 12 sezonach dostrzega pan w tym coś dla psychologów?

Coraz więcej ludzi wybiera nowe życie na pustkowiu właśnie z tych powodów. Wszędzie na świecie – i nie mam wątpliwości, że w Polsce jest tak samo – mamy do czynienia z ogromnym kryzysem zdrowia psychicznego wśród młodych ludzi. Presja, tempo, pośpiech. Wielu moich rozmówców odeszło od tego świata świadomie. Myślę, że psychologowie mieliby fascynujący materiał, gdyby mogli poznać wszystkich „dzikich ludzi", których spotykałem przez lata.

Angażuje się pan w tzw. terapię naturą. Czy są twarde dane, że kontakt z dziką przyrodą leczy? Czy to nadal głównie intuicja i pojedyncze badania?

Prowadzono badania, które udowodniły, że czas spędzony na łonie natury może korzystnie wpływać na samopoczucie. W Wielkiej Brytanii lekarze zaczynają przepisywać spacery po lesie. Ale dla mnie to wciąż w dużej mierze anegdotyczne detale, bo wiem, co widzę i co przeżywam. A przeżyłem sporo. W 2023 r. miałem załamanie. Wyczerpanie, paraliżujący lęk, paranoja. Musiałem sięgnąć po terapię poznawczo-behawioralną, po leki. Uprościć całe swoje życie, żeby wrócić do dawnego spokojnego siebie. Dziś opowiadam o tym otwarcie, bo skoro dzielę się z ludźmi swoimi sukcesami, muszę też mieć odwagę dzielić się słabościami. Jeśli mogło się to zdarzyć mnie, może się zdarzyć każdemu.

Nie było to nagłe odkrycie – moc natury poznałem 25 lat wcześniej, kiedy przez rok mieszkałem na hebrydzkiej wyspie Taransay w reality show „Castaway 2000". Nigdy nie byłem sportowcem, nie biegałem, nie chodziłem na siłownię. A ten jeden rok fizycznej pracy – dźwigania materiałów, budowania – sprawił, że stałem się zdrowy, mocny. Poprawił mi się nastrój, wrócił spokój. Wtedy pierwszy raz zrozumiałem, że natura może leczyć zarówno ciało, jak i głowę. To był mój punkt wyjścia. Jednak osobiste doświadczenie i to, co widzę u rozmówców, którzy uciekli w dzicz, żeby uleczyć swoje rany, to za mało. Potrzebujemy twardych badań akademickich, jeśli mamy formalnie, na poziomie państwowym, zachęcać do zwolnienia tempa i do ochrony ostatnich dzikich terenów. Na razie wszystko brzmi jak ładna anegdota, a natura zasługuje na to, żeby traktowano ją jako lekarstwo.

Krytycy mówią wprost: latanie na drugi koniec świata z ekipą filmową szkodzi klimatowi bardziej, niż jakakolwiek edukacja może to zrekompensować.

Zawsze znajdą się ludzie, którzy skrytykują mój ślad węglowy. Odpowiem im, że moja ekipa jest bardzo mała, tylko cztery osoby. A pozytywny wpływ, jaki wywieramy, dając innym siłę i pokazując, jak można uprościć życie, z nawiązką rekompensuje moje niedoskonałości. Być może pewnego dnia przestanę latać. I chyba powinienem – na którymś etapie. Teraz jednak uważam, że edukacja i popularyzacja nauki są ważniejsze. Jako gawędziarz muszę jechać i dzielić się historiami, żeby wzmocnić przyszłe pokolenia, które pomogą chronić tę piękną planetę.

Czy w epoce dezinformacji i fejków i ludzie tacy jak pan ponoszą większą odpowiedzialność za dokładność niż dziesięć lat temu?

Bardzo trudno zwalczać te zjawiska. Jednak przez 25 lat pracy w filmie zbudowałem pewną reputację – myślę, że ludzie mi ufają. A zaufanie staje się coraz cenniejszym towarem. Ponoszę więc ogromną odpowiedzialność jako neutralny weryfikator faktów. Nie mam żadnej agendy. Dzielę się tym, co widzę, co przeżywam z ludźmi, których spotykam – z całego spektrum politycznego. Najważniejsze są autentyczność, uczciwość i rzetelność.

„Życie na pustkowiu" można oglądać od poniedziałku do piątku w BBC Earth, a „Ben Fogle: wyścig do źródła Nilu" w sobotę i niedzielę 5 i 6 września o godz. 21:55.

eprasa.pl f4a3c208bc

Czy niemiecki militaryzm to mit i dlaczego 87 lat po drugiej wojnie Niemcy nadal boją się rozmawiać o armii – opowiada prof. Sönke Neitzel, historyk wojskowości, autor książki „Niemieccy wojownicy".

Dlaczego Bundeswehra nie śpiewa



Sönke Neitzel – historyk wojskowości Niemiec. Kieruje katedrą historii militarnej/historii kultury przemocy na Uniwersytecie w Poczdamie. Autor wielu książek, z których najnowsza, „Niemieccy wojownicy. Historia militarna Niemiec od Cesarstwa do Republiki Berlińskiej", ukazała się w Polsce nakładem Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

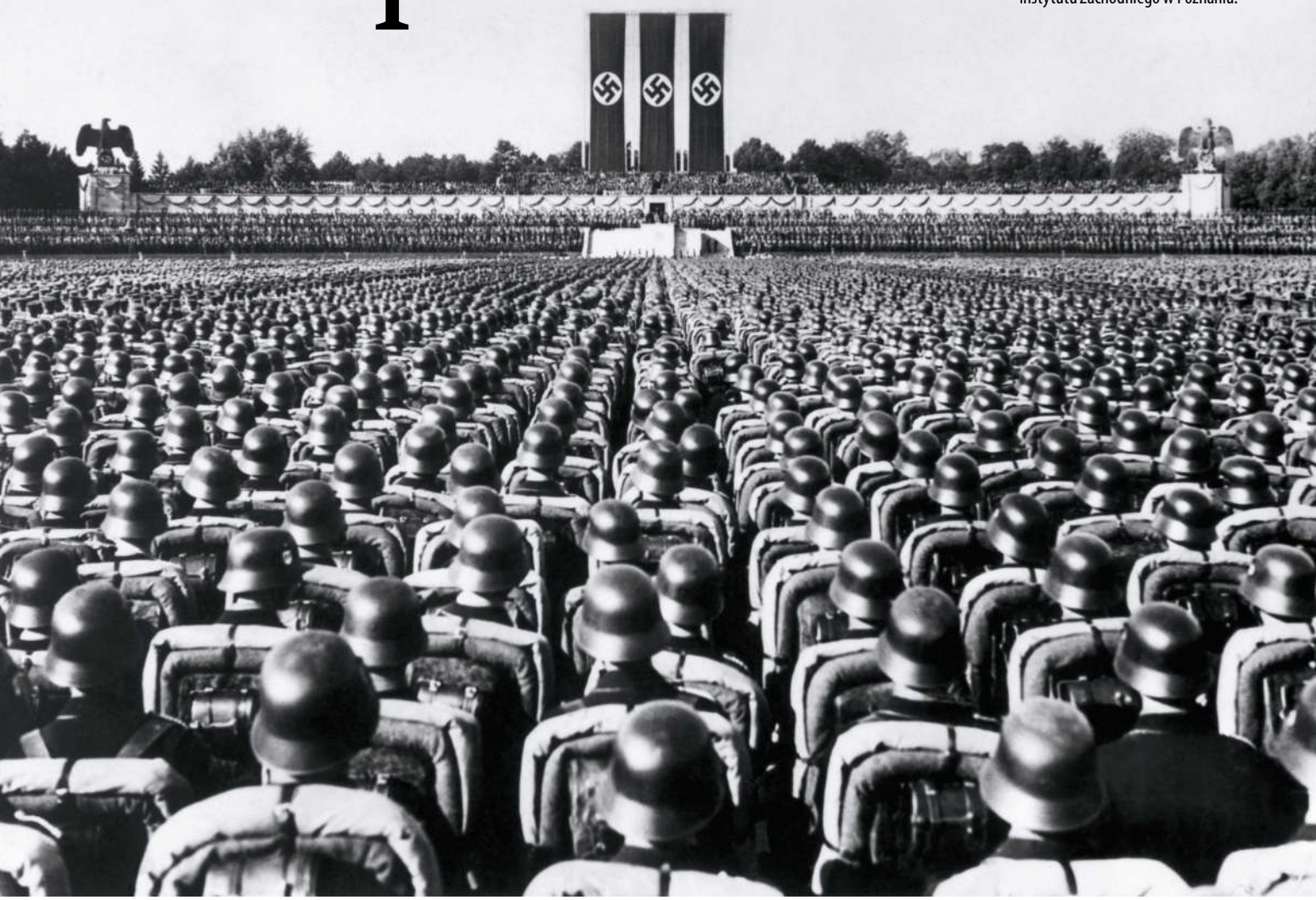

Żołnierze słuchają przemówienia Führera, Norymberga 1936 r.

eprasa.pl f4a3c208bc

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Jest pan jedynym profesorem wojskowości w Niemczech. To nic nieznaczący szczegół czy refleks szerszego zjawiska?**

SÖNKE NEITZEL: – Raczej to drugie. Mamy wiele stanowisk oraz programów kształcenia poświęconych Holokaustowi, zbrodniom wojennym czy kolonializmowi. Mamy też ok. 140 profesur *gender studies*, ale tylko jedno takie stanowisko dla osoby zajmującej się historią wojskowości. Wydaje się to o tyle dziwne, że Niemcy odegrały centralną rolę w ostatnich dwóch wojnach światowych. Jeszcze bardziej niepokojące jest to, że ten stan rzeczy nie uległ zmianie po agresji Rosji na Ukrainę.

Niemcy wciąż nie chcą rozmawiać o armii?

Myślę, że niemiecka opinia publiczna jest zainteresowana swoją historią wojenną, ale z oczywistych względów ma głęboko zakodowany strach przed mówieniem o armii i wszystkim, co mogłoby być uważane za jej gloryfikację. Problem w tym, że dotychczas jeśli mówiło się u nas o wojsku, to zawsze w kontekście zbrodni i ludobójstwa. Nie sposób zaprzeczać zasadności tego podejścia, biorąc pod uwagę, co niemieccy żołnierze robili podczas drugiej wojny światowej. Obecna sytuacja geopolityczna wymaga jednak, aby myśleć o armii jako o narzędziu walki. Tymczasem dominująca narracja o Bundeswehrze była dotychczas taka: mamy armię, lecz jest to armia „specjalna", bardziej przeznaczona do misji pokojowych niż do walki. Jeśli jednak Niemcy mają być wiarygodnym sojusznikiem, Bundeswehra musi być traktowana jako normalna armia, której zadaniem jest walczyć.

Niemiecki militaryzm nadal jest jednak wykorzystywany politycznie. Również w Polsce część polityków nim straszy. Czym jest ów fenomen historyczny?

Jeśli zdefiniujemy militaryzm jako nieproporcjonalnie dużą rolę armii w życiu publicznym, jej wyjątkową pozycję w państwie, to moim zdaniem w ciągu ostatnich 150 lat, czyli od początku II Cesarstwa w 1871 r., Niemcy były państwem zmilitaryzowanym tylko w okresie III Rzeszy i to też nie przez cały czas. Trudno byłoby obronić tezę, że niemiecka armia miała decydujący wpływ na politykę. III Rzeszą kierował Adolf Hitler, który był przecież cywilem. Wcześniej, w okresie II Cesarstwa, Niemcy w całej Europie były przedstawiane jako kraj zdominowany przez wojsko. Po części jest to prawda, bo wojskowi cieszyli się wówczas ogromnym szacunkiem społecznym, ale nigdy nie decydowali o kierunku polityki. Czy niemieckie społeczeństwo było zmilitaryzowane? Siły zbrojne nigdy nie stanowiły więcej niż 1 proc. populacji, co jest porównywalne z innymi imperiami tamtych czasów. O prymacie wojska nad polityką można tak naprawdę mówić tylko w odniesieniu do lat 1916–18, kiedy o biegu wydarzeń decydowali generałowie Erich Ludendorff i Paul von Hindenburg. O dojściu Hitlera do władzy również nie przesądziło wojsko. Niemieccy generałowie nie ufali austriackiemu kapralowi, choć liczyli, że da im wolną rękę.

Chce pan powiedzieć, że niemiecki militaryzm to mit?

Nie. Zarówno w cesarstwie, Republice Weimarskiej, jak i w III Rzeszy wojsko odgrywało niezwykle ważną rolę. Narodowy socjalizm wyrósł na doświadczeniach weteranów pierwszej wojny światowej. Niemiecka armia nie ufała demokracji, a generalicja nie szanowała demokratycznych wartości. Nie da się jednak powiedzieć, że to Wehrmacht był autorem koncepcji zbrodniczej wojny, którą wywołała III Rzesza. Wojskowi byli jej wykonawcami, często entuzjastycznymi, lecz decyzja zapadła wśród cywilów. W różnych okresach wojsko wywierało zatem ogromny wpływ na dzieje Niemiec, nie sposób jednak utrzymać tezy, że militaryzm był od wieków szczególną cechą niemieckiego państwa.

Cofnijmy się w takim razie do XVIII w. Czy Prusy Fryderyka Wielkiego nie są przykładem państwa skrajnie zmilitaryzowanego? Utarło się przecież mówić, że Prusy to nie państwo, które ma armię, lecz armia, która ma państwo.

Oczywiście XVIII-wieczne Prusy miały ogromną armię w stosunku do populacji całego kraju. I to dzięki armii awansowały z marginalnego księstwa do rangi niezależnego królestwa, a nawet europejskiego mocarstwa. Wydaje mi się jednak, że przeciąganie prostej linii między Prusami a Niemcami w XX w. to nadużycie. Tak, Prusy zjednoczyły – inni powiedzieliby, że zdominowały – Niemcy. Ale niecałe Niemcy to Prusy z ich tradycjami. Poza tym na wszystko trzeba patrzeć w kontekście epoki. Jeśli chodzi o posługiwanie się armią w celu osiągania celów politycznych, nie widzę różnicy między Prusami a innymi XVIII-wiecznymi mocarstwami. Sposób prowadzenia wojny również był ten sam. Natomiast okresem, który faktycznie wyróżnia Niemcy, były lata 1939–45. Nikt wcześniej nie prowadził wojny, która z założenia była ludobójcza i totalna. Podsumowując: niemiecki czy też pruski militaryzm bardziej niż naukowym opisem stanu rzeczy wydaje się raczej zbitką pojęciową użyteczną w publicystycznych debatach.

Część historyków uważała, że istnieje niemiecki sposób prowadzenia wojny – szczególnie agresywny i niszczycielski.

Myślę, że przed okresem III Rzeszy nie sposób przekonująco dowieść tej tezy. W czasach pierwszej wojny światowej armia cesarska popełniała zbrodnie na cywilach, lecz nie odbiegały one od zbrodni armii rosyjskiej czy austriackiej. Szczególna agresywność niemieckiego wojska przejawiała się natomiast w szybkim dążeniu do walnej bitwy i to jest fakt. Wynikało to m.in. z ekonomicznej słabości państwa, które zdawało sobie sprawę, że nie stać go na długi, wyniszczający konflikt z bogatszymi rywalami. Mit rozstrzygającej bitwy, która rzuci wroga na kolana, tak zaślepił niemiecką generalicję podczas pierwszej wojny, że kiedy plan zawiódł, nikt nie wiedział, co dalej robić. Poza wszystkimi innymi był to jeden z czynników, który zadecydował o klęsce Niemiec.

Od końca drugiej wojny światowej minęło 80 lat, a nad niemiecką armią wciąż unosi się jej cień. Odium popełnionych wówczas zbrodni, strach przed nadmiernym wpływem wojska na życie publiczne i powtarzające się skandale związane z sięganiem przez żołnierzy po symbolikę Wehrmachtu sprawiają, że Bundeswehra nie jest armią jak wszystkie inne.

Pod względem struktur organizacyjnych, uzbrojenia, procedur, szkolenia Bundeswehra jest „normalną" armią. Problem zaczyna się, gdy wkraczamy na terytorium tożsamości, która w równej mierze co uzbrojenie decyduje o wartości bojowej sił zbrojnych. Wojsko jest specyficznym uniwersum społecznym. Zadaniem żołnierza jest walczyć, zabijać i jeśli trzeba – oddać życie. Brzmi to brutalnie, ale niemiecka opinia publiczna zbyt długo żyła w iluzji, że armia służy do misji pokojowych albo pomocy powodzianom. Podstawowym rzemiosłem każdej armii jest walka. Żołnierze szukają wzorców zanurzonych w etosie wojowników, odwołując się najczęściej do dawnych zwycięstw. Tymczasem właśnie to była jedna rzecz, której Bundeswehra zrobić nie mogła. Z powodu zbrodni Wehrmachtu jakiekolwiek militarne dokonania doby drugiej wojny stały się „radioaktywne". Przywoływanie zwycięstw armii II Cesarstwa również nie wchodziło ▶

© ARCHIWUM BETTMANNA/GETTY IMAGES, JAKUBASZEK/GETTY IMAGES

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ w grę, ponieważ Bundeswehra miała odzwierciedlać demokratyczne wartości zapisane w konstytucji RFN, a cesarstwo było monarchią. Wojska Fryderyka Wielkiego również nie biły się za konstytucję. Efekt tej logiki jest taki, że żołnierze zostali z pustymi rękoma. Na poziomie oficjalnym nastąpiło radykalne zerwanie z tradycją niemieckiego rzemiosła wojennego, więc żołnierze zaczęli wypełniać pustkę na własną rękę, co zakończyło się serią skandali.

W czasie misji w Afganistanie niemiecki kontyngent sięgnął po symbolikę Afrikakorps z czasów drugiej wojny. A w 2017 r., kiedy ministrem obrony Niemiec była Ursula von der Leyen, w jednych koszarach odkryto świetlicę wypełnioną pamiątkami Wehrmachtu.

Moim zdaniem nie są to pojedyncze, nieznaczące incydenty, ale znak szerszego problemu. I tym problemem – wbrew niemieckiej lewicy – wcale nie jest „prawicowy radykalizm" wewnątrz armii. Badania pokazują, że niewielki odsetek żołnierzy można wiązać ze środowiskami skrajnie prawicowymi. Prawda jest taka, że czy to się nam podoba, czy nie, część żołnierzy uważa Wehrmacht za legalną część swojej tradycji. Dzieje się tak, ponieważ ludzie, którzy są szkoleni, by walczyć, siłą rzeczy wzorują się na tym, co sprawdziło się w walce. Proszę nie zrozumieć mnie źle. Bundeswehra nie jest Wehrmachtem przebranym w inne mundury.



Generałowie Paul von Hindenburg i Erich Ludendorff podczas przeglądu wojsk niemieckich, 1917 r.

Jest to armia lojalnie oddana demokracji i Republice. Ale jeśli w niespokojnych czasach chcemy, by wojsko nas broniło, musimy pogodzić się z faktem, że potrzebuje ono wzorców, etosu wojownika. Tymczasem czynniki oficjalne, czyli generalicja i ministerstwo, nie były dotąd w stanie dać żołnierzom nawet namiastki symboli, które byłyby dla nich inspiracją.

Na przykład?

Weźmy pieśni wojskowe. Bundeswehra jest chyba jedyną armią na świecie, która nie śpiewa. Historyczny rodowód większości tradycyjnych niemieckich pieśni nie pasował bowiem do wartości RFN. Zakazano więc ich wykonywania, nie proponując nic w zamian. Nieoficjalnie żołnierze oczywiście dalej śpiewają utwory z czasów pierwszej czy drugiej wojny światowej. To obrazuje dylemat, który polega na konieczności pogodzenia trudnej niemieckiej historii z mentalnością wojowników. Bo tym, co trzyma jednostkę razem, kiedy zaczynają spadać bomby, nie są konstytucyjne wartości, ale etos i tożsamość grupowa.

Jakie jest wyjście? Trudno przecież wyobrazić sobie, by na niemieckich czołgach ćwiczących obok np. polskich jednostek na wspólnych manewrach NATO widniały symbole z czasów drugiej wojny. Nie można wrócić do tradycji formacji, która popełniała zbrodnie.

Zgadzam się. To niewyobrażalne i nikt do tego nie nawołuje. Mówię tylko, że musimy spróbować dać żołnierzom jakieś symbole, bo inaczej znajdą je sobie sami. Niedawno powstał dość ciekawy pomysł, aby skoncentrować się na ludziach, którzy w latach 50. i 60. tworzyli Bundeswehrę. Było to pokolenie, które walczyło w szeregach Wehrmachtu, miało doświadczenie wojenne i zwycięstwa na koncie, a jednocześnie później dowiodło swojej wierności regułom demokratycznym i konstytucji. Zaproponowano 25 nazwisk dowódców średniego szczebla, wśród których próżno szukać słynnych generałów Hitlera. Byli to ludzie z drugiego szeregu, biorący udział w walkach, ale niezaangażowani w zbrodnie wojenne. Z tego, co wiem, projekt był dyskutowany w ministerstwie, jednak reakcja zarówno ze strony generalicji, jak i polityków była negatywna i został on szybko utrącony. Pozostaje więc pustka, co uważam za niebezpieczne w kontekście zagrożenia ze strony Rosji. Bundeswehra nie będzie w pełni tego słowa armią, jeśli nie rozwiąże problemu tożsamości. Potrzebny jest kompromis, ale ten kompromis musi zawierać tradycję walki.

W takim razie, czy wyobraża pan sobie sytuację, że kiedyś patronem jednego z niemieckich batalionów pancernych zostanie ktoś taki jak Erwin Rommel, który nie był zatwardziałym nazistą i dowiódł swojej wartości jako dowódca?

To niemożliwe. Rommel jest niestrawny zarówno dla niemieckiej opinii publicznej, jak i dla naszych sojuszników. Wyobraźmy sobie reakcję Paryża! Nie, Rommel jest zbyt kontrowersyjną postacią. Najpierw był bohaterem hitlerowskiej propagandy, a potem za pięć dwunasta związał się z opozycją wobec Hitlera. To pokazuje, dlaczego niemieccy politycy są tak wyczuleni na przywoływanie tradycji wojskowych. Jeśli dziś nie są gotowi nawet na dyskusję o wspomnianych 25 dowódcach niższego szczebla z czasów wojny, to w przyszłości nie będą też gotowi na Rommla. Jest to oczywiście ogólny refleks nastrojów w niemieckim społeczeństwie. Nasza kultura zdecydowanie odrzuca jakiekolwiek nawiązania do Niemiec sprzed 1945 r., choć jak wiadomo instytucje RFN oraz samą Bundeswehrę tworzyli ludzie zaangażowani w III Rzeszę.

Pana książka to podróż w głąb bogatej wojskowej kultury. Można zapytać, dlaczego to wszystko takie ważne teraz, w XXI w.?

Odpowiedzi na to pytanie najlepiej udzieliła rzeczywistość. Agresja Rosji na Ukrainę wytrąciła nas ze snu, w którym wojna nie jest do pomyślenia. W sytuacji, gdy wojna toczy się dosłownie u granic NATO, to niezwykle ważne, by między społeczeństwem i armią była nić porozumienia. Są to oczywiście dwa różne światy, które często mówią innymi językami. Mam jednak na myśli porozumienie uwzględniające fundamentalne wartości obu stron. Tymczasem dziś opinia publiczna nie zdaje sobie sprawy z tego, że jednostki bojowe mają swoją specyficzną kulturę. Tożsamość grupowa, duma z przynależności do jednostki, gotowość do poświęcenia w imię wyższych wartości mają kolosalne znaczenie. Ostatecznie jeśli żołnierze mają nas bronić, muszą czuć, że akceptujemy ich świat.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

© ARCHIWUM BETTMANN/GETTY IMAGES

eprasa.pl f4a3c208bc

Koniec świata

Pięćset lat temu pod Mohaczem królestwo Węgier stawiło czoła najpotężniejszej machinie wojennej tamtych czasów.

ŁUKASZ WÓJCIK



Bitwa pod Mohaczem na tureckiej miniaturze

Dwa światy i dwóch młodych monarchów. Jeden był władcą swego losu, drugi – przedmiotem w rękach innych. Ludwik w dniu bitwy miał 20 lat, Sulejman był 10 lat starszy. Ich drogi przecięły się tylko raz – po południu 29 sierpnia 1526 r. niedaleko Mohacza. Dziś to styk Węgier, Chorwacji i Serbii. 500 lat temu w tym miejscu nastąpił „węgierski koniec świata", jak pisze wybitny historyk z Budapesztu, Pál Fodor.

Królestwo Węgier nie poległo jednak pod Mohaczem – ono przegrało dużo wcześniej. To jedno z najpotężniejszych państw średniowiecznej Europy oparło się wcześniej Mongołom (mimo przegranej bitwy na równinie Mohi w 1241 r.), potem skutecznie odbijało ataki osmańskie, tworząc na południu Kotliny Panońskiej linię zamków obronnych – dopiero upadek najważniejszego z nich, Belgradu, stał się zapowiedzią klęski.

Zanim do tego doszło, królestwo – stworzone przez Arpadów i Andegawenów – pod panowaniem Macieja Korwina (1458–90) osiągnęło własne apogeum i stworzyło jeden z najnowocześniejszych systemów obronnych w Europie. Jego kręgosłupem była tzw. czarna armia nazywana tak od czarnych elementów zbroi. Była to pierwsza regularna formacja państwowa na Starym Kontynencie od czasów rzymskich. Stałe wojsko dostające sowity żołd składało się ze świetnie wyszkolonych zawodowców, którzy regularnie gromili Turków.

Dobrze, dobrze

Tak kosztowna formacja wymagała ogromnych pieniędzy, ale Węgry były w XV w. jednym z najbogatszych państw Europy. Fundamentem dobrobytu były kopalnie miedzi i innych metali, a ten potencjał został jeszcze pomnożony przez współpracę Budy z Fuggerami, najpotężniejszą rodziną bankierską w ówczesnej Europie.

Wszystko to skończyło się na przełomie XV i XVI w. Odkrycie Ameryki w 1492 r. przesunęło centrum europejskiego handlu z Morza Śródziemnego, do którego Węgrzy mieli dostęp przez Chorwację, na Atlantyk. Hiszpanie zalali Europę kruszcami z Nowego Świata i Buda nagle straciła najważniejsze źródło dochodów. A na węgierskim tronie zasiadła dynastia Jagiellonów w wyjątkowo słabym wydaniu.

Nowym królem Węgier został dotychczasowy król Czech, Władysław, najstarszy syn naszego Kazimierza Jagiellończyka. Już w Pradze zwano go królem „Dobrze, dobrze", bo zawsze zgadzał się ze swoim otoczeniem. Chwiejny Władysław II, bo tak przejdzie do węgierskiej historii, ewidentnie pasował Habsburgom, którzy z pobliskiego Wiednia próbowali kontrolować Budę. Symbolem dominacji ich interesów była jedna z pierwszych decyzji nowego króla – rozwiązanie czarnej armii.

Gdy Władysław doczekał się syna, Habsburgowie natychmiast złożyli Węgrom obietnicę związków małżeńskich. Ludwik, bo tak na imię dostał pierworodny, miał pojąć za żonę Marię Habsburg, siostrę przyszłego cesarza Karola V. Wiedeń zagwarantował sobie również opiekę nad nieletnim następcą tronu na wypadek śmierci Władysława.

Ta nadeszła w 1516 r., gdy Ludwik miał zaledwie 10 lat. Młody król trafił w ręce habsburskich wychowawców, wśród których szczególną rolę odgrywał Jerzy Hohenzollern, margrabia Brandenburgii. Za jego sprawą dwór stał się „jaskinią rozpusty", jak pisali szpiedzy Zygmunta Starego. Ludwik swoje następne lata spędził w niemal zupełnym oderwaniu od spraw państwowych, którymi zarządzali Habsburgowie i ich ludzie. ▶

© ALAMY/BE&W

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ Król Węgier zgodnie z układem wiedeńskim z 1515 r. poślubił Marię, ale jak się później okazało, jej cesarski brat zaabsorbowany rewoltą Marcina Lutra i groźbami wojny ze strony Francji stracił zainteresowanie Budą. Z drugiej strony Turków do wojny z Węgrami popychał król Francji, Franciszek I, który chciał się odegrać na Habsburgach za porażkę w północnych Włoszech – w ten sposób Francja, najstarsza córa Kościoła, zawiązała sojusz z sułtanem przeciwko arcykatolikom z Wiednia i Budy.

Dzieci dewszirme

W 1521 r. w ręce Turków wpadł Belgrad, „brama do Królestwa Węgier". A był to tylko jeden z serii sukcesów Imperium Osmańskiego, które za sprawą Selima I Groźnego, sułtana w latach 1512–20, stało się zagrażającą Europie potęgą. Część Persji, Syria, Palestyna, Mekka i Medyna, Egipt – to tylko niektóre z jego podbojów. Gdy umierał, Selim zostawiał następcy jedno z największych państw świata, 1,5 mln km kw., 12–14 mln poddanych na trzech kontynentach.

Źródłem jego potęgi była doskonała administracja oparta na systemie dewszirme. Chodzi o brankę chrześcijańskich chłopców z posiadłości imperium na Bałkanach – trafiali oni do Konstantynopola, gdzie byli obrzezywani, przechodzili na islam i stawali się materiałem na urzędnika (lub żołnierza) idealnego jak na tamte czasy, bo nieuwikłanego w zależności rodzinne, którego jedyną „matką" było państwo.

Tacy młodzi wraz z upływem lat byli kwalifikowani do poszczególnych służb zgodnie ze zdolnościami. W szczytowym okresie imperium, tj. w połowie XVI w., państwo osmańskie utrzymywało 170 tys. ludzi w „sferze budżetowej", w tym wykwalifikowanych urzędników znających języki oraz 60-tysięczną armię.

Jej trzon stanowiły najsłynniejsze „dzieci" dewszirme, czyli janczarowie. Doskonale wyszkolona, zawodowa piechota. Janczarowie zaczynali jako gwardia przyboczna sułtana, ale ich liczebność szybko przekroczyła 40 tys. Można było ich rozpoznać po białej czapie przypominającej nogawkę od spodni zgiętą w połowie, potężnym muszkiecie (w XVI w. często produkcji węgierskiej...) i jataganie, białej broni krótszej od szabli, o podwójnej krzywiźnie ostrza.

Janczarowie byli siłą uderzeniową najbardziej nowoczesnej organizacji



Ludwik II Jagiellończyk, portret pędzla Hansa Krella, 1522 r.

państwowej w tej części ówczesnego świata, dużo bardziej rozwiniętej od pogrążonych w feudalizmie Węgier. I na czele tego organizmu w 1520 r. stanął polityczny i wojskowy geniusz.

Sulejman Wspaniały osobiście poprowadził 13 kampanii wojennych, niemal podwajając terytorium imperium. Wysoki, krzepki, o szczupłych, kościstych rysach twarzy. Był wyrafinowany w obyciu, mówił po arabsku, serbsku, persku i w urdu. Świetnie wykształcony w sztuce wojennej, często przywoływał słynne manewry Aleksandra Wielkiego. Pisał poezję, był wielkim mecenasem filozofów i artystów. A jednocześnie odznaczał się wyjątkową brutalnością.

Gdy pojawiły się plotki, że jego syn, Şehzade Mustafa, szykuje bunt, kazał go udusić. Ale gdy 29 sierpnia 1526 r. pod Mohaczem stanął nad ciałem króla Czech i Węgier, powiedział podobno: „Rzeczywiście, wystąpiłem przeciwko niemu z bronią w ręku. Nie chciałem jednak, aby został tak uśmiercony, zanim ledwo zakosztował słodyczy życia i władzy królewskiej".

Będę wam towarzyszył

Popularne jest wyobrażenie, że bitwa to zorganizowana sekwencja decyzji w ramach ogarnianego przez dowódców teatru działań. Na pewno nie było tak w przypadku Mohacza. Tam większe i mniejsze potyczki, szarże konnicy i wymiany ognia rozgrywały się na obszarze ok. 57 km kw. (8 tys. boisk piłkarskich). Raz wydany rozkaz żył własnym życiem, bo niższy dowódca tracił kontakt z centrum dowodzenia.

Pod Mohaczem węgierską pięścią miała być ciężka jazda złożona z notabli, wspomagana przez lekką serbską husarię, zaprawioną w granicznych potyczkach z Turkami. W sumie 12 tys. ludzi na koniach. Kolejne 10 tys. służyło w piechocie składającej się głównie z Węgrów i Chorwatów oraz z oddziałów landsknechtów – zaciężnych piechurów z krajów niemieckojęzycznych, zasponsorowanych Ludwikowi przez papieża i Wenecję.

Na placu boju stawiło się również ok. 1500 Polaków pod dowództwem Lenarta Gnoińskiego – Zygmunt Stary nie mógł posłać kuzynowi oficjalnych posiłków, bo obowiązywał go traktat pokojowy z Sulejmanem. Oficjalnie więc Gnoiński i reszta byli tam prywatnie (ale za zygmuntowskie pieniądze). W sumie ok. 25 tys. Węgrów i ich sojuszników miało stanąć przed znacznie liczniejszym wrogiem – siły osmańskie szacuje się na 80 tys.

Mechanizm porażki był dość charakterystyczny dla feudalnej Europy. Ośmieleni słabymi rządami Ludwika notable chcieli wykorzystać osmański najazd do wymuszenia kolejnych ustępstw ze strony króla. Odwlekali więc koncentrację wojsk, tłumacząc m.in., że nie będą służyć pod wyznaczonym przez Ludwika Stefanem Batorym (ojcem przyszłego króla Polski) i staną do walki tylko pod osobistym dowództwem władcy.

Ostatecznie Ludwik ustąpił. Miał wtedy przewrotnie powiedzieć: „Będę wam towarzyszył do miejsca, gdzie inni nie pójdą beze mnie". Ale skutkowało to opóźnieniem, które pozwoliło Sulejmanowi bez przeszkód przekroczyć Drawę, dopływ Dunaju (dziś rzekę graniczną między Węgrami i Chorwacją), a wtedy najważniejszą przeszkodę w drodze na północ. Z tureckich wspomnień wynika, że Sulejman szykował się do ciężkich walk nad Drawą i nie mógł zrozumieć takiego zaniedbania.

Kolejne opóźnienie wynikło z faktu, że Ludwik postanowił czekać na posiłki. Miały one nadejść z dwóch stron. Ze wschodu ruszyła 10-tysięczna armia siedmiogrodzka pod dowództwem Jana Zápolyi, przyszłego króla Węgier. Ten najpierw zwlekał, tłumacząc się koniecznością obrony Siedmiogrodu, potem

eprasa.pl f4a3c208bc

nalegał, aby Ludwik na niego zaczekał. Ostatecznie nie dotarł na czas. Z zachodu szły na pomoc Ludwikowi 5-tysięczne siły chorwackie dowodzone przez Krzysztofa Frankopana, przodka znanego dziś brytyjskiego historyka. Ale Frankopan też nie zdążył.

Najbliżsi doradcy Ludwika, w tym arcybiskup Pál Tomori, przekonywali go, aby jeszcze nie wydawał bitwy, co jednak oznaczałoby odwrót przed postępującymi Turkami. Zdaniem węgierskiego mediewisty Jánosa B. Szabó, król Węgier obawiał się jednak, że zawracające wojsko straci ducha walki. Dodatkowo owe 200 km dzielące Mohacz od Budy dawało szanse stolicy na zorganizowanie obrony w przypadku przegranej.

Król postawił na swoim, ale przygotowania do bitwy zaczęły się od wyboru... dwóch dowódców: wspomnianego Tomoriego i węgierskiego notabla Jerzego Zápolyi, brata dowódcy armii siedmiogrodzkiej. Tomori to postać niezwykła: ten doświadczony żołnierz został franciszkaninem, a potem arcybiskupem Kalocsy. Już jako duchowny bił się na krucjatach i przez lata odpierał osmańskie ataki na południową granicę królestwa. Turcy nazywali go „przeklętym księdzem".

W tym samym czasie armia osmańska dokonywała logistycznych cudów. W niecałe 80 dni przemierzyła ponad tysiąc kilometrów przez rozmokłe Bałkany. Przy czym żołnierzy obowiązywał wydany przez Sulejmana zakaz rekwirowania żywności – Turcy zawczasu przygotowali po drodze „bazy logistyczne" zaopatrywane przez flotę 800 statków pływających w górę i w dół Dunaju.

Porywczy jak Nil

Na wybrane przez Węgrów miejsce bitwy Turcy dotarli wczesnym popołudniem 29 sierpnia. Była to równina zalewowa dotykająca Dunaju. Wydawała się wystarczająco płaska, aby zapewnić konnicy swobodę manewru, ale w rzeczywistości była poprzecinana podmokłymi wąwozami przechodzącymi w bagnisty las.

Węgrzy ustawili armię w dwuliniowym szyku. Pierwszą dowodził Tomori, drugą – Zápolya (stał tam również Ludwik). Węgrzy, który kilkanaście dni czekali w tym miejscu na wroga, byli wypoczęci. Turcy z kolei dotarli w zupełnie nieznane im miejsce po kilkunastokilometrowym marszu. Jeszcze w drodze



Sulejman wspaniały, portret pędzla Tycjana (lub kogoś z jego kręgu), XVI w.

Sulejman ustawił swoich ludzi w trzech liniach, wystarczająco głębokich, aby były w stanie przetrwać szarżę ciężkiej jazdy.

Gdy pierwsza linia turecka zaczęła schodzić z kilkunastometrowej skarpy na plac przyszłego boju, zagrzmiały węgierskie armaty. Zaraz później na Turków ruszył Tomori z kilkoma tysiącami ciężkiej jazdy. „Przeklęty ksiądz" siłą rozpędu rozbił czołowe szeregi przeciwnika, ale potem ugrzązł. Jego sytuacja pogarszała się z minuty na minutę, gdy kolejne osmańskie jednostki dołączały do walki. Dziś wśród węgierskich historyków popularna jest teza, że pozornie niezorganizowane wejście Turków na pole bitwy było prowokacją – chodziło o związanie walką głównych sił węgierskich.

Zaledwie po godzinie całe siły osmańskie ustawiły się już w szyku bojowym. Nadwątlone szarżą Tomoriego szeregi rozstąpiły się i przed węgierską jazdą stanęło 2 tys. uzbrojonych w arkebuzy janczarów – strzelali w dziewięciu kolejnych szeregach, klęcząc i stojąc. Kilku rycerzy z prawego skrzydła Tomoriego zbliżyło się do sułtana, ale zostali zmieceni przez gwardię Sulejmana. Ten miał pole do kontrataku. Zagrzmiała też osmańska artyleria.

Rozproszony trzon węgierskiej jazdy zaczął się cofać w niewielkich grupkach w stronę własnego obozu. Wtedy zginął Tomori. Turecki kronikarz tak to wspomina: „Pokryty ranami jak wściekły pies, jeszcze raz otrząsnął się z ran. I kiedy rzucił się do ataku, porywczy jak Nil, wydał okrzyk niczym trąbienie słoni, gdy tygrysy i lwy uciekają przed nimi".

Gdy niedobitki węgierskiej jazdy wróciły do obozu, Turcy byli już na miejscu, zaczynała się rzeź. Bez wsparcia konnicy czworoboki węgierskiej piechoty były zupełnie odsłonięte, ostrzeliwane z osmańskich armat i muszkietów. Potem w ruch poszły jatagany i w kilkadziesiąt minut obrońcy zostali wycięci w pień. Wczesnym wieczorem bitwa dobiegła końca. Zginęło kilkuset węgierskich notabli, siedmiu biskupów i ok. 15 tys. żołnierzy. Cały wieczór Turcy zabijali jeńców, po czym z ich głów ułożyli kopiec przed namiotem sułtana.

Więcej straciliśmy

Losy obu władców rozeszły się po Mohaczu. Poza wersją o odnalezieniu ciała Ludwika przez samych Turków funkcjonuje też inna: węgierski król zarządził odwrót resztek sił pod osłoną nocy i gdy przekraczali niewielką rzekę Csele, koń się pod nim przewrócił, a on, obciążony zbroją, nie wypłynął na powierzchnię. Z kolei Sulejman – zdezorientowany tak łatwym zwycięstwem – nakazał rozstawić obóz warowny w pobliżu Mohacza i czekał tam trzy dni na nadejście głównych sił węgierskich. Był przekonany, że starł się tylko z przednią strażą ich armii.

Kilka dni później wojska osmańskie zajęły niebronioną Budę, dwór schronił się na zamku w Pozsony, czyli dzisiejszej Bratysławie. Sulejman zrezygnował jednak z obsadzenia na stałe węgierskiej stolicy – wycofał się z miasta, które zajął na stałe dopiero w 1541 r. Po bitwie pozostałe przy życiu podzielone węgierskie elity wybrały dwóch królów: Ferdynanda I Habsburga (brata Karola V) i wspomnianego Jana Zápolyę. Ten pierwszy rządził terenami sąsiadującymi z Austrią, władza tego drugiego sięgała niewiele poza Siedmiogród. Centralną część królestwa, łącznie z Budą, zajęli Turcy.

W ten sposób 500 lat temu, po 500 latach istnienia zakończonych bitwą, która nie trwała nawet trzech godzin, królestwo Węgier rozpadło się i straciło niepodległość na ponad trzy wieki, odzyskując ją w pełni dopiero w 1918 r. Do dziś, gdy Węgrzy przeżywają ciężkie chwile, pocieszają się, mówiąc: „Więcej straciliśmy pod Mohaczem".

ŁUKASZ WÓJCIK

© WIKIPEDIA, WIKIMEDIA

eprasa.pl f4a3c208bc

Duchowość bez bogów

Szymon Zdziebłowski, **Bogowie Polski. Szamani, megality i zapomniane słowiańskie bóstwa**, Rebis, Poznań 2026, s. 312



Tytuł jest nieco przewrotny. W większości „Bogów Polski" bogów po prostu nie ma. Autor nie rekonstruuje panteonów kolejnych mieszkańców ziem polskich, zamiast tego prowadzi czytelnika przez świat, w którym niemal każdy wniosek opatrzony jest znakiem zapytania. Trudno się temu dziwić, ponieważ pradziejowa duchowość pozostaje niemal nieuchwytna, a jej interpretacja nieuchronnie filtrowana jest przez nasze współczesne wyobrażenia o religii. Książka opowiada o nietypowych pochówkach, monumentalnych budowlach i tajemniczych przedmiotach, które jedynie sugerują, jak mogły wyglądać rytuały i wierzenia ich twórców. Czy licząca 115–130 tys. lat kość z Dziadowej Skały pokryta siedemnastoma nacięciami jest najstarszym znanym zapisem na ziemiach polskich, kalendarzem, przedmiotem rytualnym, a może zwykłym narzędziem? Zdziebłowski przedstawia kolejne hipotezy, ale żadnej nie ogłasza ostateczną prawdą. Ta intelektualna uczciwość stanowi zaletę książki.
Czytelnik dowiaduje się o śladach rytualnego kanibalizmu, szamanach, zagadkowych rondelach, megalitycznych grobowcach oraz słowiańskich bóstwach, które poznajemy właściwie dopiero z czasów, gdy rodzima religia chyliła się ku upadkowi pod naporem chrześcijaństwa. Zabrakło może miejsca dla wierzeń Celtów i Germanów, którzy przez stulecia zamieszkiwali ziemie dzisiejszej Polski, jednak mimo to jest to ciekawy przegląd różnych form duchowości naszych przodków.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Monuments Man

Tomasz Siewierski, Artur Wójcik, **Karol Estreicher**, Państwowy Instytut Wydawniczy 2026, s. 416



W czerwcu 1940 r. w Bordeaux na pokład polskiego drobnicowca „Chorzów" wniesiono 74 skrzynie z wawelskimi skarbami: arrasami i Szczerbcem. Pilnował ich Karol Estreicher. Statek zabierał też uchodźców, m.in. Mieczysława Grydzewskiego i Antoniego Słonimskiego. Gdy jeden z marynarzy oznajmił, że Żyda na pokład nie wpuści, Estreicher ostro go przywołał do porządku i poeta wszedł po trapie. Do Anglii „Chorzów" płynął wolno, zagrożony atakiem Luftwaffe, a na plandece przykrywającej dzieła sztuki grano w brydża. Ta scena brzmi jak początek filmu sensacyjnego, ale wydarzyła się naprawdę. Estreichera można nazwać polskim Monuments Manem: w czasie wojny śledził losy zrabowanych dzieł sztuki i tworzył kartoteki strat, a po 1945 r. tropił obiekty ukryte w zamkach, bunkrach i prywatnych kolekcjach. Jemu zawdzięczamy powrót do Krakowa ołtarza Wita Stwosza oraz obrazów Leonarda i Rembrandta. Skąd brał informacje o rabunku? Jak trafił na ślady dzieł wywiezionych przez Hansa Franka i kolekcji Hermana Göringa? Biografia Tomasza Siewierskiego i Artura Wójcika jest napisana wartko, wykorzystuje imponujący materiał źródłowy – także dzienniki Estreichera. Autorzy pokazują jego misję do USA w 1942 r., kontakty z amerykańskimi historykami sztuki i muzealnikami oraz rolę w uświadomieniu Zachodowi skali grabieży. Nie tworzą jednak pomnika: odnotowują również jego choleryczny temperament. Dzięki temu to nie tylko opowieść o ratowaniu dziedzictwa, lecz także portret człowieka z krwi i kości.

MARCIN ZAREMBA

Perspektywa admiratora

Jonathan Keates, **Wenecja. Niezatapialna**, przekład Maciej Miłkowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 621

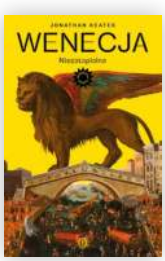

Ostatnimi laty ukazało się wiele publikacji o potędze Wenecji, ale żadna z nich nie dała okazji, by naprawdę ją zobaczyć. Na tym tle książka Jonathana Keatesa zasługuje na wyróżnienie – dzięki kilkuset ilustracjom możemy prześledzić ponad tysiąc lat kupieckiej republiki. Za sprawą dzieł wspaniałych malarzy, rzeźbiarzy i architektów obserwujemy jej wzloty i upadki z punktu widzenia samych Wenecjan. Nie jest to standardowa historia miasta. Keates, choć posługuje się aparatem historyka, nie wchodzi w rolę zimnego badacza. Bez skruchy przyjmuje perspektywę admiratora Najjaśniejszej Republiki oraz jej osiągnięć. Nie wpływa to w ujemny sposób na wartość książki – przeciwnie, jako miłośnik miasta bezlitośnie wytyka błędy i zaniechania jego przywódców. Autor ma oko do powiązań świata sztuki i polityki: dla niego obrazy, kamienice, pałace mówią coś ważnego na temat kondycji państwa. Przypomina, że Wenecja była wzorcową republiką (określenie wenecki przez wieki oznaczało koncepcje ustrojowe, które przedkładały interesy państwa nad interesy dynastyczne). Keates doprowadza swoją opowieść do współczesności i stawia pytanie, czy Wenecja zagrożona przez masową turystykę oraz powodzie przetrwa do XXII w. Przyszłość miasta – tak kiedyś, jak i dzisiaj – wydaje się niepewna.

TOMASZ TARGAŃSKI

Wojna i pokój

Andrzej Chwalba, Wojciech Harpula, **Nie będzie Niemiec… Polska–Niemcy. Tysiąc lat wojny i pokoju**, Wielka Litera, Warszawa 2026, s. 406



Czekaliśmy na tę książkę. Na refleksję i jakąś sumę wokół ponad 1000-letniego polsko-niemieckiego gorącego sąsiedztwa. A to czas pokoju, a to czas wojny. Wielowątkowa historia złożonych relacji, wpływów i zależności. Od zaś aż do teraz. Ktoś kiedyś zapytał, a ile dobra płynęło z Niemiec do Polski, a ile zła. Kto to wyliczy? Te relacje obrosły legendami, wzajemnymi pretensjami, ideologiami i propagandami.
Dwóch autorów. Nie po raz pierwszy swobodnie poruszają się po dziejach, szukają dominant, ale też chętnie szukają w nich słabości, dziur, jak też – jak gdyby – zawahań. To jest też historia antypolskości i antyniemieckości, z akcentami współczesnymi. Rodzący się w XIX w. niemiecki nacjonalizm był coraz bardziej butny, agresywny, między innymi wobec Polski. Parł do przodu aż po wojny światowe i zbrodnie ludobójcze. Polska antyniemieckość była obronna (stąd tytuł książki), gdzie to było możliwe i konieczne, także – oczywiście – na polu kultury, w tym masowej, choćby w PRL. Wydawało się po 1989 r., że to minęło. Nastał czas pokoju i… Wspólnoty.
Ale nie. A to „dziadek z Wehrmachtu", a to „ukryta opcja niemiecka". Używana w polskiej polityce antyniemieckość jest w swojej istocie antyeuropejskością w dzisiejszej geopolityce i rzeczywistości.

WIESŁAW WŁADYKA

© MP (4)

eprasa.pl f4a3c208bc

BOGOWIE ZA ŻYCIA



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl f4a3c208bc



film

Pisać, aby żyć 5/6

Gorzkie święta (Amarga Navidad), reż. Pedro Almodóvar, prod. Hiszpania, 111 min, w kinach od 28 sierpnia

Nie pierwszy raz Pedro Almodóvar stosuje metodę nazywaną przez niego „autofikcją". Szlifuje ją od dekad, lecz tu osiąga ona punkt szczytowy. Opowieść zaczyna się w 2004 r. od historii Elsy (**Bárbara Lennie**) – alternatywnej reżyserki poruszającej się po szemranych dzielnicach, nękanej kryzysem twórczym i potwornymi bólami głowy. Po chwili jednak się okazuje, że Elsa to jedynie postać ze scenariusza pisanego współcześnie przez Raúla (Leonardo Sbaraglia), uznanego filmowca, który w ten sposób próbuje przełamać własną blokadę artystyczną. Hiszpański reżyser pyta, jak dalece może posunąć się twórca, wykorzystując prawdziwe cierpienia innych i karmiąc nimi swoje dzieło. Momentami wikła się w nazbyt barokową strukturę, do czego jednak widzowie zdążyli się już przyzwyczaić. W „Bólu i blasku" reżyser obsadził w roli samego siebie Antonio Banderasa. W „Gorzkich świętach" Almodóvar przepisuje swoje doświadczenia na kobietę. Elsa nie jest jednak zwykłą muzą ani tradycyjną bohaterką – cierpi mocniej, kocha bardziej bezkompromisowo i eksploruje żałobę w sposób, który dla zablokowanego Raúla jest niedostępny. To fascynujący, psychologiczny gabinet luster, w którym kobiecość staje się – który to już raz – bezpiecznym schronieniem dla lęków artysty. Czy to zatem progres, czy tylko odgrzewanie starych motywów? Almodóvar bezustannie cytuje samego siebie. Mamy tu ikoniczne ujęcia z lotu ptaka, znajome wnętrza nasycone agresywnym, nienaturalnym wręcz kolorem, a w tle wybrzmiewa rozdzierające „La Llorona" w wykonaniu Chaveli Vargas. Dla kogoś, kto szuka w kinie Hiszpana rewolucji formalnej, ten film może wydać się estetycznym autoplagiatem, powtórką z rozrywki znaną ze „Złego wychowania" czy z „Przerwanych objęć". A jednak na poziomie intelektualnym i emocjonalnym to wyraźny krok naprzód. Almodóvar zrzucił maskę otoczonego kultem odważnego prowokatora i w wieku 76 lat nakręcił bardzo uczciwy, a przy tym wielce zabawny film o stanie ducha artysty pragnącego oszukać nadciągającą starość rozpaczliwym poszukiwaniem twórczej weny.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Przymusowe wakacje 4/6

Sunny Dancer, reż. George Jaques, prod. Wielka Brytania, 106 min, w kinach od 28 sierpnia

film



Połączenie opowieści o dojrzewaniu i umieraniu zazwyczaj skutkuje jakimś rodzajem melodramatycznego szantażu („Gwiazd naszych wina") albo spłyceniem poważnego tematu. „Sunny Dancer" też nie unika wszystkich gatunkowych pułapek, lecz wystarczająco inteligentny scenariusz i fantastyczna rola **Belli Ramsey** (która potwierdza, że jest jedną z najbardziej wszechstronnych aktorek młodego pokolenia) wynoszą film ponad przeciętny poziom. Siedemnastoletnia Ivy przez długi czas walczyła z białaczką. Choroba jest w remisji, lecz po wielu miesiącach spędzonych w szpitalach dziewczyna wciąż niezbyt dobrze radzi sobie z emocjami, nawiązywaniem kontaktów, relacjami z rówieśnikami. Jej rodzice widzą ratunek w wysłaniu córki na letni obóz dla młodych ludzi chorujących na raka. Zbuntowanej przeciwko światu nastolatce przymusowe wakacje początkowo wydają się karą, lecz niespostrzeżenie okażą się lekcją tego, co w życiu powinno być najważniejsze. Zarys fabuły wydaje się schematyczny, lecz animuszu dodają mu świetnie napisane dialogi i dość wisielcze poczucie humoru, a przede wszystkim autentyczna empatia w stosunku do młodocianych bohaterów. To wciąż kino, które chwilami gra z uczuciami widzów w wyrachowany sposób, ale ma przy tym sporo niewymuszonego wdzięku. A i młodzieżowy komediodramat, który ma do powiedzenia coś ważnego i niebanalnego, to wcale nie tak częste zjawisko.

Młodzieżowy komediodramat z gwiazdą „The Last of Us" w głównej roli

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl f4a3c208bc

serial

Pięść sprawiedliwości 4/6

Reacher 4, twórca: Nick Santora, 8 odc., Prime Video



Wielki – w sensie dosłownym – **Alan Ritchson** wraca w kolejnej odsłonie opartych na powieściowym cyklu Lee Childa przygód Jacka Reachera: byłego żołnierza, obecnie wagabundy przemierzającego autobusami kraj wzdłuż i wszerz, a przede wszystkim samozwańczego szeryfa Ameryki. Wymierza sprawiedliwość pięściami jak bochny i tym, co pod te pięści się nawinie, bez mrugnięcia okiem morduje złych, bez pytania ratuje dobrych i bezbronnych, dzięki niemu „świat jest lepszym miejscem do życia". W najnowszej porcji odcinków, na podstawie książki „Jutro możesz zniknąć", 13. tomu powieściowej serii, Reacher współtworzy malowniczą grupkę, która formuje się wokół sprawy podejrzanego samobójstwa pracownicy rządowej i zaginionego pendrive'a z tajemniczą, ale ewidentnie groźną zawartością. Ta ostatnia interesuje rozmaite trzyliterowe amerykańskie agencje, pewnego kongresmena o prezydenckich ambicjach, tabuny wynajętych siepaczy oraz dwie kobiety z Indonezji szukające zemsty. „Reacher", nazywany rozrywką dla tatuśków, nie odkrywa nomen omen Ameryki, łączy znane, żeby nie powiedzieć zgrane motywy, ale na ogół robi to sprawnie, bohater Ritchsona oprócz mięśni ma też charyzmę, inteligencję i sarkastyczne poczucie humoru. A nowy sezon można pochwalić za widowiskowe walki, ale też za chemię między nowymi bohaterami.

ANETA KYZIOŁ



galeria

„Convergence", 2026 r.

Fotowyplatanka 4/6

Debora Medici-Guetta, Landed, Muzeum Nadwiślańskie, Kazimierz Dolny, do 30 listopada

Sztuka XX i XXI w. kipiała i nadal kipi od formalnych eksperymentów. Obrazy już dawno wyszły z ram, rzeźba doświadczyła bodaj wszystkich możliwych materiałów, z krwią, kurzem i światłem na czele. Wszystko łączy się ze wszystkim, by opowiedzieć o czymś lub coś wyrazić w nowy, niespotykany dotychczas sposób. Bohaterka wystawy, włosko-amerykańska artystka Medici-Guetta, której żywiołem jest fotografia, postanowiła ów gatunek sztuki połączyć z… doświadczeniami tekstylnymi. Zatem swoje zdjęcia nie tylko wywołuje na papierze, ale tnie na cienkie paseczki, plecie jak tkaninę, tworząc zaskakujące, lekko reliefowe struktury. A równocześnie multiplikuje niektóre motywy, jakby zapętlała je w czasie, tworzy nienachalne kolaże, podkreślając znaczenie pewnych motywów. Powstają w ten sposób obrazy zamazane, igrające z fizykalną rzeczywistością, nieco przypominające efekt rozpikselowania, choć chyba właściwszym określeniem jest rozedrganie. Artystka swobodnie nawiguje po oceanie tematów. Najwięcej jest pejzaży miejskich, dusznych, zatłoczonych, chaotycznych. Ale nie brakuje przyrody pokazywanej na granicy abstrakcji czy nawet portretów. To trochę wizualne łamigłówki; chwilami zabawne, chwilami zajmujące. Czy jednak odmieniają naszą percepcję, odkrywają nieznane estetyczne lądy i wywracają nawykową wizualność? Chyba jednak nie.

PIOTR SARZYŃSKI

festiwal

Szeroki romantyzm

8. Festiwal Romantycznych Kompozycji, Warszawa, 28 sierpnia–2 września



Twórczość Józefa Elsnera, nauczyciela Fryderyka Chopina, jest punktem wyjścia festiwali organizowanych przez Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena, a odbywających się w warszawskich Łazienkach Królewskich na przełomie sierpnia i września. W tym roku hasło „Elsner i jego następcy" można czytać bardzo szeroko: obok dzieł twórców epoki romantyzmu (Chopin, Liszt, Schumann, Brahms) usłyszymy też o wiele późniejsze. Pojawi się twórczość kompozytorek: Clary Schumann, Marii Szymanowskiej, a także legendarnej nauczycielki kompozycji z XX w., u której studiowało też wielu polskich twórców – Nadii Boulanger. Wśród wykonawców znajdą się laureaci Paszportów POLITYKI: Yehuda Prokopowicz, Aleksandra Kuls (tym razem w triu z Antonim Wroną i Krzysztofem Książkiem) oraz duet Karolina Mikołajczyk i Iwo Jedynecki. Ponadto wystąpi obiecujący młody wiolonczelista Krzysztof Michalski, jeden z ulubieńców polskiej publiczności na ostatnim Konkursie Chopinowskim – Piotr Pawlak, a na zakończenie – wciąż zbyt mało w kraju znany znakomity pianista polsko-amerykański Adam Golka z ciekawym programem „Opowieści przy fortepianie".

DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: beethoven.org.pl/festiwale-i-projekty/festiwal-romantycznych-kompozycji

© GUTEK FILM, ROBERT WILSON/TRUE, MUZEUM NADWIŚLAŃSKIE, PRIME VIDEO, MP

eprasa.pl f4a3c208bc

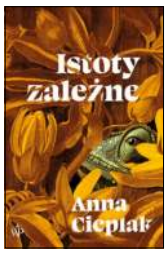

Zjawisko za-za 4/6

Anna Cieplak, **Istoty zależne**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 300



Anna Cieplak zawsze miała słuch na młodych ludzi i tak jest w nowej powieści, która tym razem nie rozgrywa się w Polsce, lecz w Ekwadorze, na wyspach Galapagos, gdzie przyroda jest bajeczna, ale sytuacja społeczna grozi wybuchem. W ten tygiel porywanych ludzi i zamieszek trafiają 18-latka Lena i Alicja, jej dawna macocha. Alicja rozstała się z tatą Leny dawno temu, ale teraz próbuje odbudować relacje z Leną, z którą kiedyś były blisko. Tymczasem robi się coraz niebezpieczniej, obie są o krok od katastrofy. Cieplak bardzo dobrze oddaje tę narastającą grozę i ciekawie portretuje uzależnioną od leków współczesną nastolatkę, za którą konwersację w mediach społecznościowych prowadzi czat. Ta powieść jest przygodowa i jednocześnie opowiada o kobietach i trosce. O tym, jak czasami przybiera to formę zależności, przejmowania kontroli nad czyimś życiem i zamartwiania się o wszystkich dokoła aż do utraty sił. Alicja nazwała taką toksyczną zależność „za-za" i nagrała o tym podkast. Cieplak opowiada też przy okazji o zacieraniu granic publicznego i prywatnego, o tym, jak intymność napędza choćby zasięgi podkastu i co za tym idzie. W tym zjawisku „za-za" może rozpoznać się wiele kobiet – gdy się nie troszczą, czują się niepotrzebne, wyrzucone na margines. Powieść Cieplak pokazuje inna możliwości troski – przyjęcie, że jesteśmy istotami zależnymi i w poczuciu odpowiedzialności za innych jest sens: „Jesteśmy gdzieś, przy kimś, i to też jest wybór".

JUSTYNA SOBOLEWSKA

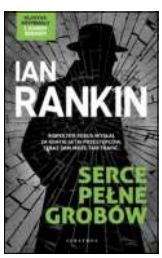

Stare grzechy 5/6

Ian Rankin, **Serce pełne grobów**, przeł. Robert Ginalski, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2026, s. 448

John Rebus już dawno poszedł na emeryturę, lecz zamiast oddawać się przyjemnościom życia, nie potrafi uwolnić się od pracy. Angażuje się nieoficjalnie w śledztwo dotyczące przemocy w rodzinie – sprawcą jest policjant, z którym sam kiedyś miał na pieńku – a oprócz tego prowadzi ryzykowną grę z dawnym arcywrogiem, gangsterem Caffertym. Tylko czy naprawdę Rebus nie potrafi żyć bez policyjnej roboty, czy raczej nie umie pogodzić się z własną starością i z tym, że świat wokół niego coraz gwałtowniej się zmienia? A że stare grzechy rzucają długie cienie, trudna przeszłość dopadnie także emerytowanego inspektora. „Serce pełne grobów" jest nie tylko udanym kryminałem, jak to u Rankina, opartym raczej na błyskotliwych dialogach niż fabularnych fajerwerkach, lecz również powieścią o przemijaniu. Sporo w niej nostalgii, lecz także rozczarowania i goryczy. Szkocki autor po raz kolejny dowodzi, że narracyjny talent idzie u niego w parze ze społeczną wrażliwością i wyczuciem wagi tematu. W jego powieściach Edynburg, nie wyłączając jego szemranych okolic i brudnych zaułków, zawsze był czymś więcej niż barwnym tłem sensacyjnej intrygi. Seria o Rebusie mimochodem stała się kroniką zmian zachodzących w mieście. A w „Sercu…" dawny Edynburg coraz szybciej odchodzi w przeszłość. Miasto, które powoli budzi się z pandemicznego letargu, staje się nieobliczalne: z jednej strony dąży ku nowoczesności (na którą Rebus patrzy z wyraźną niechęcią), z drugiej porzuca zasady, jakimi kiedyś kierowali się nawet bandyci.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Zaślepnąć na prawe oko 5/6

Jacob Kushner, **Biały terror. Neonaziści w Niemczech**, przeł. Mariusz Gądek, Wydawnictwo Czarne 2026, s. 395

Amerykański reporter Jacob Kushner fascynująco rekonstruuje losy trójki przyjaciół – młodych neonazistów z Turyngii, którzy przez ponad dekadę zabijali imigrantów bądź Niemców o imigranckich korzeniach. Łącznie dziesięć mordów. Jak mogło do tego dojść? Gdy na początku lat 90. prawicowy ekstremizm w Niemczech zaczął uderzać w imigrantów, politycy establishmentu – od prawa do lewa (z nielicznymi wyjątkami) – poparli ograniczenie prawa azylowego. Dla ludzi faszyzującej fali był to sygnał, że mogą czuć się bezkarni, że państwo czasem kiwnie palcem, ale zasadniczo nie będzie się mieszać. Potem służby państwa – policja, kontrwywiad, prokuratura, sądy – nieraz prześlepiały, a niekiedy kryły przestępstwa z nienawiści etnicznej. Szykanowano rodziny zamordowanych ofiar, a dziennikarze pisali z pogardą o „kebabowych zabójstwach", sugerując, że to porachunki dilerów albo tzw. zabójstwa honorowe. Nikt, oprócz ofiar i garstki aktywistów, nie chciał słyszeć, że zabójcami mogą być biali Niemcy. Dlatego spośród wszystkich spraw, o jakich traktuje ta książka, na czoło wysuwają się ślepota państwa na prawe oko, zinstytucjonalizowany rasizm, odpuszczanie ekstremistom, normalizowanie tego, co nie do przyjęcia. „Problem nie polega na tym, że imigranci zagrażają Niemcom, ale że to Niemcy stanowią zagrożenie dla imigrantów" – Kushner cytuje lewicową gazetę „Tageszeitung". I ostrzega, że faszyzacja znormalizowana – w garniaku i pod krawatem, i nie tylko w Niemczech – jest jeszcze bardziej niebezpieczna niż ta spod znaku ogolonej głowy i swastyki. Strzeżmy się.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

© MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, KAROL MAKURAT/REPORTER, MP (9)

eprasa.pl f4a3c208bc

komiksy

Wbrew regułom

Uhonorowane w 2025 r. Nagrodą Pulitzera **„Nakarmić duchy” Tessy Hulls** (przeł. Łukasz Witczak, Mandioca, **6/6**) to jedna z najciekawszych graficznych autobiografii ostatnich lat. Nakreślona z epickim rozmachem, gęsta od wydarzeń i faktów – losy trzech pokoleń kobiet z rodziny autorki rozpisuje na całe stulecie i dwa kontynenty – a przy tym bardzo zdyscyplinowana i intymna. Hulls w prywatnej, nierzadko dramatycznej historii swojej babki i matki odnajduje uniwersalne prawdy. Opowiada o krzywdzie i przebaczeniu, dziedziczeniu traum, doświadczeniu imigracji, trudnych relacjach i drodze do ich naprawienia. To nie jest łatwa, beztroska lektura, ale śmiało można ją postawić na półce obok dzieł Marjane Satrapi czy Alison Bechdel.

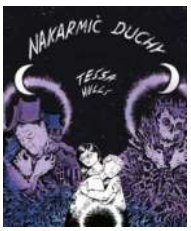

Jak pisze **Laura Pérez** w intrygujących, enigmatycznych **„Nokturnach”** (przeł. Jakub Jankowski, Centrala, **5/6**), „od zawsze noc była miejscem, które próbowaliśmy okiełznać”. Komiks ten, luźno przeplatający kilka osobnych wątków, nie jest tradycyjną narracją, lecz przypomina raczej niecodzienne połączenie fabuły, filozoficznego



eseju, poezji wizualnej. Noc w oczach hiszpańskiej artystki jest nie tyle porą dnia, ile właśnie miejscem: magicznym, tajemniczym, czasami dającym ukojenie, kiedy indziej niebezpiecznym. To przestrzeń z pogranicza baśni, marzeń i snów. Ilustracje Pérez wydobywają z mroku hipnotyczne piękno – choćby dla nich warto przeczytać ten album.

Z pozoru **„Fungirl” Elizabeth Pich** (przeł. Anna Błasiak, Los Kraba/Dom Literatury w Łodzi, **5/6**) to lektura beztroska. Bohaterka szuka rozrywki, przygodnych związków i okazji do imprezowania (stabilizacja jest dla frajerów), nie bojąc się potknięć i wpadek. Można o niej myśleć jak o jeszcze bardziej nieogarniętej wersji Fleabag z serialu Phoebe Waller-Bridge. Przypadki Fungirl są więc źródłem żartów, z reguły bardzo dobrych, bo Pich ma wyczucie absurdu i pikantne poczucie humoru. Lecz ta komedia kryje coś na kształt manifestu (bez wielkich słów) kobiecości uwolnionej od fałszywych norm, patriarchalnych przykazów i społecznych stereotypów.



JAKUB DEMIAŃCZUK

muzyka

Superprodukcja 5/6

Phoebe Bridgers, **Lost Weekend**, Dead Oceans



Płyta ta ma w sobie najlepsze elementy autorskiego folku – piosenki pisane emocjami własnego życia, z romantycznym rozstaniem (relacja z aktorem Paulem Mescalem) i rodzinnym pożegnaniem (śmierć ojca) na czele. Ale ma zarazem charakter superprodukcji – powstawała pod okiem Jacka Antonoffa, znanego z nagrań Taylor Swift i Lany Del Rey, a lista gości specjalnych przyprawia o zawrót głowy. Dość powiedzieć, że Cameron Winter z robiącej furorę formacji Geese (w POLITYCE płyta roku 2025) mija się tu z Lucy Dacus, Alexem G (kolejny producent) czy Conorem Oberstem. Najważniejsze jest jednak to, że w obu tych dziedzinach 32-letniej Phoebe Bridgers udaje się wybronić. „Lost Weekend”, jej trzeci solowy album, przynosi ambitne gesty (czymś takim jest pozostawienie momentami nieoszlifowanych, surowych partii wokalnych, spotykane już coraz rzadziej), w tekstach Bridgers bywa ironiczna i kąśliwa, w muzyce dynamiczna i zaskakująca, ale wszystko razem pozostaje komunikatywne. Będą nominacje do Grammy, a zarazem tytuł „Stracony weekend” nie jest złą wróżbą dla oddanych fanów, którzy zapętlą album po premierze.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Terminator 2: Dzień sądu, reż. James Cameron, w kinach od 28 sierpnia

Choć od premiery mija 35 lat, druga część „Terminatora” to wciąż szczytowe osiągnięcie Jamesa Camerona i wzorcowe kino akcji, poprowadzone w oszałamiającym tempie, emocjonujące, miejscami bardzo zabawne (rzucane przez **Arnolda Schwarzeneggera** bon moty przeszły do historii kina). A pojedynek cyborgów przysłanych z postapokaliptycznej przyszłości, w której zbuntowane maszyny rządzą ludźmi, w czasach gwałtownego rozwoju sztucznej inteligencji ogląda się z nieco większym niepokojem niż kiedyś. JD



Yoko Ono, **Season of Glass**, Secretly Canadian

Wyczekiwane wznowienie ważnej i ciekawej płyty, którą Yoko Ono zaczęła tworzyć jeszcze przed śmiercią Johna Lennona – stąd okładka z jego zakrwawionymi okularami, szklanką do połowy pustą i widokiem na nowojorski budynek The Dakota, pod którym go zamordowano w grudniu 1980 r. W 1981 r. odbierano ją przez pryzmat nieszablonowego przepracowywania żałoby, dziś zaskakuje charakter płyty, która jest odbiciem okresu przejściowego – pożegnania lat 70. i nadchodzącej nowej fali. BCH



Summer Dying Loud, Aleksandrów Łódzki, 3–5 września

Jedna z największych i najszybciej rozwijających się imprez poświęconych różnym odmianom ciężkiego grania, od dark jazzu po black metal, symbolicznie zamyka wakacyjny sezon festiwalowy. W tym roku wśród gwiazd SDL znaleźli się m.in. Blaze Bayley (niegdyś wokalista grupy Iron Maiden), Satyricon, Jesu, Blindead 23, Ciśnienie, a także **Nergal**, który wraz z islandzką grupą Misþyrming zagra debiutancki album Behemotha. Lato zakończy się nie tylko – zgodnie z nazwą – głośno, lecz także w znakomitym towarzystwie. JD

eprasa.pl f4a3c208bc



Swój chłop

Wyskakuje z lodówki? Adam Woronowicz ma za sobą ciekawą drogę, gra dużo i wciąż świetnie, ale coraz częściej to czysta rozrywka. Znikają dawna różnorodność ról i ambicje.

ANETA KYZIOŁ

W jego macierzystym teatrze, TR Warszawa, Michał Buszewicz wyreżyserował dwa lata temu autorski spektakl „Za dużo wszystkiego", o kapitalistycznej kulturze pracy, szerzej znanej jako „kultura zapierdolu". Zaczynało się od tego, że aktorzy po kolei wychodzili na scenę, by poprosić widzów o „pięć minutek" cierpliwości, bo koledze z obsady przeciągają się zdjęcia do serialu i troszkę się spóźni. Tym kolegą był Adam Woronowicz.

Żart celny i wciąż aktualny. „Jak nie gra Woronowicz, to nie oglądam" – to jeden z internetowych komentarzy pod informacją o nowym serialu TVP „Felicità", który wystartuje jesienią. Komentarz może ironiczny, może nie, ale trafia w punkt. Bo Woronowicza w obsadzie „Felicity" akurat nie ma, ale można go w tym czasie obejrzeć w drugim sezonie komediowej serii „Klara" (HBO Max), w komercyjnych przedstawieniach „Depresja komika" i „Gra", o telewizyjnych reklamach nie wspominając. Jesienią premierę będzie miał też szósty sezon świetnego mockumentu „The Office PL" (Canal+) i kinowy „Przepis na święta" w reż. Magdaleny Nieć, reklamowany jako „najpyszniejsza komedia na Gwiazdkę".

A już 31 sierpnia w TVN rusza „Taskmaster", hitowy format rozrywkowy, sprzedany ponoć do stu krajów i w 13 już zrealizowany. Adam Woronowicz wciela się w nim w postać gospodarza, a właściwie niepodzielnego i kapryśnego władcy, który przydziela uczestnikom (Zofia Zborowska-Wrona, Rafał Rutkowski, Wiolka Walaszczyk, Żabson i Kazik Mazur) szalone zadania i ocenia ich wykonanie; „nieprzewidywalny lider o wyraźnym, często przewrotnym poczuciu humoru" – opisuje go stacja. Do wygrania jest... złote popiersie Adama Woronowicza.

Oprócz popiersia, urodzony prawie 53 lata temu w Białymstoku aktor doczekał się już Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, wręczonego przez prezydenta w ubiegłym roku za „wybitne zasługi dla kultury polskiej oraz za osiągnięcia w pracy artystycznej i twórczej". Jak to się stało, że właśnie on stał się ulubieńcem polskiej widowni i od lat właściwie nie schodzi z ekranu i ze sceny?

© CANAL+, MICHAŁ CHOJNACKI/NEXT FILM, MARCIN MAKOWSKI/MAX

eprasa.pl f4a3c208bc





Zawód, który nie męczy

Jednej odpowiedzi udzielił sam: „Ten zawód w ogóle mnie nie męczy". Aktorstwo okazało się idealnie współgrać z jego wrodzoną nadpobudliwością i nadmiarem energii, z którym długo nie wiedział, co zrobić. Aż w liceum pojechali ze szkołą na „Mistrza i Małgorzatę", legendarny spektakl Macieja Englerta, i tam, na widowni warszawskiego Teatru Współczesnego, jego przyszłość się zdecydowała.

Druga odpowiedź to właściwie podpowiedź. Usłyszał ją w stołecznym Powszechnym, którego był etatowym aktorem w pierwszej dekadzie XXI w., kilka lat po skończeniu warszawskiej Akademii Teatralnej. Władysław Kowalski, doświadczony aktor i dobry kolega, dał mu radę: „Rób wszystko, żeby być potrzebnym, żeby cię potrzebowali w zawodzie i lubili z tobą pracować". Kolejne wnioski wysnuł sam, obserwując Zbigniewa Zapasiewicza, aktorskiego mistrza, który nie przystawał do nowej epoki, ignorował seriale, masową rozrywkę i stopniowo jego *splendid isolation* stała się izolacją zwykłą i przykrą. Nie chciał iść tą drogą.

W roli swojego idola obsadził Bogumiła Kobielę („Jego emploi jest mi bardzo bliskie"), w swoich najlepszych wcieleniach tworzy podobny typ bohatera – everymana, zwyczajnego człowieka nieco zagubionego w konfrontacji ze światem. Tacy byli m.in. Fadinard ze „Słomkowego kapelusza", XIX-wiecznej, francuskiej farsy, której reżyser Piotr Cieplak nadał rys egzystencjalny, dorzucając fragmenty „Ziemi jałowej" T.S. Eliota oraz narratora z „Pamiętnika z powstania warszawskiego" Mirona Białoszewskiego, też legendarnego spektaklu zrealizowanego dla Teatru Telewizji przez Marię Zmarz-Koczanowicz. Te role przyniosły mu w 2005 r. Nagrodę im. Aleksandra Zelwerowicza dla najlepszego aktora sezonu, przyznawaną przez miesięcznik „Teatr". W Białoszewskim widzi swój aktorski przełom: „Zobaczyłem wtedy w pełni siebie jako aktora, usłyszałem swój głos inaczej niż do tej pory, ta rola jakby mnie otworzyła" („Dziennik Trybuna").

Woronowicz wchodził do zawodu w momencie, kiedy polski teatr odradzał się po zapaści lat 80. i zamęcie pierwszych lat transformacji. Sceny szturmem zdobywała nowa dramaturgia, teatr brutalistów, kariery zaczynali m.in. Krzysztof Warlikowski i Grzegorz Jarzyna, było szybko, głośno i efektownie. Woronowicz był ważną częścią tych przeobrażeń, zagrał m.in. Laertesa w przełomowym „Hamlecie" Warlikowskiego i opowiadał potem, że już w czasie prób czuli, że rodzi się coś więcej niż spektakl. A jednak nawet wtedy szedł własną drogą, która miała dwa pasy: jeden – nowoczesny, progresywny, zachodni, drugi – metafizyczny, chrześcijański, wschodni.

Na tej drodze miał towarzysza: reżysera Piotra Cieplaka, który w swoim teatrze łączył nowoczesność i metafizykę. Zagrał w jego spektaklu jeszcze w szkole teatralnej, przyszedł za nim do Teatru Rozmaitości (później TR Warszawa), któremu Cieplak krótko dyrektorował, a potem do Powszechnego, gdzie często reżyserował. W „Teatrze" tłumaczył to wspólnotą wartości: „On bronił w swoich spektaklach wartości i wprowadzał do nich metafizykę. A ja szukałem w teatrze metafizyki. Miałem wrażenie, że nowy teatr był ubogi, jeśli chodzi o tę kwestię, nie radził sobie z nią. Ze sferą Boga, bogów, duchów. Wyrazicielem naszego ducha stało się ciało. Można je było rozebrać, oblać farbą. Ale ten kierunek – to było dla mnie za mało. Dlatego ważny był Piotr. Rozumieliśmy się bez słów. Bez względu na to, czy robi spektakl o Hiobie, czy bajkę – w jego spektaklach jest metafizyka".

Popiełuszko nie zmiażdżył

Rodzina Woronowiczów pochodzi z Grodzieńszczyzny, dziadek aktora wrócił do Polski z falą repatriantów w 1956 r. W Białymstoku – wspominał swoje szkolne lata jego wnuk – jak ktoś nie był ministrantem w Kościele Świętego Rocha, to był ministrantem w Cerkwi Świętego Mikołaja Cudotwórcy, a jego kolega Dżemil jest dziś przewodnikiem w meczecie w Kruszynianach. Ciotka Adama Woronowicza była elżbietanką, pracowała na Miodowej w sekretariacie prymasa Glempa. Aktor w czasie studiów pomieszkiwał w klasztorze kapucynów, przed zajęciami chodził na msze u dominikanów.

Nawet na swoją przyszłą żonę zwrócił uwagę w kościele. „Frondzie" zwierzał się w 2011 r.: „To, że nie mieliśmy przed ślubem żadnych doświadczeń seksualnych, także ma ogromne znaczenie. Ja nie zapomnę nigdy naszej pierwszej nocy, już po ślubie. To coś, na co warto było czekać". Są małżeństwem ponad 25 lat, doczekali się czwórki dzieci i przeżyli tragedię – śmierć córeczki. „Jest w niebie" – mówił aktor.

Wartości, droga artystyczna, a nawet miejsce urodzenia spowodowały, że kiedy Rafał Wieczyński szukał aktora do roli księdza Popiełuszki w swoim filmie, nie mógł sobie wymarzyć lepszego kandydata. Premiera superprodukcji „Popiełuszko. Wolność jest w nas" odbyła się w lutym 2009 r. w Teatrze Wielkim w obecności najwyższych czynników państwowych i kościelnych, włącznie z prymasem Glempem, który w filmie zagrał samego siebie. Ton recenzji dobrze oddaje ta w „Gazecie Wyborczej" autorstwa ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ Tadeusza Sobolewskiego: „Poddany różnym kompromisom – zrealizowany pod honorowym patronatem Episkopatu – potykając się o dramaturgiczne mielizny, rozbity na osobne obrazki, niczym zbiór materiałów hagiograficznych, z fabułą zagłuszoną przez batalistykę manifestacji stanu wojennego, które chwilami przypominają powstanie warszawskie, budząc niezdrową nostalgię, ma jedną wartość nieocenioną: postać ks. Jerzego, w którego wciela się Adam Woronowicz".

Jego Popiełuszko „reprezentuje to, co najlepsze w powojennej Polsce – niekoniecznie tej »cierpiącej«, lecz tej pełnej wiary, nadziei, dobrej woli, ludowej bez cudzysłowu, wychylonej w przyszłość, otoczonej nienawiścią, ale pozbawionej nienawiści i, o dziwo, niemającej pretensji do ustroju, tylko do władzy". Aktor zaś nie ukrywał, że ta rola była dla niego także przeżyciem duchowym, ale też studził emocje: „To odbywało się na wielu płaszczyznach, ale – summa summarum – któregoś dnia trzeba było wstać, pojechać na plan filmowy, ucharakteryzować się i zmierzyć z wyzwaniem" – tłumaczył katolickiemu portalowi Alateia.

Może dzięki takiemu podejściu ksiądz Popiełuszko nie stał się dla Woronowicza szufladką. Nagrodę na festiwalu w Gdyni dostał w 2018 r. za postać diametralnie inną – hrabiego Hermanna von Kraussa w „Kamerdynerze", historycznym fresku Filipa Bajona. A po drodze byli też ubecy, małomiasteczkowi inteligenci o rysie tragikomicznym, gangsterzy, a nawet seryjny morderca. „Nie jestem tym wizerunkiem zmiażdżony, bo nie gram w kinie tylko ludzi świętych, księży, co dużo by mnie kosztowało. To nie była rola, która naznaczyła mnie piętnem" – mówił o roli Popiełuszki kilka lat temu w „Teatrze".

Pasem niczyim

Z kolei w podkaście Bogdana Rymanowskiego dwa lata temu tak tłumaczył swoje strategie zawodowe i życiowe: „Dla jednych jestem księdzem Popiełuszką, dla innych łomżunią – zostawiam to, kiedy tylko po pracy wsiadam do samochodu; reset. A druga rzecz, która mnie ratuje, to religia, moja wiara, bez niej bym sobie nie poradził. (...) Zrzucam mój ciężar, bo idę do spowiedzi, przyjmuję sakrament i czuję, że on mi naprawdę daje siłę, leczy mnie. (...) Wiadomo, że w Kościele, słyszymy, dzieje się, co się dzieje, i ja często dostaję pytania, czy pan jeszcze nie chce opuścić Kościoła, a ja mówię, że nie jestem w tym Kościele ze względu na paru baranów".

Podobnie brzmiał w „Dzienniku Polskim": „Każdy człowiek szuka czegoś, co da mu poczucie wewnętrznej siły. Ja znajduję to w wierze". Woronowicz swojej wiary się nie wstydzi, ale też nikomu jej nie narzuca i nie robi z niej oręża, prawica nie może tym samym nadużywać jego przykładu w swoich wojnach kulturowych. Zwłaszcza że aktor potrafi być stanowczy. Jak w programie TVN „Autentyczni", gdzie na pytanie o reakcje środowiska artystycznego na jego wyznania wiary odpowiedział: „Nigdy nie doświadczyłem ze strony kolegów, którzy deklarują inne poglądy, i mają do tego absolutnie prawo, jakiegoś hejtu, nienawiści, wyśmiania, jakiegoś przekroczenia".

Podobnie postrzega całość swoich poglądów. W rozmowie z Plejadą po zmianie władzy w 2023 r. deklarował: „Jestem osobą, która idzie pasem ziemi niczyjej", „widzę te strony, które rzucają w siebie kamieniami. (...) Brakuje mi trochę ludzi środka, którzy by tę rzeczywistość neutralizowali". Ale jednocześnie w mediach Agory mówił, że sprzeciw wobec prawicowej kontrrewolucji musiał się wydarzyć, bo: „Każdy, kto manipuluje, musi spotkać się z silną reakcją". I dalej: „Boję się, że ktoś nam narzuci repertuar, stworzy indeks zakazanych nazwisk. A jako artysta nie chcę mieć łatki, która mnie zakwalifikuje do konkretnego obozu politycznego. Chcę zabierać głos w sprawie człowieka uwikłanego, zmuszonego do pewnych wyborów, stać na scenie, rozmawiać z ludźmi i nie narzucać im jakiegokolwiek światopoglądu".

Czołem pracy!

Ostatnie lata upływają mu pod znakiem komedii i rozrywki. Zaczęło się od „The Office PL" – rodzimej wersji kultowego sitcomu mało kto wieszczył sukces, a jednak serial Canal+ okazał się nie tylko świetny, ale też bardzo polski. A największa w tym zasługa Darka Wasiaka, granego bezbłędnie przez Woronowicza szefa logistyki Kropliczanki, siedleckiego dystrybutora wody butelkowanej. Brązowy, trzyczęściowy, ale niemodny garnitur, do tego sandały, zmieniane w biurze na skórzane laczki, z okrzykiem „Czołem pracy!", zamiłowanie do zasad bhp i teorii spiskowych, kult polskiej husarii, papieża Polaka i salcesonu siedleckiego. A przede wszystkim kwestie w stylu: „Dzisiejsi młodzi są rozpieszczeni i roszczeniowi. Za moich czasów nie było luksusów. Nie było jajek z niespodzianką. Były jajka na miękko i na twardo. Jak mama robiła jajko na miękko, a wyszło na twardo – to była niespodzianka. A potem wszystkich zwijała esbecja". Albo: „Ja po prostu nie lubię zmian. Cenię tradycyjne wartości. Od 25 lat mieszkam z tą samą żoną, mimo że od trzech jesteśmy w separacji. Uważam, że jeśli coś działa, to po co to zmieniać. Nawet jeśli nie działa".

Darek Wasiak jest boomerem, homofobem i seksistą – teleturniej „Jeden z dziesięciu" ogląda, „bo nie ma w nim parytetów" i przestanie, „jak będzie odcinek z pięcioma kobietami" – jest śmieszny, ale też bardzo ludzki, łatwo się wzrusza, potrafi okazać serce, Woronowicz gra go wielowymiarowo, a zachęceni zaangażowaniem aktora scenarzyści rozwijają tę postać w nieoczywistych kierunkach.

W tym samym 2021 r. premierę miał pierwszy film z trzyczęściowego już cyklu „Teściowie". Rysowana grubą kreską komedia o dwóch małżeństwach, ze wsi i z miasta, których łączą perypetie ze ślubem ich dzieci, stała się hitem. I tu znów z aktorskiego kwartetu to Woronowicz w roli poczciwego, zaciągającego ze wschodnia i próbującego nadążyć za żoną Tadeusza Chrapka zdobył serca widzów.

Można się zastanawiać, czy aktor, którego nie upupiła rola męczennika w sutannie, wpadł w inną pułapkę – rozrywki, uzależniającej łatwą popularnością i dużymi pieniędzmi. Ale Woronowicz nie odpowiedział na prośbę o rozmowę. Zdaje się widzieć w tym rodzaj misji. „Kiedy przychodzą do mnie takie projekty, chętnie je podejmuję, bo wyczuwam ludzi. Wydaje mi się, że chcieliby, żeby ktoś ich uratował i te balony ponakłuwał" – klarował w rozmowie wideo z Onetem przed niedawną premierą drugiego sezonu „Klary". I rozwijał myśl w nieoczekiwanym kierunku: „Myślę sobie czasami, że może warto byłoby przeprowadzić takie warsztaty w Sejmie. Wszyscy przychodzą w dresach. Albo jeszcze lepiej – w leginsach. Wszyscy, z każdej strony. Donald i Jarek od razu do pary. Ćwiczenia w parach. Coś razem poróbmy. Moim zdaniem dwa miesiące porządnych warsztatów mogłyby sprawić, że trochę inaczej by na siebie popatrzyli" – żartował. A rozmowę zakończył krótkim przesłaniem do widzów: „Dużo się śmiejcie, pijcie wino, chodźcie do kina, bo tylko to będziecie pamiętać na starość". Proste?

ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl f4a3c208bc

Kop, trop, drąż

Żadne efekciarstwo nie zasłoni mistyfikacji – oto lekcja Rodolfo Walsha, twórcy i pioniera powieści non-fiction z Argentyny.



© ROMINA SANTARELLI/MINISTERSTWO KULTURY NARODU

ARTUR DOMOSŁAWSKI

To było spotkanie kumpli, znajomych i znajomych znajomych. Czas i miejsce: mieszkanie jednego z mężczyzn, obrzeża Buenos Aires; sobotni wieczór 9 czerwca 1956 r. Kilkunastu, może dwudziestu paru facetów – jedni przychodzili, inni wychodzili – spotkało się, aby pograć w karty, pogadać, niektórzy, żeby posłuchać radiowej transmisji walki bokserskiej w hali Luna Park między argentyńskim mistrzem Laussem a Chilijczykiem Loayzą o mistrzostwo kontynentu w wadze średniej.

Jedni mieli rodziny, drudzy byli singlami, uprawiali rozmaite zawody: m.in. kierowcy, kolejarza, elektryka, był też podoficer w stanie spoczynku. Tylko jeden, może dwóch z nich wiedziało, co miało się zdarzyć w najbliższych godzinach. Nie mieli jednak pojęcia, co akurat stanie się z nimi tego wieczoru.

Kilka zdań backgroundu: od blisko roku w Argentynie rządziła junta wojskowa, na czele której stał gen. Pedro Aramburu. Wojskowi pod jego komendą obalili rządy Juana Domingo Perón – najważniejszego polityka w Argentynie w XX w. Perón wprowadził masy ubogich na scenę dziejów; nadawał im prawa socjalne i tworzył z nich obywateli; przyznał kobietom prawa wyborcze i wprowadził prawo o rozwodach. Rządził – jak się często mówi – dla ludu, niekoniecznie z ludem, i ustanowił model miękkiej autokracji, która miała demokratyczną legitymację, ale władzę egzekwowała silną ręką. Wspomagała go żona Evita, kobieta z ludu, otoczona do dziś kultem quasireligijnym.

Oboje budzili dziką nienawiść uprzywilejowanych – ziemskich oligarchów, przedsiębiorców, rodzącej się klasy średniej, dla której biedni, zwykle ludzie o ciemniejszej karnacji, nie byli współobywatelami, lecz służbą i hołotą, której nie należą się żadne prawa. To w imieniu oligarchów i innych uprzywilejowanych gen. Aramburu obalił Perón i wygnał go z kraju. A wobec peronistów rozpętał falę represji (na mocy specdekretu nie ▶

eprasa.pl f4a3c208bc

▶ wolno było nawet wymawiać nazwiska Peróna).

Tamtego wieczoru, 9 czerwca 1956 r., gdy w mieszkaniu na obrzeżach stolicy jedni słuchali transmisji radiowej, inni grali w karty, a jeszcze inni gadali, pociągając yerba mate, wierni Perónowi wojskowi rozpoczęli rebelię. Miała obalić puczystów i doprowadzić do powrotu Peróna. Jej pierwszym krokiem były ataki na koszary i próby zajęcia budynków publicznych.

Gdy w różnych miastach trwały potyczki między rebeliantami a siłami reżimu, do wspomnianego mieszkania wkroczyła grupa policjantów i cywilów. Wykrzykiwali nazwisko jednego z dowódców rebelii: „Gdzie jest Tanco?" – i choć generała Tanco nie znaleźli, zabrali wszystkich na komisariat. Pretekst? Jak zeznawał komendant policji – uznali, że zebrani mają zamiar przyłączyć się do buntu. Nikt nigdy nie przedstawił na to cienia dowodu.

Dwunastu z zatrzymanych (kilku wypuszczono – i nie wiadomo, dlaczego tych, a nie innych) policjanci przewieźli na odludne wysypisko śmieci i rozstrzelali. Szczęśliwie fuszerka oprawców sprawiła, że nie zdołali zabić wszystkich.

Pół roku później, w barze, w mieście La Plata, pewien 29-letni dziennikarz i zapalony szachista Rodolfo Walsh usłyszał „w duszną noc przy piwie", że jeden z rozstrzelanych żyje (później okaże się, że przeżyło siedmiu). Ten impuls dał życie dziennikarskiemu śledztwu. Jego efektem jest kultowa w Ameryce Łacińskiej książka „Operacja Masakra" (1957 r.), która wychodzi w języku polskim po raz pierwszy.

Po co sięgać po argentyńską historię sprzed siedmiu dekad? Powodów jest kilka. Pierwszy – „Operacja Masakra" to porywająca książka, której narracja oparła się upływowi czasu. Sławny rodak Walsha, znany w Polsce Martin Caparrós, orzekł niedawno, po ponownej lekturze po latach, że to wciąż „zajebista książka" (un libro del carajo). Po drugie, przykładając soczewkę do jednego epizodu z lat 50., „Operacja Masakra" chwyta wiele prawidłowości, które nękały Argentynę – a także większość regionu – w przeszłości i będą ją prześladowały w przyszłości. „Tortury i morderstwa, które poprzedziły masakrę z 1956 i nastąpiły po niej – pisał Walsh – to typowe i nieuniknione – a nie anegdotyczne – epizody trwającej w Argentynie walki klas".



Krótkie chwile radości na ulicach Buenos Aires. Argentyńscy studenci świętują obalenie Juana Peróna.

Następna argentyńska dyktatura, ta najbardziej okrutna, z lat 1976–83, dopadła samego Walsha, wówczas szefa podziemnej agencji prasowej. Stał się on jednym z 30 tys. *desaparecidos*, tzn. zniknięty ch. Polskie wydanie „Operacji Masakra" zawiera też ostatni tekst Walsha, wstrząsający i przenikliwy „List pisarza do Junty Wojskowej", napisany w pierwszą rocznicę jej rządów (ileż tam aktualnych diagnoz kapitalizmu, nie tylko argentyńskiego!).

Wreszcie – powód trzeci: „Operacja..." to najważniejsza, założycielska, pionierska książka literatury faktu w Ameryce Łacińskiej. Pisząc ją, Walsh wymyślił gatunek nazwany później powieścią faktu (non-fiction) lub powieścią dokumentalną, łączący dziennikarskie środki zbierania informacji i rygory ich weryfikacji z technikami narracyjnymi właściwymi powieści lub opowiadaniom.

Wiemy, że łączenie dziennikarstwa i literatury przybierało później rozmaite formy – dla niektórych autorów licentia poetica brała górę nad faktograficzną akuratnością. Emblematyczny jest tu przypadek Ryszarda Kapuścińskiego, w którego dziełach walory literackie, w tym elementy fikcji, z jednej strony błyszczały, a z drugiej – kładły się cieniem i prowokowały do pytań o wiarygodność.

Uważany za jednego z ojców powieści faktu Amerykanin Truman Capote też nie nakładał sobie ograniczeń płynących z paktu, jaki zawiera z czytelnikami każdy autor piszący dzieło non-fiction (tak dziennikarz, jak i pisarz): że w literaturze non-fiction się nie zmyśla, a fakty poddaje się weryfikacji.

Walsh wyprzedził Capote'a w czasie: „Operacja Masakra" ukazała się osiem lat przed „Z zimną krwią" Capote'a. A co ważniejsze – jego praktyka dotrzymała kroku tworzonej równocześnie teorii: opowiadamy jak powieściopisarze, fakty sprawdzamy jak dziennikarze. Czyli nie sposób wymigać się od żmudnej orki, męczących wykopków, ślęczenia, drążenia i tropienia.

Można się zastanawiać, czy prekursorem tego typu powieści – a nie po prostu reporterem – był John Hersey, autor „Hiroszimy", która ukazała się w 1946 r. W każdym razie dla Walsha fakty były święte do tego stopnia, że w kolejnych wydaniach „Operacji Masakra" zmieniał i/lub skreślał pojedyncze słowa i sformułowania, jeśli poznał najdrobniejszy szczegół przeczący temu, jak opisał rzecz w wydaniu wcześniejszym.

Mimo że Walsh dowiódł wzorcowo zbrodniczego, bezprawnego charakteru egzekucji cywilów nocą z 9 na 10 czerwca 1956 r., uważał swoje dzieło za porażkę. Żaden z winnych masakry nie został skazany. Walsh pytał więc, czy społeczeństwo chce się w ogóle dowiadywać o nadużyciach i zbrodniach

eprasa.pl f4a3c208bc

władców (nadal aktualne i uniwersalne!). „Tak czy owak jasne jest chyba – pisał w epilogu do drugiego wydania z 1964 r. – że straciłem pewne złudzenia: wiarę w sprawiedliwość, w zadośćuczynienie, w demokrację, we wszystkie te słowa".

Chyba nie całkiem stracił. Do końca był na „posterunku" jako dziennikarz, pisarz, aktywista – i demaskował zbrodnie następnej junty, która w końcu (w 1977 r.) zamordowała i jego.

Pod okiem Walsha dziennikarsko dorastał Martin Caparrós, reporter, a wówczas także członek jednej z grup rewolucyjnych. Jednak na początku 1976 r., chroniąc się przed szwadronami śmierci, 18-letni Martin, potomek Żydów z Polski i Hiszpanii, uciekł do Europy (tak samo jak jego dziadkowie w latach 30. uciekali z rodzinnych krajów za ocean), zanim w Argentynie rozszalał się terror, który zabił jego mentora.

Walsh nie założył „argentyńskiej szkoły reportażu" czy „szkoły powieści faktu", ale jego wpływ na następców ma rangę równą założycielskiej. Caparrós – i dziennikarz, i autor powieści – uważa, że „Operacja Masakra" pozostaje wzorem pod każdym względem: dociekania tego, co ukryte, weryfikacji danych, architektury opowieści, uczciwości i zaangażowania w imię sprawiedliwości.

Czy Walsh miał prawo sądzić, że pisze tekst kalibru „J'accuse" Emila Zoli? Sugeruje to tłumaczka polskiego wydania książki Barbara Jaroszuk. Wcześniej nie przypuszczał, że los rzuci go na tak głębokie wody. Zaczynał jako autor opowiadań kryminalnych, dopiero śledztwo w sprawie masakry zmieniło go w pisarza, który demaskuje zbrodnie władzy. Potem stracił zainteresowanie dla wszelkiej twórczości, która nie stawiała za cel społecznej zmiany. Sztuka powinna być polityczna, z kolei dziennikarstwo ma potencjał artystyczny. Fikcja tępi polityczne ostrze przekazu – także w tym przekonaniu tkwią źródła faktograficznego rygoryzmu Walsha i idei powieści non-fiction.

W monumentalnym dziele „Głód" Caparrós obok narracji opartej na imponującej kwerendzie pyta co jakiś czas, z zamierzonym natręctwem: „Jak, do diabła, możemy żyć, wiedząc, że dzieją się takie rzeczy?". „Takie rzeczy" to głód, którego doświadczają setki milionów ludzi w epoce rozpasanej konsumpcji. Sprawy, które da się dyskutować bez emocji, nie są ważne – twierdzi w „Głodzie" – liczą się tylko te, które budzą gniew i choćby chwilową awersję do oponenta. To głęboki ślad Walsha.

Pisarstwo tego ostatniego odcisnęło się także na młodszej o dekadę od Caparrósa wybitnej rodaczce Leili Guerriero (po polsku ukazały się jej książki „Samobójcy z końca świata" i „Nitrogliceryna niepokoju"). Reporterka odebrała właśnie najstarszą amerykańską nagrodę dziennikarską Maria Moors Cabot Prize, przyznawaną przez Uniwersytet Columbia.

„Dziennikarstwo narracyjne ma swoje zasady – pisała Guerriero – a ta najważniejsza brzmi: chodzi o dziennikarstwo. Oznacza to, że konstruowanie tych muskularnych tekstów zaczyna się nie od wybuchu inspiracji ani z pomocą boskiego Buddy, ale od czegoś, co nazywa się reporterowaniem, czyli od pracy w terenie, etapu poprzedzającego pisanie, na który składa się cały szereg działań – takich jak przeglądanie archiwów i statystyk, czytanie książek, szukanie dokumentów historycznych, zdjęć, map, spraw sądowych i tak dalej". Znowu Walsh.

Ocalałego z „Operacji Masakra" – tego, od którego świadectwa zaczęła się historia legendarnej książki Walsha – spotkała trzy lata temu reporterka „El País". Nazywa się Juan Carlos Livraga, w 2023 r. miał 91 lat (w czasach masakry był kierowcą autobusu). Tamtej nocy, w 1956 r., na odludnym śmietnisku oprawcy próbujący go dobić przestrzelili mu szczękę, ale pocisk nie naruszył organów, od których zależy życie. Livraga przeszedł siedem operacji twarzy, nigdy nie odzyskał w pełni słuchu i wyjechał z Argentyny (podobnie jak kilku innych ocalałych z masakry). Czuł na plecach oddech oprawców; rodzicom powiedział, że leci do USA za lepszym życiem.

Jak wyznał po dekadach, koszmar nie przestał powracać do niego w snach. O zdarzeniach z 1956 r. rozmawia tylko w rodzinnym kraju, w rodzimym języku, z bliskimi. Jest wdzięczny losowi, że dożył tylu lat. Walshowi – że opowiedział historię, której kiedyś nikt nie chciał słuchać.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

© ARCHIWUM BETTMANN

REKLAMA



eprasa.pl f4a3c208bc





Jean-Paul Belmondo i Jean Seberg w „Do utraty tchu" Godarda. Po lewej: **kadr z „Nowej fali" Linklatera. Świetnie dobrana obsada idealnie odwzorowuje wygląd i charaktery tamtych postaci.**

Nowe życie Nowej Fali

Dla pokoleń filmowców „Do utraty tchu" Jeana-Luca Godarda jest symbolem wolności twórczej. Wchodząca do kin „Nowa fala" Richarda Linklatera to hołd złożony tej legendzie.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Jean-Luc Godard, autor „Do utraty tchu", arcydzieła, które zapoczątkowało francuską Nową Falę i uznawane jest za kamień węgielny współczesnego kina, promował wizję reżysera jako artysty prowadzącego autorską, osobistą komunikację z widzem. Ta koncepcja, przeniesiona na grunt amerykański m.in. przez krytyka filmowego Andrew Sarrisa, dała impuls do słynnego buntu twórców Nowego Hollywood, zwanego też Amerykańską Nową Falą. Reżyserzy tacy jak Francis Ford Coppola, Martin Scorsese czy Robert Altman marzyli o ograniczeniu wszechwładzy producentów i przejęciu reżyserskiej kontroli nad swoimi dziełami. Godard paradoksalnie stał się dla nich wzorem, ponieważ sam był zafascynowany amerykańskim kinem klasy B i czarnym kryminałem. Uświadomił pokoleniu Coppoli i Cassavetesa, jak można przetwarzać klasyczne gatunki, bawić się nimi i nadawać im egzystencjalny wymiar.

Najsłynniejszym zabiegiem Godarda było wprowadzenie tzw. *jump-cut* (rwanego montażu), który polegał na wycinaniu fragmentów taśmy w obrębie jednego ujęcia. Wcześniej uznawano to za błąd techniczny, jednak Francuz wykorzystał go, by nadać „Do utraty tchu" nerwowy, nowoczesny rytm i zniszczyć iluzję płynności czasu. Jego film łamał też zasadę osi kontaktu (180 stopni), stosował dezorientujące kąty kamery oraz dźwięk niedosynchronizowany z obrazem. Był kręcony „z ręki", bez użycia sztucznego oświetlenia i niemal w całości w naturalnych plenerach Paryża. To pozwoliło na filmowanie statystów bez ich wiedzy i uzyskanie efektu spontaniczności zbliżonego do reportażu. Z drugiej strony aktorzy łamali „czwartą ścianę", zwracając się bezpośrednio do kamery, co nie pozwalało widzowi zapomnieć, że ogląda film, a nie rzeczywistość.

Rzecz była nasycona licznymi odniesieniami do historii kina, literatury i sztuki. Godard śmiało połączył tradycję francuskiego kina autorskiego z amerykańską kulturą masową, dedykując „Do utraty tchu" wytwórni Monogram Pictures, specjalizującej się m.in. w filmach noir. Główny bohater Michel Poiccard, grany z niebywałą bezczelnością przez Jeana-Paula Belmondo, początkującego wówczas aktora, nie jest klasycznym gangsterem, lecz postacią ostentacyjnie stylizującą się na Humphreya Bogarta, co czyni ją „reprezentacją reprezentacji". Żyje chwilą, jego czyny bywają przypadkowe lub bezsensowne, a jego śmierć zostaje przedstawiona jako akt wolnej woli. Tytułowy brak tchu odnosi się do niemożności oddychania w dusznym, konwencjonalnym społeczeństwie.

Film Godarda wraz ze swą legendą wraca po 65 latach za sprawą „Nowej fali" Richarda Linklatera, Amerykanina, twórcy niezapomnianego „Boyhood", czołowego reprezentanta kina niezależnego za oceanem i równolatka „Do utraty tchu" (premiera w 1960 r.). W wywiadach wyznaje, że Nowa Fala zmieniła jego życie: „Mając 20 lat, wciąż wyobrażałem sobie, że zostanę powieściopisarzem lub dramaturgiem. Dla mnie kinem było Hollywood. Lubiłem filmy, ale nigdy nie myślałem o ich kręceniu. Kiedy zobaczyłem »Do utraty

© STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY, LES FILMS IMPÉRIA/LES PRODUCTIONS GEORGES DE BEAUREGARD/SNC

eprasa.pl f4a3c208bc



tchu« i inne filmy Nowej Fali, pomyślałem: »Więc to możliwe?«. Ta wolność mnie zafascynowała. Nie wiedziałem nic o kręceniu filmów, ale czułem, jak fajny, radosny i rewolucyjny był ten projekt. Niedługo potem przyjaciel moich rodziców pożyczył mi książkę o Nowej Fali. I do dziś ta epoka w historii kina pozostała dla mnie fundamentalna. Nikt nie uosabia jej lepiej niż Godard".

„Nowa fala" („Nouvelle vague") jest wyznaniem miłości Linklatera dla energii, pomysłowości i nieskrępowanej swobody skupionych wokół opiniotwórczego miesięcznika „Cahiers du cinéma" teoretyków, którzy w pewnym momencie – jak to wyraził w ich imieniu Jean-Luc Godard – uświadomili sobie, że najlepszą krytyką kina jest odejście od biurka i zrobienie własnego filmu. W tym gronie obok Godarda byli: François Truffaut, Jacques Rivette, Éric Rohmer i Claude Chabrol.

Nakręcony na czarno-białej taśmie i po francusku film Linklatera nie pretenduje do miana dzieła rewolucyjnego na miarę osiągnięć twórców francuskiej Nowej Fali. Jego ambicją jest jak najwierniejsze odtworzenie kulis i okoliczności powstania ikonicznego filmu, który wywrócił obowiązujące wyobrażenia na temat narracji, konwencji, zasad. W skrócie – tego, czym i jakie powinno być kino.

Kręcąc swój pierwszy pełnometrażowy film, Godard opętany był ideą, by zrobić to wedle reguł istniejących tylko w jego głowie. Skutkiem tego była rezygnacja ze scenariusza. Teksty były pisane z dnia na dzień. Gdy brakowało pomysłów, reżyser siadał przy stoliku w kawiarni albo udawał się do hotelu w poszukiwaniu weny. Niektóre kwestie podrzucał wykonawcom w trakcie kręcenia, wiedząc, że zostaną poprawione przy postsynchronach.

Godard nie uznawał za błąd, że w sąsiadujących ujęciach te same przedmioty znajdowały się w różnych miejscach, przeciwnie, nazywał to ciągłością rzeczywistości, która nie podlega prostej logice. Gdy zniecierpliwiony chaosem panującym na planie producent „Do utraty tchu" Georges de Beauregard groził zatrzymaniem zdjęć, Godard przekonał go do swoich racji, pojedynkując się z nim na pięści.

Ramy dramaturgiczne narzucił filmowi Francois Truffaut. 29-letni Godard przejął jego kilkustronicowy treatment o chłopcu, który kradnie samochód Korpusu Dyplomatycznego sprzed paryskiego dworca Saint-Lazare, zabija ścigającego go policjanta na motocyklu, aż w końcu, po ucieczce do Ameryki, zostaje schwytany przez Interpol na statku płynącym do Francji, gdzie przebywa w towarzystwie pięknej dziennikarki przeprowadzającej wywiady z gwiazdami.

Biorąc ramy klasycznego amerykańskiego kina noir, Godard nadał swemu filmowi rytm jazzowej improwizacji, pozwolił się unosić pomysłom branym z powietrza, z ulicy, z gazet, wykorzystując młodość i fotogeniczność wykonawców: Belmonda i amerykańskiej gwiazdy Jean Seberg. Lejtmotywem całości miała być wolność rozumiana jako stan umysłu albo napompowane ego Godarda.

„Być wolnym to móc zrobić to, co się nam podoba, w momencie, w którym nam się podoba", deklarował reżyser, a prawdziwym bohaterem jego filmu miał być on sam: reżyser-autor, którego inteligencja i dezynwoltura korespondowały na ekranie z – jakbyśmy dziś powiedzieli – narcystycznym samouwielbieniem granego przez Belmonda przestępcy. Kwintesencją tej postawy była przytoczona w filmie filozoficzna fraza Williama Faulknera z „Dzikich palm": „Jeśli mam wybierać między smutkiem a nicością, wybieram smutek". Belmondo, pytany przez ekranową partnerkę, co on by wybrał, odpowiada: „Smutek to głupie... to kompromis. Trzeba chcieć wszystko lub nic. Co do mnie, wybieram nicość".

„Nowa fala" działa jak kapsuła czasu. Odtwarzając z pieczołowitością dokumentalisty atmosferę końca lat 50. i dosyć zabawne z dzisiejszego punktu widzenia zmagania Godarda z materią filmową, owocujące przełomowym w dziejach sztuki arcydziełem, Linklater składa hołd swoim idolom. Nasycając film słynnymi aforyzmami francuskiego reżysera, anegdotami, przypominając autentyczne miejsca, w których kręcony był kultowy obraz.

Sam Godard jawi się jako sympatyczny, zdystansowany, doskonale wiedzący, czego chce filozof autokrata, śmiało podążający za swoją wizją ominięcia wszystkiego, co było przed nim („Klęski są tymczasowe, sztuka jest wieczna", przekonuje z całkowitą pewnością siebie). Linklater nie zagłębia się w przyczyny, dla których późniejsza droga, poczynając od „Chinki" czy „Daleko od Wietnamu", zawiodła Godarda na pozycje skrajnego maoisty i marksisty, sławiącego komunistyczny system znewalania ludzi. Ogranicza się do studiowania ukrytej za przeciwsłonecznymi okularami radosnej, kontrolowanej improwizacji francuskiego reżysera, która wyniosła go na szczyt i dała mu status „papieża kina".

Główną zaletą filmu Linklatera, poza czystą przyjemnością obcowania z fantastycznie dobraną i z założenia – tak jak w oryginale – głównie nieznaną obsadą, idealnie odwzorowującą wygląd i charaktery tamtych postaci, jest możliwość podróży w czasie. Amerykanin skupia się rzecz jasna na kluczowych wydarzeniach z życia młodego Godarda, nie zapomina jednak, że nie od niego samego i jego kolegów po piórze zaczęła się rewolucja. Duchowymi ojcami nowofalowego ruchu była garstka doświadczonych autorów: Jean-Pierre Melville, Roberto Rosselini, Robert Bresson. To oni w „Nowej fali" udzielają filmowej młodzieży cennych wskazówek.

Premiera filmu odbyła się rok temu na festiwalu w Cannes, więc lepszego audytorium mieć nie mogła. 10-minutowa owacja po projekcji mówi sama za siebie, potem jednak entuzjazm stopniowo gasł. Nominacji oscarowych już nie było. Dla nieobeznanej z historią kina publiczności ta erudycyjna, lukrowana, sentymentalna podróż w przeszłość może się okazać nie w pełni satysfakcjonująca. Żeby się na niej dobrze bawić, trzeba przynajmniej znać punkt odniesienia, czyli oryginalną wersję „Do utraty tchu". Stąd pomysł, by na dwa tygodnie przed wejściem „Nowej fali" (premiera 21 sierpnia) w polskich kinach pojawiła się odrestaurowana wersja oryginału. Dystrybutor Gutek Film postarał się też, by na bardzo długim seansie można było obejrzeć za jednym zamachem oba tytuły. Wtedy należycie docenia się skalę i jakość pomysłu Linklatera. ■

eprasa.pl f4a3c208bc

Jestem u siebie

Człowiek powinien pozostać większy niż władza, jaką otrzymuje – mówi Bassem Akiki, dyrygent i kompozytor, który wkrótce obejmie Orkiestrę Polskiego Radia i kończy pisać operę o legendarnym przywódcy Turcji Atatürku.



© KSAWERY ZAMOYSKI

Bassem Akiki – dyrygent, kompozytor, urodzony w Bejrucie, ale wykształcony i od lat mieszkający w Polsce. Współpracuje z wieloma ważnymi scenami operowymi w całej Europie. Był dyrektorem muzycznym Opery Śląskiej w Bytomiu (2018–19) i Opery Wrocławskiej (2020–22), od września obejmuje kierownictwo muzyczne Orkiestry Polskiego Radia w Warszawie.

DOROTA SZWARCMAN: **– Przedstawia się pan jako dyrygent libańsko-polski. Niektórzy nawet myślą, że ma pan polskie korzenie.**

BASSEM AKIKI: – Nie mam polskich korzeni, ale mówię tak o sobie, bo w Polsce „urodziłem się" jako dyrygent, kształcąc się muzycznie. Mieszkam tu już dłużej niż w Libanie, mam polskie obywatelstwo i jestem u siebie. Ale jestem stamtąd, a moi rodzice, ojciec Samir i matka Samira, pochodzą nawet z jednej miejscowości – Kfardebian. To piękna rozległa wieś w górach.

Liban nazywano kiedyś Szwajcarią Bliskiego Wschodu…

Wielu myśli, że jest tam pustynia, ale to kraj górzysty, z najwyższym szczytem ponad 3000 m n.p.m., o powierzchni ponad trzy razy mniejszej od województwa mazowieckiego. W obecnych granicach, jako państwo, Liban istnieje dopiero od 1920 r. Jego nazwa pochodzi właśnie od gór. Wcześniej całe terytorium było częścią Imperium Osmańskiego. Bejrut był zresztą w innym regionie niż góry. Środkowa część Gór Libanu, skąd pochodzę, miała pewną autonomię. Duża część ludności była chrześcijańska, w tym maronici, do których należy moja rodzina. Byli wspierani przez Francję. Pracowało tam w klasztorach wiele sióstr zakonnych, jest tak do dziś. Chodziłem do szkoły założonej przez zakonnice, Les Soeurs des Saints-Coeurs. Maturę zdawałem po francusku.

Do Szwajcarii Liban jest też podobny przez wielość grup etnicznych.

I religijnych – jest tam kilkanaście odłamów wyznań. Ciekawe, że w regionach muzułmańskich jest zupełnie inna architektura i generalnie estetyka, a jako drugi język częściej słyszy się angielski, a nie francuski.

Kościół maronicki, z którego się wywodzę, powstał w V w. wokół wspólnoty św. Marona. Jego związki z Rzymem zacieśniły się w czasach wypraw krzyżowych. Dziś maronici są częścią Kościoła katolickiego, ale zachowali część dawnych obyczajów, np. żonaty mężczyzna może zostać księdzem i mieć rodzinę.

Po maturze poszedł pan na filozofię, ale też uczył się w konserwatorium gry na oboju.

Rodzina chciała, żebym został lekarzem. Muzyka jest w Libanie uznawana za hobby, a nie zawód. Jest tylko jedno konserwatorium w Bejrucie i jedna orkiestra symfoniczna. Jest też orkiestra arabska, która gra muzykę ludową, ale na przeciętnym poziomie, są też niezłe chóry uniwersyteckie.

eprasa.pl f4a3c208bc

Niedawno mama wysłała mi program festiwalu, który odbywa się w Kfardebian, w pięknych górskich plenerach. Grała tam też Filharmonia Libańska i kiedy spojrzałem na jej skład osobowy, zrobiło mi się smutno, bo Libańczyków jest w niej tylko ok. 15 proc., pozostali to obcokrajowcy.

Pracowali tam też Polacy, np. Franciszek Wybrańczyk, klarnecista, późniejszy menedżer Sinfonii Varsovii.

I Wojciech Czepiel, który w latach 2000–13 stał na czele tej orkiestry. To on mnie namówił na wyjazd do Polski, bo w Libanie nie ma studiów dyrygenckich.

A skąd filozofia?

Kiedy powiedziałem w domu, że chcę poważnie zająć się muzyką, ojciec postawił mi warunek, żebym nauczył się też jakiegoś prawdziwego zawodu, żeby w przyszłości mieć etat i poczucie bezpieczeństwa. Wybrałem filozofię, bo po niej mógłbym zostać nauczycielem, a przy tym dawała mi szersze horyzonty.

Kiedy postanowił pan studiować w Polsce, musiało być panu bardzo trudno. Rozpoczął pan naukę w zupełnie innym świecie.

Nawet dziś czuję te różnice. Choć mieszkam w Polsce tyle lat i czuję się Polakiem, to wielu rzeczy nie rozumiem, np. polskich filmów z lat 80. Nie wiem, z czego ludzie się śmieją, kiedy je oglądają. Ale Europejczyk też nie zrozumie sytuacji na Bliskim Wschodzie, bo to zbyt skomplikowane.

Żeby móc zdawać na polską uczelnię, musiałem wiele nadrobić. W Libanie uczyłem się podstaw harmonii europejskiej, ale też muzyki arabskiej. W Polsce uzupełniałem podstawy systemu europejskiego, przez cały rok przygotowywałem się z pomocą pedagogów. Najpierw studiowałem dyrygenturę chóralną w Akademii Muzycznej w Krakowie w klasie prof. Stanisława Krawczyńskiego. Już na IV roku zgłosiłem się na praktykę w Operze Wrocławskiej. Następnie dyrygenturę symfoniczną studiowałem już we Wrocławiu, w klasie prof. Marka Pijarowskiego i jednocześnie pracowałem tam w operze.

Znamy pana w Polsce jako dyrygenta – zarówno operowego, jak i symfonicznego. Ale niewiele się tu wie o tym, że dość wcześnie został pan na scenach światowych specjalistą od opery współczesnej. Już parę lat po studiach prowadził pan prapremiery w Théâtre de La Monnaie w Brukseli. Jak to się stało?

Zaczęło się od festiwalu Malta w Poznaniu w 2012 r. Prawykonanie opery „The Slow Man" Nicholasa Lensa według powieści Johna Maxwella Coetzeego miał poprowadzić Marek Moś, ale zachorował i poproszono mnie o zastępstwo. Musiałem szybko nauczyć się niełatwej partytury i od razu wskoczyć w próby z zespołem Teatru Wielkiego w Poznaniu i światowej sławy solistami. Przyjechali też obaj autorzy. A kompozytor zarekomendował mnie później do La Monnaie i tak się zaczęło. Bruksela była przez jakiś czas moim operowym domem. Potem przyszły angaże do oper w Amsterdamie, Strasburgu, Lille, a niedawno też Royal Ballet and Opera w Londynie. Bardzo lubię dyrygować operami z XX i XXI w. A czemu mnie zapraszają? Pewnie dlatego, że mam po rodzinie dość ścisły umysł i szybko wyłapuję strukturę tych często trudnych partytur. Matematyka to zresztą moje hobby. Mam też bardzo dobrą pamięć wzrokową. ▶

REKLAMA



eprasa.pl f4a3c208bc

▶ W operach z XX w. fascynują mnie też ich związki z filozofią i wtedy przydaje mi się wykształcenie filozoficzne.

Ale opera to również emocje.

Oczywiście. Uwielbiam Pucciniego. „Tosca", którą dyrygowałem niedawno na warszawskim festiwalu Centralny Plac Muzyki, była doświadczeniem ekstremalnym ze względu na upał, ale daliśmy się porwać tej muzyce razem z fantastycznymi solistami i Sinfonią Varsovią. Ale współczesne opery przynoszą inne emocje.

Na przykład „Folwark zwierzęcy" Aleksandra Raskatowa, pochodzącego z Rosji kompozytora dysydenta, według znanego dzieła George'a Orwella. Prowadził pan jego prawykonanie w Amsterdamie, a później wznowienie w Helsinkach.

Tak, to znakomita opera, która otrzymała International Opera Award za najlepszą prapremierę 2023 r. A jej treść, niestety, jest wciąż aktualna.

W Brukseli przygotowywał pan prawykonania oper Pascala Dusapina, Philippe'a Boesmansa czy Marka Greya, w Strasburgu Simona Steena-Andersena „Piekło Don Giovanniego"…

O, to było wyzwanie. Kolaż złożony z fragmentów ponad 30 oper, oczywiście z „Don Giovannim" Mozarta na czele, bo to historia o tym, co Don Giovanni robi w piekle. Wagner, Prokofiew, Rimski-Korsakow, czego tam nie ma. Bardzo inteligentnie skonstruowane, z elektroniką. W „L'écume des jours" Edisona Denisowa według Borisa Viana, którą prowadziłem w Lille, pojawiają się też cytaty z różnych dzieł. Bardzo trudna partytura.

Łączy pan przygotowywanie oper w różnych krajach z muzyką symfoniczną i pedagogiką – jest pan kierownikiem katedry dyrygentury w Akademii Muzycznej we Wrocławiu, ostatnio otrzymał pan tytuł profesora belwederskiego. A od jesieni zostanie pan szefem artystycznym Orkiestry Polskiego Radia w Warszawie.

Bardzo się z tego cieszę, bo to wspaniały zespół. Znamy się już dobrze. W tym sezonie uda mi się poprowadzić osiem koncertów. Moim zadaniem jest też kształtowanie repertuaru. Jedno tylko jest przykre i na to niestety nie mam wpływu: muzycy w tej orkiestrze za mało zarabiają. A mimo to są bardzo zaangażowani, chcą grać i to mi daje dodatkową energię do pracy z nimi.

Ciekawe, że w Polsce więcej prowadzi pan koncertów symfonicznych. Opery też, jak w Operze Narodowej świetną „Czarną maskę" Krzysztofa Pendereckiego, a niedawno „Kobietę bez cienia" Richarda Straussa, ale rzadziej.

To przede wszystkim kwestia organizacji pracy. W wielu teatrach na Zachodzie pracę planuje się kilka lat do przodu, a w Polsce często na ostatnią chwilę.

Od paru lat zajmuje się pan też na poważnie komponowaniem. Nie studiował pan kompozycji?

Miałem tylko zajęcia dodatkowe, kiedy studiowałem dyrygenturę. Jeszcze w Krakowie miałem konsultacje z prof. Krzysztofem Pendereckim, które ciepło wspominam. Później też we Wrocławiu u Roberta Kurdybachy. Ale na serio zabrałem się do kompozycji podczas pandemii. Napisałem wtedy utwór symfoniczny „Huis clos", do którego inspiracją było „Przy drzwiach zamkniętych" Sartre'a. Brukselska La Monnaie zamówiła u mnie operę kameralną, którą pisałem na podstawie tego dzieła połączonego z „Andromachą" Racine'a. Przeszkodziła pandemia, a później w Brukseli zmieniła się dyrekcja i nowa pani dyrektor postanowiła zwrócić się w stronę klasyki operowej. Mam napisane 60 proc. utworu, może kiedyś uda się go skończyć. A „Huis clos" wykonała Sinfonia Varsovia na jednym ze swoich pandemicznych koncertów. Temat był bardzo na czasie, wtedy też siedzieliśmy zamknięci w domach.

Później napisałem oratorium „Madonna" na sopran, chór i orkiestrę na zamówienie Orkiestry Polskiego Radia z okazji 44. rocznicy wyboru Karola Wojtyły na papieża. Mówi o relacjach syna z matką: Buddy z Mają, Mahometa z Aminą, Jezusa z Maryją, Ramzesa XIII z Nikotris i Karola Wojtyły z Emilią. Teksty w większości wzięte ze świętych ksiąg, w przypadku Wojtyły była to jego poezja. W części o Ramzesie użyłem fragmentu z „Faraona" Prusa, w którym matka sprzeciwia się jego związkowi z Żydówką. Ten motyw uprzedzenia był dla mnie bardzo ciekawy. Prawykonanie odbyło się w październiku 2022 r.

Kompozytorzy-dyrygenci zwykle dają sobie czas na twórczość podczas wakacji. Pan też?

Też. Odstawiam wszystko i muszę mieć kilka tygodni wolnego, żeby zabrać się na poważnie do komponowania. W sezonie mogę tylko robić poprawki.

A teraz kończy pan dużą operę o Mustafie Kemalu Atatürku na zamówienie Stuttgartu. Prawykonanie 10 kwietnia, pod pana dyrekcją. Jak to się stało, że zwrócono się do pana?

Dyrektor opery w Stuttgarcie rozmawiał z Ersanem Mondtagiem, który jest cenionym reżyserem niemieckim pochodzenia tureckiego; w Warszawie w najbliższym sezonie ma reżyserować „Poławiaczy pereł" Bizeta, spektakl przeniesiony z Wiednia. W Stuttgarcie chciał zrobić coś zupełnie nowego i ustalili temat. Szukali kompozytora z doświadczeniem wielokulturowym i przez agenta dotarli do mnie i mojej „Madonny". Libretcistkę Olgę Bach zaproponował Ersan Mondtag. To młoda dramatopisarka, która studiowała też w Stambule. To jej pierwsze libretto operowe, więc pracujemy nad nim razem. Od razu wiedziałem, że to temat niezwykle delikatny.

Europa postrzega Atatürka jako demokratę i reformatora. Ale przecież za łamanie wprowadzonego przez niego tzw. prawa kapeluszowego, które zabraniało nosić turbany, groziła kara śmierci.

Jedni widzą w Atatürku reformatora i twórcę nowoczesnego państwa, inni zwracają uwagę na autorytarny charakter jego rządów. Mnie jako kompozytora interesuje ta niejednoznaczność. Opera jest w siedmiu językach: niemieckim, tureckim, ormiańskim, kurdyjskim, francuskim, greckim i angielskim. Wśród postaci będą kobiety życia Atatürka: żona, kochanka, ukochana adoptowana córka-pilotka, siostra i matka. Będą też inne postacie historyczne, jak niemiecki generał Otto Liman von Sanders czy kompozytor Paul Hindemith, którego Atatürk zaprosił w 1935 r. do współtworzenia reformy życia muzycznego w Turcji.

Podobno kiedy opera w Stuttgarcie ogłosiła tę premierę, posypały się protesty, a nawet hejt.

Mnie też atakowano, nawet mi grożono, choć nikt nie wiedział, o czym będzie ta opera. Część środowisk ormiańskich, kurdyjskich czy greckich obawia się gloryfikowania Atatürka. Dyrekcja opery prowadzi szeroki dialog z różnymi stronami. Jako kompozytor nie chcę uprawiać propagandy politycznej. Interesuje mnie, co władza robi z człowiekiem i jakie konsekwencje jego decyzje mają dla innych. Demokracja sama w sobie nie gwarantuje dobrego przywódcy. Człowiek powinien pozostać większy niż władza, jaką otrzymuje. Wierzę, że to jest możliwe.

ROZMAWIAŁA DOROTA SZWARCMAN

eprasa.pl f4a3c208bc

Czołem, Panie Generale!

Zmarł generał Mirosław Różański. To bardzo smutne, kiedy odchodzą ludzie mądrzy, uczciwi i honorowi.



Dla większości z państwa generał Mirosław Różański to pan z telewizji. Charakterystyczny, bo nie dość, że o wyrazistej urodzie, jak sam z siebie żartował, to na dodatek o wyrazistych poglądach, za co płacił wysoką cenę. Dla mnie był wzorem żołnierza i – mam nadzieję – również przyjacielem. Nie liczcie więc państwo na słowa krytyki. Nie wszystko, co chciał osiągnąć w wojsku, udało mu się doprowadzić do końca. Nie każdy projekt, który firmował, okazał się sukcesem. Pójście w politykę (był senatorem) okazało się bolesnym zderzeniem ze światem pustych obietnic i frazesów. Ale wszystko, co robił, robił na 100 proc. i najuczciwiej, jak potrafił.

Dlaczego zaczynam pożegnanie od szukania dziury w całym? Tak samo zrobiłby on. Na ćwiczeniu nie interesowało go to, co się udało, ale przede wszystkim to, co nie wyszło, co należało naprawić. W armii to nie było powszechne podejście – ani mile widziane. Może dlatego miał tam sporą opozycję. Ale i wiernych oddanych fanów. Różę, jak na niego mówili znajomi, albo się bardzo lubiło, albo się go zwalczało. Wiadomo, nie ma róż bez kolców. Ale pod tymi kolcami krył się uczciwy i wrażliwy człowiek.

Mirosława Różańskiego poznałem jako świeżo upieczonego generała. Dowódcę 17 Brygady Zmechanizowanej. To on wprowadzał do jednostki – a właściwie do polskiej armii – Rosomaki. Skończyło się na tym, że wysmarował krytyczny raport na temat niedociągnięć i braków pojazdu i związanej z nim logistyki. Przełożonym to się nie podobało, bo zmuszało do działania. No i ciężko było odtrąbić sukces. Ponad 200 poprawek wprowadzonych później do konstrukcji potwierdziło, kto miał rację. A później uratowało niejedno żołnierskie życie w Afganistanie. To takie rzeczy, o których się nie wie – albo wie, ale nie zawsze chce pamiętać. W karierze tego oficera była takich zdarzeń cała masa. Stąd szacunek, którym darzyli go ci żołnierze, którzy znali go dobrze. I niechęć tych, których wkurzał. A wkurzać potrafił.

Potrafił również zdobywać szacunek. Żołnierze widzieli, którzy oficerowie spali na ćwiczeniach w drogim hotelu, a którzy – jak Różański – w wojskowym namiocie. Mogli nie wiedzieć, że świadomie doprowadził do sytuacji, w której padła logistyka ćwiczenia, żeby pokazać, że w czasie wojny też padnie. Skończyło się na tym, że to on miał problemy. Ale problemów nie unikał.

To wszystko okazało się jednak drobiazgiem, bo prawdziwym egzaminem była służba w armii podległej Antoniemu Macierewiczowi. Różański był wówczas dowódcą generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Pierwszym Żołnierzem RP, szefem szefów, bo tak naprawdę to jemu podlegała cała armia. I zachowywał się jak prawdziwy szef, czyli bronił armii przed szalonymi pomysłami Macierewicza, dopóki się dało. Śledzony i podsłuchiwany przez służby specjalne, o czym zresztą wiedział, robił, co mógł, żeby minimalizować straty, jakie Macierewicz powodował w armii kadrową czystką. Nigdy nie zapomnę historii o tym, jak trzygwiazdkowy generał musiał czekać na spotkanie z asystentem Macierewicza, aż ten skończy partię badmintona (na szczęście Bartłomiej Misiewicz szybko się męczył). Generał walczył o każdego oficera, którego wtedy zwalniano. A zwalniano lekką ręką. Najlepszych zastępując najwierniejszymi – wobec swoich.

Kiedy poczuł, że dalsza walka nie ma sensu, podał się do dymisji. Ale nie przestał być żołnierzem. O armię i żołnierzy walczył jeszcze mocniej. Nasza książka „Generałowie", w której obnażał polityczne machinacje wokół armii, a co za tym idzie – osłabianie polskiego bezpieczeństwa, to właściwie jego projekt. On pociągnął za sobą innych rozmówców, którzy nie bali się odważnie opowiedzieć, jak władza niszczy polską armię. W naszej kolejnej wspólnej książce – „Dlaczego przegramy wojnę z Rosją" – mówił wprost, że Rosja zmierza do wojny. W 2018 r., kiedy się ukazała, ludzie pukali się w głowę. Cztery lata później przestali. Te cztery stracone lata pozwoliłyby lepiej przygotować się na to, z czym obecnie się mierzymy.

Sam od kilku lat mierzył się z ciężką chorobą. Im było gorzej, tym częściej z tego żartował. Kiedy eksperymentalna terapia, do której został zakwalifikowany, nie przynosiła pożądanych efektów, mówił żartem do lekarza prowadzącego, że czuje się jak Donald Trump po ataku na Iran. Podobno zwycięża, ale czuje się coraz gorzej. Nie żalił się, bo w kwestii słabości był staromodny. Nie potrafił sobie na nią pozwalać. O tym, jak bardzo cierpi, więcej mówił jego przytłumiony głos niż on sam. Skupiał się na radościach. Na wspaniałej żonie, ostatnio na wnuczce, która skradła jego serce. Do końca angażował się zawodowo. Nie dajcie się państwo nabrać, że nie ma ludzi niezastąpionych. Generał Różański to jeden z tych, których nie da się zastąpić.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl f4a3c208bc



Lecą żurawie

„Bili Moskwę, nie przestając” – pisano w pewnej zaginionej kronice ruskiej z pierwszej połowy XIV w. Zanim zaginęła, zapoznał się z jej treścią niejaki „magister Paus”, o czym świadczy notatka, którą wkleił do jednej z kopii Latopisu Nikonowskiego. Oparta na zaginionej kronice, odnosiła się do pamiętnego zdobycia Moskwy przez wojska mongoło-tatarskie pod wodzą Batu-chana w 1238 r. Po kilkudniowym oblężeniu Tatarzy złamali opór Moskali m.in. dzięki zaawansowanej broni miotającej, a następnie poćwiartowali swoim zwyczajem wojewodę Filipa Niankę, sumiennie wymordowali wszystkich mieszkańców i po splądrowaniu puścili z dymem drewnianą zabudowę miasta oraz najbliższej okolicy. Cug musiał być dobry, bo z Moskwy ostały się jeno zgliszcza.

Sukcesu Złotej Ordy nikt później nie powtórzył, choć byli tacy, którzy próbowali. W latach 1610–12 Polacy i Litwini pod wodzą hetmana Stefana Żółkiewskiego wkroczyli do Moskwy i zajęli Kreml, a królewicz Władysław Waza został nawet carem Rosji, co byłoby błyskotliwym zwycięstwem, gdyby nie dwa „ale”. Po pierwsze, wyczynu swego Rzeczpospolita Obojga Narodów dokonała w luce między wygaśnięciem dynastii Rurykowiczów a nastaniem Romanowów, więc było jej łatwiej pokonać Moskali pogrążonych w rozsypce zwanej Wielką Smutą (przy okazji: rosyjskie słowo *smuta* nie oznacza smutku, lecz zamęt, czas społeczno-politycznych wstrząsów). Po drugie, moskiewska przygoda polsko-litewskiej magnaterii, choć owszem, zapowiadała się świetnie, to zakończyła się żałośnie. Okupująca Kreml załoga sama się poddała, wzięta głodem. „Wypędzenie Polaków z Kremla” w Rosji Putina obchodzi się hucznie co roku 4 listopada jako Dzień Jedności Narodowej. Jak widać, udział Litwinów w fatalnej dymitriadzie rosyjska polityka historyczna ignoruje.

> Tylko patrzeć, a niespokojni o swoje mienie Rosjanie zaczną wracać z daczy. Pieszo i na rowerach. Dosłownie i w przenośni.

Dwieście lat później szczęścia próbował Napoleon, ale też poległ, na całej linii. A tak dobrze mu szło: wygrał krwawą bitwę pod Borodino, a potem triumfalnie wkroczył do Moskwy z zamiarem ostatecznego rozgromienia wojsk carskich pod dowództwem Michaiła Kutuzowa. Myślał, że w ten sposób wygra wojnę. Nie rozgromił jednak i nie wygrał. Musiał czuć się wtedy jak John Travolta w memie z filmu „Pulp Fiction”, w którym Vincent Vega stoi zdezorientowany w pustym pomieszczeniu, wykonując gest: „Ale o co chodzi? Gdzie są wszyscy?”. Bonapartego otaczał w Moskwie miejski pejzaż spalonej ziemi: dymiły resztki zabudowań, nie było widać żywej duszy, a wszystko, co w jakikolwiek sposób cenne, zostało zawczasu wywiezione w głąb Rosji.

Przeciwnik nie dał Wielkiej Armii szansy nawiązania kontaktu bojowego. Żeby doszło do walki, Francuzi musieliby wyprawić się z Moskwy w siną dal. Bonaparte spodziewał się, że po utracie Moskwy Rosja skapituluje. Czekał na to i czekał, aż przyszła ruska zima i wygrała wojnę dla Kutuzowa. Małego Kaprala dopadła jego mojra, przebrana za odwrót spod Moskwy. Miała odmrożone kończyny.

Dopiero dzisiaj, po ośmiuset latach od zwycięstwa Batu-chana, oglądamy coś w rodzaju powtórki z poczynań Złotej Ordy. Major Robert „Madziar” Browdi, dowódca Wojsk Systemów Bezzałogowych Sił Zbrojnych Ukrainy, ma korzenie węgierskie, jak to często bywa w Użhorodzie, gdzie się urodził. Słowem, typowy banderowiec. Przed wojną prowadził swoje biznesy, golił się codziennie i nosił garnitur. Dzisiaj w maskującym stroju wojskowym z puszczoną samopas brodą „bije Moskwę, nie przestając”. Drony „Madziara” jak ptaki nadlatują chmarami nawet po kilkaset sztuk i jak na sankcje dalekiego zasięgu przystało, trafiają w cele w Moskwie, w całej Rosji europejskiej oraz w odległych miejscach za Uralem. Codziennie płoną rafinerie, składy amunicji, centra logistyczne podwójnego przeznaczenia. Krym jest praktycznie odcięty od dostaw z interioru. Tylko patrzeć, a niespokojni o swoje mienie Rosjanie zaczną wracać z daczy. Pieszo i na rowerach. Dosłownie i w przenośni.

Irena Mostowicz w książce „Dacza. Rosyjska strategia przetrwania” pokazuje, że dacza jest w Rosji stanem umysłu. Instytucją, która umożliwia i jednocześnie utrwala obywatelską alienację Rosjan. Sielski żywot na daczy pędzą teoretycznie dlatego, że nie mają wpływu na to, co robią ci na górze. A ci na górze wiedzą lepiej, więc człowiek kisi ogórki i nadziewa na szpikulec szaszłyki, pławiąc się w rodzinnej idylli poza systemem. W rzeczywistości Rosjanin ma daczę właśnie po to, żeby celebrować swój brak wpływu i nie ponosić odpowiedzialności. Azyl poza systemem jest również częścią systemu. Dacza koi nerwy, ucisza sumienia i zdejmuje z barków ciężar obywatelskich obowiązków – i właśnie w ten sposób zabezpiecza przyszłość dyktatury.

„Madziar” też mógł wybrać daczę albo emigrację. Dzięki temu, że wybrał inaczej, Ukraina nadal walczy, generując przy okazji widowisko, jakiego świat nie widział od stuleci. Nad Rosją znowu lecą żurawie, sama tego chciała.

RENATA LIS

eprasa.pl f4a3c208bc



PESEL bez wesel

Cztery pogrzeby i jedna stypa – to moja propozycja kontynuacji kinowego szlagieru w wersji nadwiślańskiej. Przypominam, że wersja oryginalna miała premierę w 1994 r. Dziś ta romantyczna komedyjka z zamierzchłych czasów, gdy odziany w jedwabne kamizelki Hugh Grant uśmiechem nieporadnego chłopca doprowadzał każdą kobietę do zdjęcia kapelusza i tekstyliów, nie pasuje mi już, niestety, do mojego krajobrazu po bitwie. Od paru lat miastowe gogusie noszą się na dawnych mechaników samochodowych, którzy luzowali flanele i ogrodniczki, dusząc się i pocąc w ciasnych garażach.

Być może moda na męskie dekolty do pępka to przejaw tęsknoty do bycia południowcem. Na Południe część Polaków przesunęła się w sensie ścisłym, uciekając przed inflacją i wojną do słonecznej Italii i rozkosznie pacyfistycznej Hiszpanii, ustępując miejsca w tramwajach i parkach uchodźcom z Ukrainy i Białorusi.

Do moich obecnych realiów nie pasuje też liczba wesel. Powody są dwa. Jednym jest mój PESEL. Ja i znajomi „hejboomerzy" wyprztykaliśmy się z wesel jak z wykorzystanych ze stosiku bierek. Pierwsze wesele było dla babci, drugie dla kredytu, ale kredyt spłacony, babcie w DPS lub rozwiązują odwieczny problem mieszkaniowy Warszawiaków, przenosząc się na Powązki. I tu punkt drugi. Czas jest bardzo niemiły i jakoś przyspieszył! Któregoś dnia w pandemii zatelefonował do mnie Stanisław Tym. Nie znaliśmy się dobrze, był przecież bardziej znajomym moich rodziców z czasów STS niż moim, ale czasem dzwonił. Sprawa dotyczyła YouTube, gdzie pan Staszek zaczynał sobie śmiało poczynać. Zeszło na pisanie felietonów: „Wiesz, tak naprawdę to mógłbym zarabiać fortunę, pisząc co tydzień kolejny nekrolog jakiegoś przyjaciela".

> W jednym dniu na Powązkach uczestniczyłam w tragicznym dwuboju. Rwanie i podrzut. Dwie doniczki, dwa znicze, rąk brakowało.

Nie sądziłam, że czas to taki łotr i znajdę się niebezpiecznie blisko tego punktu. Na weselach już nie bywam, nawet rozwodowe party to rzadkość: wyroby cukiernicze mają astronomiczne ceny, a alkoholu pić nie wypada. Znajomy właściciel restauracji na Ursynowie serwuje bezalkoholowe Bellini. „Piure z brzoskwiń mieszam z bezalkoholowym prosecco. Cena: 50 zł. Cukru tyle co w alkoholowym, ale kaca nie ma, a na Instagramie trenduje". Klienci przesiadują w barach mlecznych, których w stolicy przybywa z dnia na dzień. Skończyły się firmowe integracje w knajpkach czy jadanie sushi na lancz. No, a rozwodowe party czy weselny obiad w barze mlecznym? Nie bardzo.

Dzieci nasze, czyli zetki, do ołtarza też się nie spieszą, bo tak ich po 30 latach urządzili spece od gospodarki i finansów, że słabo okazują radość z sukcesu marki Polska. Nie stać ich na utrzymanie siebie, a co dopiero żony. Obliczyli, że aby odłożyć sobie na kawalerkę, potrzebują co najmniej trzech dekad, a na najem ich nie stać, więc wolą posiedzieć u rodziców. Czy są wśród nich tzw. normalsi, o których bój toczyć będą Tusk z Morawieckim? Tacy frajerzy, których da się jakoś przekabacić, by poszli głosować?

Nic mnie tak nie zniesmacza jak szafowanie normalnością. Normalne jest to, że u matki pojawia się instynkt macierzyński. Normalne jest to, że młodzi nie mają się gdzie podziać. Przecież pokolenie Dygata to wśród ruin i pensjonatów się błąkało. I co? I jak się świetnie te „Pożegnania" dziś ogląda... Z komedyjek romantycznych teoretycznie sitcom „Przyjaciele" powinien być nadal zabawny. Wszak żadnego młodego Nowojorczyka nie stać na najem mieszkania, więc dzielą jedno na kilka osób. Ten model się u nas nie przyjął. Czy mamy mniej wyrozumiałych najemców, czy może hojniejszych rodziców? Tak czy siak, „Przyjaciele" całymi dniami bumelują w kawiarni, a dziś cena kupowanej codziennie kawy czy matchy latte na owsianym to dla młodego człowieka nierealistyczny wydatek.

Wesel zatem w moim krajobrazie ubyło, a pogrzebów więcej niż remontów w Warszawie. Kulminacją był sierpień. Nawet nie nauczyłam się mówić o Stanisławie Soyce i Magdzie Umer w czasie przeszłym, gdy w jednym dniu (!) na Powązkach uczestniczyłam w tragicznym dwuboju. Rwanie i podrzut. Dwie doniczki, dwa znicze, rąk brakowało. O trzynastej odprowadziliśmy Igę Cembrzyńską, wybitną aktorkę, reżyserkę i pierwszą, niedoścignioną wykonawczynię szlagieru „Mówiłam żartem" do słów Agnieszki Osieckiej. Tak to już bywa, że aktorki czy wokalistów się pamięta, ich twarze powracają wraz z odtworzeniami w sieci lub radiu, a autorzy hitów żyją w cieniu. Piosenkę tę skomponował pan Jarosław Abramow-Newerly, jeden z filarów STS, którego pogrzeb odbył się godzinę po Idze.

Dwa pochody pod sosnami cmentarza krzyżowały się jak nartostrady w lesie. Wykonawczyni i jej kompozytor po raz ostatni na wspólnym występie. Spojrzałam na żałobników i wymieniliśmy się wytartym sloganem: „Spotykamy się już tylko na pogrzebach". „Dobre i to" – podsumował Adam Sławiński, którego piosenki nucą kolejne pokolenia, ale kompozytorzy są zawsze w cieniu, nie tylko na pogrzebach znakomitych kolegów po piórze.

AGATA PASSENT

eprasa.pl f4a3c208bc



Make Nuda Great Again

Kiedyś to było! Ale właśnie dlatego, że... nie było. Na ten przykład: mogliśmy się zdrowo i szczerze wynudzić. Tymczasem nuda wydaje się dziś reliktem podobnym do kasety magnetofonowej lub wyborów parlamentarnych, które wygrywa ktoś spoza duopolu. Niby było kiedyś coś takiego, ale o co w tym dokładnie chodziło? I czy to faktycznie nie są jakieś koszałki opałki, historie z apokryfów?

Wspominane dziś z łezką w oku i obarczone nostalgicznym filtrem lata 90. sprzyjały nudzie. No, przynajmniej jeśli nie byłeś młodym wilczkiem wspinającym się dziarsko po kolejnych szczeblach wielkomiejskiej kariery lub muzyczno-filmowym hegemonem. Albo mieszkańcem Bałkanów, który mógłby zgłosić do powyższej tezy słuszne zastrzeżenia. Albo człowiekiem walczącym o swój byt w obliczu dwucyfrowego bezrobocia. W wymiarze globalnym panował jednak nastrój beztroskiego wcinania batoników i liberalizowania demokracji. „Koniec historii", Fukuyama, te sprawy. Rosjanie bezzębni, Ameryka w razie czego nas obroni, zero potrzeb.

W wysiłkach nie ustawał jednak, nieproszony przez nikogo, front przeciwdziałania nudzie. Pamiętam emitowany przez TVP program edukacyjny, w którym dziadek cierpliwie tłumaczył wnuczkowi, że słowo „nuda" pochodzi z łacińskiego określenia na „nagość". Z tego wysnuwał więc prostą implikację: człowiek, który się nudzi, powinien się wstydzić, podobnie jak ktoś, kto biega bez bielizny po ulicy. Jest to całkowicie zmyślona etymologia (wyraz ten ma prawdopodobnie prasłowiańskie korzenie), ale mniejsza, nie róbmy tu Klubu Małego Polonisty. Doskonale wiadomo, że dziadek chciał wnusia zawstydzić – w myśl zasady, że „człowiek inteligentny nigdy się nie nudzi".

> Staliśmy się technologicznie niezdolni do nudy. Wyleczyliśmy się z niej, choć nie wiem, co tu jest chorobą, a co normą.

Być może należę więc (a na pewno należałem) do grona mało inteligentnych. Dziecięciem będąc w latach 90., doświadczałem nudy wielokrotnie. Poskarżywszy się rodzicom, że nie mam co robić, usłyszałem, że mogę przecież „pluć i łapać, i po tyłku się drapać". Nie omieszkałem spróbować. Wykonalne, ale mało satysfakcjonujące. I umiarkowanie higieniczne. Cóż było jednak robić? Brat zajęty swoimi sprawami, wszystkie gry wideo już ograne, komiksy przeczytane, a książki – jak wówczas myślałem – umiarkowanie ciekawe. Internet natomiast nie za bardzo istnieje.

Wszystko to przeminęło bezpowrotnie, „zniknęło jak łzy w deszczu". Internetyzacja kraju sprawiła, że staliśmy się technologicznie niezdolni do nudy. Wyleczyliśmy się z niej, choć nie jestem przekonany, co tu jest chorobą, a co normą. Zabawa trwała zresztą w najlepsze, technologia splatała się z cielesnością poprzez przyspawane do dłoni smartfony, Androidy i iOS-y śniły o elektrycznych owcach, a snu nie dało się już odróżnić od śniącego. Na dodatek rynek opanowały platformy streamingowe – powiedzmy sobie wprost, że nie wystarczy nam życia na obejrzenie wszystkich wybitnych seriali, że o średniakach nie wspomnę. Tym bardziej jeśli po raz trzeci ogląda się całą „Rodzinę Soprano".

Jeżeli nuda dziś istnieje, to stanowi wyłącznie przywilej najmłodszych. I to pod warunkiem, że przemyślni rodzice dają sobie trochę czasu, nim kupią im pierwszy smartfon lub tablet. Szczerze zazdroszczę (najmłodszym, nie rodzicom). Choć trudno w takich sytuacjach nie wpaść w narrację pod tytułem „niedostatek wzmaga kreatywność", nie sposób też oprzeć się pożytkom wynikającym z nudy. Zostawaniu z samym sobą, a przy wspólnym nudzeniu się – niespiesznej rozmowie, która nie jest nastawiona na żaden konkretny cel. To dwie niemal zupełnie zatracone już umiejętności. Wiem, co mówię. Gdy w zeszłym roku znalazłem się w lubuskim lesie, w którym słychać było co najwyżej trzask gałęzi i ptasie awantury, w ślad za ukojeniem przyszło przerażenie.

Nudę wyparła na dobre maligna przerzucania kolejnych facebookowych i instagramowych postów. Nie nazwiemy jej „nicnierobieniem" (przecież oglądam i przyswajam treści!), ale i miano „czynności" wydaje się tu średnio akuratne. To nibyrobienie z niczym nas nie konfrontuje, jest zwykłym kitem do wypełniania luk w czasie. Bodaj ostatnim przyczółkiem urokliwej nudy wydawały się media w okresie wakacyjnym, który dobiega już końca – przepraszam, ale ktoś musiał to powiedzieć. Słynny „sezon ogórkowy", pełen publikacji na temat sinic w Bałtyku, lisów sikających na jagody i barszczu Sosnowskiego, który prawdopodobnie okaże się barszczem zwyczajnym lub arcydzięglem litworem.

I niby jest jak dawniej. Jacek Kawalec odchodzi z Budki Suflera, bo zażartował pięć lat temu z Zenka Martyniuka, miliarder buduje posąg Maryi, są też stare dobre lisy i sinice. A tu, znów, rzeczywistość skrzeczy: ludobójstwo, wojny, idiota w roli prezydenta USA. Wszystko to obecne bardziej niż kiedykolwiek. Nie ma nudy. Mógłbym napisać, że późny kapitalizm zabrał nam (lub zmonetyzował) nawet nudę, nie chcę jednak narażać się na uwagę: „Oj, wujku, ty ciągle o tym kapitalizmie". Zamiast tego pożyczę sobie i państwu: obyśmy żyli jeszcze w nieciekawych czasach.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl f4a3c208bc



Coraz mniej uchwytny Romanowski

Uciekający Marcin Romanowski, były pisowski wiceminister sprawiedliwości, uległ pewnemu rozmyciu lub rozproszeniu. Jeśli w ogóle gdzieś się znajduje, nie jest jasne, na ile i w jakim stopniu. W chwili, gdy piszę ten tekst, z informacji premiera Tuska pochodzących od zagranicznych służb specjalnych wynika, że Romanowski na 99 proc. jest w Tyraspolu (Naddniestrze), tzn. w miejscu, które wskazał we wniosku o wydanie listu żelaznego. Gdzie znajduje się w pozostałym jednym procencie, nikt nie wie.

Badania wniosku wysłanego z Tyraspola stwierdziły wprawdzie obecność śladów biologicznych Romanowskiego, ale nie stwierdziły obecności w tym mieście samego Romanowskiego. Prokuratura nie potwierdza, jakoby okoliczność, że przebywa on tam faktycznie, „została uprawdopodobniona". „Z materiału dowodowego nie wynika, aby Marcin Romanowski przebywał na terenie Naddniestrza. Nie wynika również, żeby tam nie przebywał" – stwierdził rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Ponieważ Romanowski używa wydanych przez nie wiadomo kogo dokumentów na nie wiadomo jakie nazwisko, trudno ustalić, czy faktycznie przebywa tam, gdzie deklaruje, że przebywa. Jego oświadczenie, że znajduje się w Naddniestrzu, jest zdaniem prokuratury niewystarczające, zwłaszcza w świetle uzyskanych przez śledczych informacji, że w ciągu ostatnich pięciu lat nie przekroczył granicy Mołdawii, Rumunii ani Ukrainy, co oznacza, że nie dotarł do Naddniestrza jako Romanowski (chociaż mógł się tam dostać jako nie-Romanowski).

Prokuratura zamierza we współpracy z Mołdawią ustalić, czy znajduje się on faktycznie na terenie Naddniestrza jako Romanowski lub nie-Romanowski. Z ustaleń „Gazety Wyborczej" wynika, że pomagają mu w Naddniestrzu polscy księża sercanie. Ci stanowczo zaprzeczają, ale nie można wykluczyć, że pomagają komuś, kto udaje, że nie jest Romanowskim.

Ponieważ prokuratura nie dowierza oświadczeniom Romanowskiego w sprawie tego, gdzie przebywa, trudno się dziwić, że sprzeciwia się wydaniu zgody na list żelazny dla niego. Jest obawa, że gdyby Romanowski go otrzymał, po powrocie do kraju złożyłby jeszcze więcej oświadczeń, w które prokuratura by nie uwierzyła, co tylko utrudniłoby jej pracę. Jedyną korzyścią, jaką prokuratura może mieć z powrotu Romanowskiego do Polski, jest moim zdaniem to, że po tym powrocie byłoby na 100 proc. wiadomo, w jakim kraju Romanowski obecnie przebywa.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl f4a3c208bc

Oto jerozolimski sposób na rybę zapieczoną pod cienką warstwą aromatycznego sezamowego sosu.

Ryba w tahini



Mało kto wie o istnieniu w Jerozolimie grupy społecznej wyłamującej się z podziału na Żydów i Palestyńczyków. Domari, po polsku Domowie, są dyskryminowani przez jednych i drugich i dlatego rzadko przyznają się do swojego pochodzenia. Żydzi widzą w nich Arabów. Arabowie postrzegają ich jako Romów. A ja, pracując nad książką o Jerozolimie, czułem, że obraz miasta bez Domów będzie niepełny. Dlatego pojechałem do wschodniej części miasta, by spotkać się z Amoun Sleem, koordynatorką i założycielką czegoś w rodzaju domskiej świetlicy środowiskowej.

Jerozolimska społeczność Domów początkowo osiedliła się w rejonie Wadi Joz, ale później przeniosła się w okolice Bramy Lwów. Dziś liczy 1,5 tys. osób. Podobnie jak w innych częściach świata Domari, jako osiadli nomadowie, przyjęli lokalny język i religię, więc ci z Jerozolimy to arabskojęzyczni muzułmanie. – *Jesteśmy dyskryminowani jako grupa społeczna* – Amoun po powitaniu od razu przechodzi do rzeczy. – *Niemal 80 proc. naszych mężczyzn i prawie 100 proc. naszych kobiet jest bez pracy. To dlatego organizujemy tu warsztaty, podczas których kobiety z naszej społeczności robią biżuterię, szyją torby czy sukienki, które potem możemy sprzedać, a zarobione w ten sposób pieniądze przeznaczyć na pomoc dla nich.*

W tym samym celu prowadzi się tu warsztaty kulinarne. – *Gotujemy dania kuchni bliskowschodniej, ale robimy to po swojemu* – opowiada Amoun. Najwięcej najsmaczniejszych potraw pojawia się w czasie różnego rodzaju świąt. Na zaręczyny zwykle piecze się ciasteczka nadziewane serem, szpinakiem lub suszonymi owocami, a daniem głównym są kurczak lub jagnięcina – w zależności od pory roku i budżetu – nadziewane ryżem i orzechami. – *Mamy nieco inne przyprawy, często używamy liści curry, z którymi, być może, przywędrowaliśmy do Jerozolimy* – zaznacza.

– *A skąd wzięliście się w Jerozolimie?* – pytam. Nie było wtedy kronik, więc przekazywane dziś opowieści to w gruncie rzeczy tylko hipotezy. Podobnie jak Romowie Domari wyruszyli z Indii, ale opuszczali je w kilku falach, począwszy od III w. Potem historia się komplikuje. Spora część Domów w pewnym momencie zamieszkała w Persji, ale większość ludności nadal przemieszczała się na zachód, aż do Armenii. Niektórzy ruszyli jeszcze dalej, do Europy, inni udali się do Syrii, Egiptu i Afryki Północnej.

Słuchałem opowieści Amoun zafascynowany, bo o tej części historii nie miałem bladego pojęcia. – *Tu, w Jerozolimie, opowiada się legendę, która wyjaśnia nasze pochodzenie: Domowie mieszkali w Syrii już w VII w. Mówi się, że żyły tam dwa plemiona, którym przewodzili dwaj kuzyni. Jeden z nich zabił syryjskiego króla, co rozgniewało jego córkę. W ramach zemsty wywołała między grupami wojnę, w wyniku której zginęli obaj przywódcy. Po zakończeniu walk obu plemionom nakazano błąkać się po pustyni w najgorętszych porach dnia, jeździć tylko na osłach i żyć wyłącznie ze śpiewu i tańca* – dodaje Amoun ze smutkiem i zarazem powagą w oczach. – *Teraz powiem ci, jak przygotować rybę w sosie z tahiny. To idealne danie na lato*. Spędziłem z Amoun kilka godzin, przyglądając się jej pracy. Po powrocie do domu przygotowałem danie według jej przepisu, pilnując, by wszystko zrobić dokładnie tak, jak mi opowiedziała.

KUCHNIA



Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych po Italii: „Italii do zjedzenia" i „Neapolu łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze. Laureat prestiżowej World Gourmand Cookbook Award, którą zdobyła „Jerozolima do zjedzenia", oraz Prix de la Litterature Gastronomique, którą wyróżniono „Ucztę na Wawelu".

Składniki (dla 4 osób):
- 1–2 filety białej ryby
- sok wyciśnięty z niedużej cytryny
- 50 ml oliwy *extra vergine*
- sól, pieprz
- 50 g orzeszków pistacjowych
- garść natki pietruszki
- łyżka papryki z Aleppo

Sos:
- 200 g tahiny
- 4 ząbki czosnku
- sok z cytryny
- gorąca woda
- sól

Wykonanie:

● Rybę skrapiamy oliwą i sokiem z cytryny, solimy i doprawiamy pieprzem. Pieczemy w 180 st. przez 20 min.

● W tym czasie przygotowujemy sos. Posiekany czosnek wrzucamy do miski. Wlewamy dobrze wymieszaną tahinę i sok z cytryny, dokładnie mieszamy. Dolewamy nieco gorącej wody i dalej mieszamy, by sos nabrał lżejszej konsystencji – powinien być jak niezbyt gęsta śmietana.

● Gorącą, upieczoną rybę polewamy sosem, posypujemy uprażonymi orzeszkami oraz natką pietruszki i stawiamy na stole.

© BARTEK KIEŻUN, ARCHIWUM PRYWATNE, AI, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f4a3c208bc

WIRAL

Polska betonem narodów



Okazuje się, że Polacy bardzo dobrze znają Pismo Święte. A przynajmniej te wersety: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!" (Wj 20, 4–6). To chyba najczęstszy komentarz towarzyszący odsłonięciu **posągu Maryi** w Konotopiu, które było wydarzeniem nie tylko na miejscu, ale i w sieci. Nie jest więc tak, że statua nie podoba się tylko lewakom i/lub osobom niewierzącym. Katolicy również pytają, czy nie dało się lepiej wydać przeznaczonych na ten gigantyczny projekt ok. 100 mln zł. Bardziej przydałby się pewnie żłobek albo hospicjum (takie dwie skrajne frakcje dominują).

Gdy wierzący czynią fundatorom projektu zarzuty bałwochwalstwa i niegospodarności, inni obśmiewają jego estetyczne walory. „Polska – największy beton", pisze ktoś, a beton w tym wypadku oznacza także pewne usztywnienie światopoglądowe. Poza tym polska Matka Boska wielu osobom przypomina wizualnie kosmodrom („kiedy start tej rakiety?") lub... Godzillę, która weźmie Polskę w obronę w chwili próby.

Oczywiście posąg ma też swoich obrońców, by nie powiedzieć: wyznawców. Będzie się gdzie modlić, rejon zyska turystycznie, ojczyzna wizerunkowo. A że beton? Cóż, przynajmniej „długo postoi".

Polska w tych dniach często jest przeciwstawiana Francji, gdzie powstaje dla odmiany wielki meczet. „Trudno o bardziej wymowny obraz dwóch różnych kierunków, w jakich podążają europejskie państwa" – czytam na Instagramie. Pewnie dlatego poseł Włodzimierz Skalik (Konfederacja Korony Polskiej) przeciwnikom naszej Maryi poleca „przeprowadzić się na stałe do Paryża, Berlina lub Strasburga". „Myślę, że tych 136 mieszkańców wsi Konotopie będzie bardzo przejętych tą poradą" – odpowiada ktoś przytomnie na platformie X.

O kulisach budowy posągu pisaliśmy w POLITYCE 33, ale media na Zachodzie (m.in. „The Guardian" i BBC) też go zauważyły. Czytelnicy z zagranicy są w większości osłupieni. Półżartem, ale i półserio apelują: „Tylko nie pokazujcie tego Trumpowi, bo postawi wyższy i ze złota".

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Kolekcja całkowitości



Tym razem nowe sformułowanie padło na antenie telewizji TVN24 podczas transmisji ze zbiorowego oglądania **zaćmienia słońca**. „Doświadczenie, którego nigdy wcześniej nie skolekcjonowałam" – oznajmiła jedna z osób śledzących wydarzenie na żywo. Dziwnie brzmi tu ta forma dokonana, ale jeśli się przyjrzeć całości, to zdziwienie będzie mniejsze. Ludzie pilnie słuchają trenerów osobistych i podróżniczych guru, którzy namawiają do gromadzenia doświadczeń, a nie rzeczy. Co po angielsku brzmi: *collect experiences, not things*. I mocniej kojarzy się z gromadzeniem, zbieraniem w sensie tworzenia pewnej kolekcji. A poza zwykłymi rozmowami i poradnictwem znajdziemy ślad tego w tekstach piosenek. Już prawie 20 lat temu Maria Peszek na erotycznej „Marii Awarii" śpiewała: „Zapuszczam swe ogrody/ I kolekcjonuję wzwody", a osiem lat temu Kukon rapował (z kolei o dziewczynach): „Kolekcjonuję twarze w pamięci jak znaczki".

Nie bez znaczenia jest język gier wideo, w którym zdarza się graczom mówić o kolekcjonowaniu itemów (przedmiotów). A później ten język przenosi się do realu: „Ostatnio zwariowałam i z czarnych ciuchów przechodzę w kolory, bardzo mi się podoba wszystko co pastelowe i kolekcjonuję nowe itemy do szafy" (z platformy X).

Niedawne rzadkie zjawisko astronomiczne zmobilizowało tysiące osób do podróży w ramach tego, co po angielsku nazwano *chasing totality* – na polski dałoby się to przełożyć jako „polowanie na całkowitość". Pojęcie „całkowitości" pojawiło się zresztą w komentarzach. Miłośniczka Berlina na TikToku pisała: „Całkowitość będzie można zobaczyć m.in. w Hiszpanii". A kraje, w których dało się zobaczyć ową całkowitość, czyli po prostu całkowite zaćmienie, przeżyły prawdziwą eksplozję zainteresowania, porównywalną z występami największych gwiazd (których oglądanie także jest swoistym kolekcjonowaniem doświadczeń).

Rzecz też doczekała się nazwy. Na stronie producenta obiektywów fotograficznych można było przeczytać: „Wyrusz wcześnie. Turystyka zaćmieniowa zaleje całe regiony. Należy spodziewać się zatłoczonych dróg lokalnych, pełnych parkingów i wolnego ruchu po południu 12 sierpnia". A serwis podróżniczy donosił: „Walka o pokoje to najnowszy sygnał, że turystyka zaćmieniowa nabiera tempa". Zbieranie doświadczeń ma – jak się okazuje – całkiem materialne zaplecze.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl f4a3c208bc



TURCJA: więcej niż Wschód

Burası Türkiye, czyli „to jest Turcja” – to zdanie wypowiadane tutaj najczęściej. Znaczy mniej więcej: nie dziw się niczemu, w Turcji wszystko jest możliwe.

Mapki dla przybywających do Turcji turystów przypominają ilustrowane książeczki dla dzieci. **Stambuł** opisany jest grafikami Hagii Sophii i Błękitnego Meczetu. W Konyi wiruje derwisz, a nad finezyjnymi skałami Kapadocji latają balony. Jest ankarskie mauzoleum Atatürka, kafelki z Izniku, szklanka parującej herbaty z Rize nad Morzem Czarnym, ruiny Efezu na Wybrzeżu Egejskim, słynne lody z Kahramanmaraş, kot z Wan o dwukolorowych oczach i morele z Malatyi. Czasy, epoki, postacie historyczne i fikcyjne; ludzie i zwierzęta zostały na tych mapkach pomieszane w zadziwiający sposób. Legendarny filozof z Eskişehir, czyli jadący tyłem na ośle Hodża Nasreddin, może pomachać do biskupa Miry (dziś Demre) świętego Mikołaja, ubranego – zamiast w biskupią tiarę – w czerwony kubrak i czapę z pomponem.

Ten chaos nikomu tutaj nie przeszkadza. Turcy, choćby ich noga nigdy nie postała w Stambule, będą z zapałem opowiadać o Bosforze, czerwonym tramwaju na ulicy Istiklal i restauracjach serwujących chleb z rybą pod **Mostem Galata**. Nie musieli widzieć wapiennych tarasów Pamukkale, by rozpływać się nad ich lśniącą w słońcu bielą, ani zamoczyć nogi w Morzu Śródziemnym, by zachwycać się jego błękitem.

Nieco zagubieni mogą być jednak przyjezdni. Tych jest niemało, według danych Ministerstwa Kultury i Turystyki tylko w 2025 r. Turcję odwiedziło prawie 53 mln zagranicznych turystów. Pytania, jakie niekiedy zadają, doprowadzają Turków do szału i czasem tylko wrodzona gościnność sprawia, że nie dochodzi do rękoczynów. Najbardziej znienawidzone pytania: czy Turcy są Arabami (nie są), czy mówią i piszą po arabsku (nie, mają własny język i od 1925 r. używają alfabetu łacińskiego), czy mogą mieć wiele żon, skoro są muzułmanami (nie mogą, w kraju obowiązuje świeckie prawo niedopuszczające wielożeństwa). Turek kiepsko zniesie też dyskusję o rzekomym greckim pochodzeniu jogurtu i twierdzenie, że słynna anyżowa rakı, zwana tu mlekiem lwa, pochodzi z Grecji. Przytoczy milion argumentów świadczących o tym, że to Grecy przejęli tureckie kulinaria i wypromowali jako swoje w Unii Europejskiej i poza nią.

Do Unii Turcy mają zresztą stosunek ambiwalentny. Handlują z nią, dogadują się i wysyłają dzieci na Erasmusa, ale nie rozumieją, dlaczego Europa od dziesięcioleci każe im „czekać w przedsionku”, mnożąc problemy z akcesją. „Będziecie nas potrzebować bardziej niż my was” – mawiają i powoli tracą serce do Wspólnoty. Z badania Areda Survey wynika, że 58,7 proc. Turków nie chce przystąpienia do UE. Wyniki różnią się co prawda w zależności od sondażowni, ale są podobne: pół na pół. Nie brak też Turków, którzy będą przekonywać przyjezdnych, że prawdziwym pomysłodawcą unii europejskich narodów (w tym oczywiście Turcji) był nie kto inny jak Mustafa Kemal Atatürk.

No właśnie: Atatürk – Ojciec Turków, nazwisko odmieniane nad Bosforem przez wszystkie przypadki. To jego pomniki można zobaczyć w każdym, najmniejszym nawet mieście i wiosce, jego popiersia stoją przed każdą szkołą, jego portrety zdobią nie tylko gabinety wysokich rangą polityków, ale i zakłady pracy, biura, a nawet – widziałam to w Izmirze – ścianę nad rzeźniczą ladą. Bohater narodowy, który wyrwał Turcję z rąk okupantów po pierwszej wojnie światowej, założyciel i pierwszy prezydent proklamowanej w 1923 r. Republiki Turcji, powstałej na gruzach konającego imperium osmańskiego. Niektórzy do dziś ubierają niemowlaki w śpiochy z jego podobizną, a w wielu miejscach

© JOHN WREFORD/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET VIA GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, FADEL DAWOD/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl f4a3c208bc

można za darmo wytatuować sobie jego charakterystyczny podpis lub – z dużą zniżką – portret.

Za co Turcy aż tak go kochają? Bo wiedzą – uczy się ich o tym w szkole – że po przegranej pierwszej wojnie światowej państwa ententy podzieliły między siebie najbardziej atrakcyjne ziemie imperium, Turcji zostawiając zaledwie skrawek Anatolii. Sułtan Mehmed VI, rad nierad, przystał na taki podział, pragnąc zachować chociaż tron. Atatürk (wówczas jeszcze po prostu Mustafa Kemal Pasza) i część jego wojskowych towarzyszy nie pogodzili się z takim stanem rzeczy. Zorganizowali ruch oporu, który rozpoczął Kurtuluş Savaşı – wojnę narodowowyzwoleńczą. Bój okazał się zwycięski, sułtan został zmuszony do opuszczenia kraju. Niektórzy sądzili, że rzutki generał sam obwoła się sułtanem i zapoczątkuję nową dynastię, on jednak miał inny plan.

Kraj miał być świecką republiką. Powołano parlament, zamknięto za to medresy – szkoły koraniczne – i rozwiązano bractwa religijne (np. zakon wirujących derwiszy). Wybuchło kilka powstań obrońców wiary, buntowników jednak skracano o głowę. Wprowadzono powszechne, koedukacyjne szkolnictwo, zakazano strojów całkowicie zasłaniających ciało, a tradycyjne fezy zamieniono – pod karą śmierci – na nowoczesne kapelusze. Co ciekawe, nie nakazano (jeszcze nie wtedy) kobietom zdjęcia z głów chust, na zdjęciach matka i żona Atatürka mają zakryte włosy. Promowano jednak europejski styl, na balach wydawanych przez Atatürka żony jego oficerów, które jeszcze kilka lat wcześniej unikały męskich spojrzeń i szczelnie zakrywały ciała, wirowały w tańcu w modnych sukienkach i z odkrytymi włosami.

Na straży świeckości Republiki Atatürk postawił armię. Gdy któryś rząd zbyt mocno dryfował w kierunku islamu, wojskowi przeprowadzali pucz i obalali „niepokornych" polityków. W historii republiki puczów było kilka – wszystkie, prócz ostatniego, udane.

W latach 90. na politycznej scenie pojawił się ktoś zupełnie nowy. Młody wąsaty polityk z wyjątkowym darem przemawiania i wyjątkowym przywiązaniem do wiary, który w 1994 r. wygrał bój o fotel burmistrza Stambułu. Dla wielu był to szok, Recep Tayyip Erdoğan wywodził się z partii islamistycznej, a jego żona nosiła chustę, gdy to – delikatnie mówiąc – nie było jeszcze modne. Z nim także chciano w pewnym momencie zrobić porządek. Trzy lata po wyborze na burmistrza trafił za kratki za wyrecytowanie nawiązującego do islamu wiersza. Po kilku miesiącach wyszedł – jak twierdzą jego ówcześni przyjaciele – z planem zakładającym utworzenie nowej partii. AKP (Partia Sprawiedliwości i Rozwoju) została powołana do życia niewiele później i w tym roku obchodzi swoje 25-lecie. Szybko przejęła władzę i wprowadziła wiele reform, sprawiając, że zaczęto mówić i pisać o Turcji jak o wschodzącej potędze gospodarczej i przedstawiać ją jako wzorową demokrację w kraju, gdzie większość stanowią muzułmanie.

W kolejnych latach było już nieco gorzej. Premier, a następnie prezydent Erdoğan zaczął rozprawiać się z politycznymi przeciwnikami, niepokornymi dziennikarzami (według raportu BIA Media Monitoring w marcu tego roku w więzieniach przebywało 58 dziennikarzy, a 150 miało sprawy w sądzie) i świeckimi reformami wielkiego poprzednika. Hagię Sophię na powrót uczynił meczetem (świątynia przez dziesięciolecia funkcjonowała jako muzeum), do szkół wprowadził imamów i sprawił, że Diyanet – Prezydencja do spraw Religii – stała się jednym z najbogatszych ministerstw.





Marcelina Szumer-Brysz – dziennikarka i reporterka, przez cztery lata mieszkała w Turcji, dziś dzieli życie między Izmir a Warszawę. Autorka książek reporterskich „Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji", „Izmir. Miasto giaurów" i „Turcja. Na wschód od Zachodu". Laureatka Nagrody Specjalnej Identitas 2020, zdobywczyni Kryształowej Karty Polskiego Reportażu – Nagrody Publiczności.

A jednak, gdy w lipcu 2016 r. doszło do puczu, który miał obalić jego rządy, wyszedł z potyczki zwycięsko, broniony – w imię demokracji – nawet przez tych, którzy na co dzień nie popierali jego rządów. Po nieudanym zamachu świecki cerber w postaci armii został zdegradowany, a dziesięć lat później nastąpił rozłam w i tak już dramatycznie osłabionej opozycji, której wiele czołowych postaci, choćby były burmistrz Stambułu i kandydat kemalistycznej CHP na prezydenta Ekrem Imamoğlu, siedzi w więzieniu. Wygląda na to, że trwającym od 23 lat rządom Erdoğana nic już nie zagraża.

Na razie jeszcze są w Turcji i wierzący, i niewierzący. Zakryte dziewczyny w chustach mają przyjaciółki, które chodzą z odkrytymi pępkami. W święcących na świecie triumfy tureckich serialach pokazywani są przeróżni bohaterowie, od świątobliwych mężów po panny w mini. W sklepach można kupić alkohol (tylko do godz. 22 – nocna prohibicja), a po wypiciu kawy po turecku wciąż wróży się z fusów, choć Diyanet zdecydowanie to odradza, bo przecież tylko Allah zna przyszłość. Także Turcji. ■

eprasa.pl f4a3c208bc

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Rośniemy na YouTube!

POLITYKA ma już 40 tys. subskrybentek i subskrybentów naszego głównego kanału na YouTube. Nasze wideokasty są wielotematyczne. Rozmawiamy o polityce, psychologii, filmie, muzyce, książkach, historii, a nawet o rowerach. Za nami już ponad 400 nagrań i 340 wyemitowanych godzin. Gospodarze zawsze są przygotowani, a goście znakomici. Nadajemy od poniedziałku do soboty. Bardzo dziękujemy, że jesteście z nami!



Czym jest Naddniestrze

Były wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski wybrał zaskakujący kierunek: Naddniestrze. Gratulujemy wyobraźni. Jak tam można wjechać i co to właściwie za twór? **Czy rosyjskie wpływy naprawdę są tu tak silne? Sprawdził to i opisał na polityka.pl Jędrzej Winiecki.** „Teoretycznie nadal jest się w Mołdawii, a jednak trafia się do małej Białorusi" – zauważa. Więcej w naszym tekście.



Dobra mikrobiota

Jak bardzo jesteśmy zależni od mikroorganizmów zasiedlających nasze ciała? Czy dalibyśmy sobie radę bez nich? Czy faktycznie poprawiają nasz dobrostan? Odpowiada prof. Karolina Skonieczna-Żydecka, biotechnolożka, specjalistka od mikrobioty z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Słuchajcie i oglądajcie dla własnego dobra. Partnerem cyklu Pulsara „Akcja: mikrobiota" jest Sanprobi.



Orka Józefa M.

Filmik, na którym 60-letni Józef M. orze świeżo wylany asfalt, stał się wiralem. Rolnik miał za to trafić do aresztu na trzy miesiące, ale został zwolniony po tygodniu. **Czy spełni swoje groźby i znów zaorze asfalt? Dlaczego to robi, do kogo należą te grunty i co o tym myślą sąsiedzi – zbadał nasz reporter Zbigniew Borek.** „Chłop z własnej głupoty wystawił całą Ostropę na pośmiewisko" – słyszymy.



Szczepionka na raka?

Internet dostał wiadomość, na którą czekał od dawna: „Moderna ma szczepionkę na czerniaka", „przełom w medycynie". Paweł Walewski weryfikuje te rewelacje. Nie, nie mamy szczepionki – pisze. Ale „Intismeran autogenne, bo pod taką nazwą lek został przedstawiony światu, może być początkiem jednej z najważniejszych zmian w onkologii najbliższych lat". Szczegóły, bez sensacji, na polityka.pl.

© ARCHIWUM POLITYKI, JORDI BOIXAREU/ZUMA PRESS/FORUM, ANNA AMAROWICZ, ZBIGNIEW BOREK, SHUTTERSTOCK

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl f4a3c208bc

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl f4a3c208bc

PODRÓŻE I REJSY
15 LAT

PODRÓŻ Z REJSEM
– I PILOTEM SPECJALISTĄ –
CHINY

• Rejs po Jangcy 5★ •
• Hotele 5★ •
• Wylot z Warszawy •



zeskanuj kod i sprawdź
terminy i ceny

15 DNI / 13 NOCY
ZWIEDZANIE & REJS PO JANGCY

Ilość miejsc ograniczona. Oferta ważna do 15 sierpnia 2026 roku lub wyczerpania miejsc.

Cena zawiera: polskiego pilota, loty, napiwki, opłaty portowe, ubezpieczenie*, pełne wyżywienie, wstępy i wycieczki**, składki UFG i TFP

WIZYTY: PEKIN - SZANGHAJ - YICHANG - RZEKA JANGCY (TAMA TRZECH PRZEŁOMÓW) - CHONGQING - XI'AN - LUOYANG (GROTY DZIESIĘCIU TYSIĘCY BUDDÓW) - KLASZTOR SZAOLIN

zeskanuj kod i wysłuchaj wideopodcastu

WIĘCEJ INFORMACJI:

Telefonicznie: prosimy o podanie kodu: POLITYKA2607

12 345 26 29

Przez internet: podrozeirejsy.pl/chiny

* Statek i hotele w standardzie 5 gwiazdkowym norm lokalnych.
** ŚWIAT KL 65 000 EUR / NNW 15 000 PLN / BP 2 000 PLN (w tym choroby przewlekłe zgodnie z OWU Bezpieczne Podróże zat. Uchwałą Nr 42/Z/2021)
*** Wycieczki według programu zawarte w cenie podstawowej rejsu. Reklamodawcą jest Travelinc Sp.z o.o z siedzibą w Krakowie, ul. Głowackiego 4/11 Kraków, zarejestrowaną przez Sąd Rejonowy dla m. Krakowa, XI Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem KRS 0000400124, wpis do Rejestru Organizatorów Turystyki i PUNPUT nr Z/38/2013. Zabezpieczenie finansowe SIGNAL IDUNA Polska. Oferta na wyłączność Podróże i Rejsy.

Kod: POLITYKA2607